STRONY: 1. 9.

JAK JEŻDZIĆ PO ŁODZI?

7.

ĆWIEK UCHYLA PRZYŁBICY

✠

15. 16.

NIESPODZIANKA

4.

ERSKINE CALDWELL

REPORTAŻE: 5. 8.

NIE BĘDZIE BALLADY

CZARODZIEJ SADÓW

ODGŁOSY

ROK XVII NR 47 (886) 21 LISTOPADA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Uważny Czytelnik „Odgłosów" dostrzeże z łatwością, że obecny numer jest zapowiedzią pewnych zmian, jakie obecnie i na przyszłość chcemy zaproponować odbiorcom naszego pisma. Analizując nasze pewne sukcesy i przykre porażki w czasie ostatniego roku, doszliśmy do wniosku, że jest to potrzebne, chociaż nie rezygnujemy z dotychczasowej formuły pisma, które przy różnorodnych modyfikacjach w czasie swego 17-letniego istnienia znalazło sobie prawo obywatelstwa na rynku czytelniczym.

Mówiąc najkrócej: chcemy zaproponować naszym Czytelnikom szerszy profil naszego tygodnika, nie unikając w rozsądnych granicach problematyki bardziej popularnej, rozrywkowej, czy jak się ją nazywa — „magazynowej". Sądzimy, że rozszerzenie wachlarza tematycznego i urozmaicenie form prezentacji, spotka się z aprobatą i życzliwością naszych Czytelników.

Oto kilka przykładów naszych intencji, jakie sygnalizujemy obecnym numerem. Proponujemy więc z jednej strony kilka publikacji podnoszących problemy zasadnicze: jak K. Pogorzelca „Czarodziej sadów" (którym pod hasłem „DOBRA PRACA, PEŁNY STÓŁ" rozpoczynamy zakrojony na kilka miesięcy cykl o rolnictwie i gospodarce żywnościowej), R. Binkowskiego „Nie będzie ballady" — o pracy partyjnej w toku odbywającej się aktualnie kampanii sprawozdawczo-wyborczej. B. Madej o kontrowersjach wobec przeprowadzonych ostatnio zmian w ruchu drogowym w Łodzi. Z problematyki zagranicznej podejmujemy temat chilijski obszernym artykułem dr A. Blajera pt. „Źródła tragedii".

Z drugiej zaś strony znacznie więcej miejsca niż poprzednio przeznaczamy na rzeczy „ciekawe i pożyteczne". Np. popularyzując twórczość literacką łódzkich pisarzy, chcemy obok niej serwować opowiadania popularnych w świecie autorów, jak np. Erskine Caldwell, od którego zaczynamy. Także opowieść dokumentalną Marka Kaswinowa o upadku dynastii Romanowych, którą czyta się jednym tchem, traktujemy jednocześnie jako świetną lekcję historii. W części magazynowej chcielibyśmy prezentować bardziej urozmaicone materiały, zamknięte w krótkie formy. Stąd nie rezygnujemy nawet z komiksu (debiut na naszych łamach Jacka Bromskiego), który na świecie przechodzi swoistą nobilitację.

I jak zwykle przy takiej okazji, serdeczny APEL do Czytelników: piszcie do nas, podzielcie się swoimi uwagami o naszej nowej propozycji.

JERZY WAWRZAK

DOBRA PRACA – PEŁNY STÓŁ

KRZYSZTOF POGORZELEC

CZARODZIEJ SADÓW

Kiedy pewnego majowego dnia, roku 1974, kilka samochodów zaparkowało przed bramą Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach, a przypadkowi przechodnie rozpoznali wśród przybyszów Edwarda Gierka, nikt nie był szczególnie zaskoczony tą wizytą. Wiadomo przecież: tutaj pracuje się nad tym, by pchnąć dalej, w górę nasze rolnictwo, by było ono jeszcze nowocześniejsze, dostarczało więcej żywności na polskie stoły. Musi to interesować pierwszego sekretarza. A profesor Pieniążek, gospodarz, który akurat wita gości przed swoim Instytutem? Gdy pewnego razu wypadło profesorowi wygłosić w Bielsku odczyt o najnowszych zdobyczach ogrodniczej wiedzy, no, mówiąc tak po prostu — powiedzieć co należy robić, by jabłonie w naszych sadach jeszcze dorodniej owocowały, to zwaliło się tyle ludu, że na gwałt trzeba było szukać sali przynajmniej na 600 miejsc.

RODOWÓD

— Jak się to wszystko zaczęło?

W skrytości ducha sam zamierzałem rozpocząć rozmowę od tego wielce „odkrywczego" pytania, ale zostałem wyprzedzony. Profesor rzuca w moją stronę nieco kpiarskie

Dalszy ciąg na str. 8

BOGDA MADEJ

ŁAMIGŁÓWKA ZA KIEROWNICĄ

Nie posiadam samochodu i czasem muszę korzystać z taksówek. Dzięki temu miałam już nie jedną okazję wysłuchać narzekań taksówkarzy, a także ich przedziwnych opowieści.

Opowieść pierwsza mówiła o pewnym warszawiaku, który przyjechał samochodem służbowo do Łodzi i... zabłądził. Nie mógł po prostu połapać się w nowej organizacji ruchu w mieście, więc podjechał do postoju taksówek i poprosił kierowcę jednej z nich, aby jechał pod wskazany adres i pilotował samochód zbłąkanego, warszawskiego kierowcy.

Dalszy ciąg na str. 9

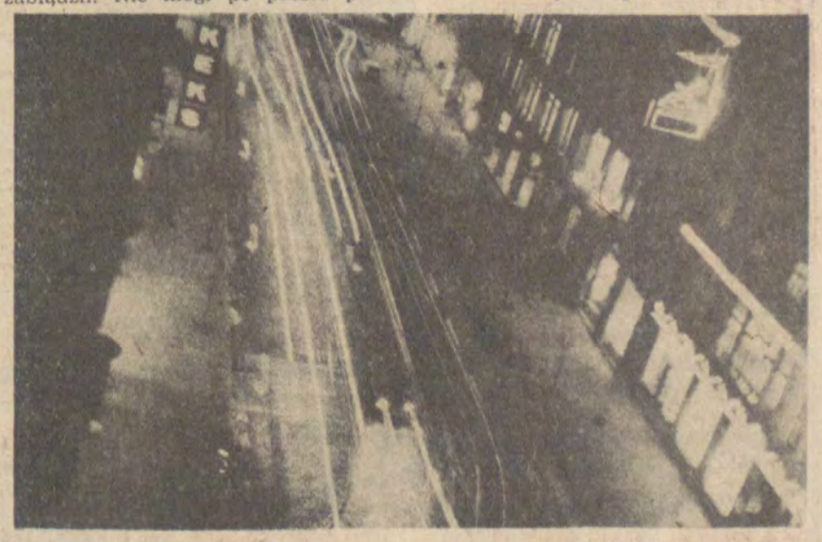

Fot. Włodzimierz Parys

SESJA REYMONTOWSKA W LIPCACH

Lipce Reymontowskie nie zapominają o swoim wielkim patronie, nie omijają żadnej okazji, by uczcić pamięć wielkiego pisarza, który w Lipcach mieszkał co prawda niewiele ponad dwa lata, ale w swoim monumentalnym dziele „Chłopi" utrwalił i rozsławił lipiecki pejzaż i psychologiczny wizerunek protoplastów obecnych mieszkańców wsi.

W listopadzie br. przypadła 50 rocznica przyznania Władysławowi Stanisławowi Reymontowi literackiej Nagrody Nobla. Z tej okazji została zorganizowana interesująca sesja popularno-naukowa, w której oprócz licznie zebranych mieszkańców Lipiec, młodzieży szkolnej, wzięła udział grupa pisarzy z łódzkiego ZLP i naukowcy. Referat pt. „Szczęście i nieszczęście w twórczości Reymonta" wygłosiła doc. dr Barbara Kóc, a dr Anna Kuligowska mówiła na temat: „Reymont — człowiek teatru". Prezes łódzkiego Oddziału ZLP, Wiesław Jażdżyński, przedstawił W. S. Reymonta jako prekursora tematu pracy w polskiej literaturze, pisarza wyjątkowo związanego z rzeczywistością, w której żył i którą z takim kunsztem artystycznym przetworzył na kartach swoich książek. Natomiast Maria Nowicka, kierownik Zespołu Regionalnego „Wesele Boryny" mówiła o Reymoncie, jaki został we wspomnieniach, w pamięci mieszkańców wsi...

Na zakończenie sesji wystąpił oczywiście Zespół „Wesele Boryny", jak zawsze kolorowy, rozśpiewany i roztańczony, swobodny i naturalny, zadziwiający żywotnością, a będący także swojego rodzaju fenomenem kulturalnym i społecznym, integrującym kilka pokoleń Lipczan.

Szkoda tylko, że ta ciekawa impreza nie została przez władze powiatu skierniewickiego odpowiednio zdyskontowana, że nie nadano jej choćby wymiaru powiatowego. Była to przecież okazja do spotkania dla szerszego grona aktywu kulturalnego powiatu, nauczycieli, młodzieży szkół średnich itd. Nie tylko miejscowi organizatorzy mieliby większą satysfakcję, ale pożytek byłby większy.

(j.w.)

Gdy 74 zbliża się ku końcowi

Zbliżający się koniec roku skłania zwykle do refleksji. Wprawdzie mamy jeszcze czas na to, aby ocenić jak pracowaliśmy i co robiliśmy dobrze, a co źle, ale można już teraz w połowie listopada, na półtora miesiąca przed końcem roku porozważać o pewnych tendencjach w naszej gospodarce. Rada Ministrów zatwierdziła plan i budżet na rok przyszły — ostatni rok bieżącej pięciolatki — i już dziś wiemy, że zadania pięciolecia 1971—1975 wykonamy pomyślnie, przekraczając wiele założeń. Dane z 4 lat bieżącego pięciolecia wskazują na przykład, że planowaliśmy zwiększyć dochód narodowy o 40 proc., a zwiększymy go o 47 proc. Planowaliśmy również zwiększyć produkcję w tym pięcioleciu o 36,8 proc., a wszystko wskazuje, że zwiększymy ją o przeszło 53 proc.

Cechą charakterystyczną tego pięciolecia był fakt, że w połowie okresu, jaki obejmuje plan społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, nie nastąpiło załamanie, nie zwolniliśmy tempa pracy, a przeciwnie — zwiększyliśmy je. Dzięki społeczno-gospodarczej polityce partii powstały warunki dla rozwoju i realizacji inicjatyw wszystkich ludzi pracy. Nadchodzący rok — 1975 — nie może różnić się od lat poprzednich, a zatem i plan na ten rok nie może być mniej ambitny niż był w latach poprzednich. Plan roku 1975 ma szczególny charakter, a ta szczególność zawiera się w tym, że jest to plan, którego realizacja zadecyduje o wynikach całej pięciolatki. I posiada on jeszcze jedną cechę charakterystyczną: stanowić będzie podstawę dla zadań przyszłej pięciolatki — lat 1976 — 1980.

Warto sobie już teraz, u schyłku czwartego roku pięciolatki, uświadomość specyficzność zadań roku przyszłego. Ale nie tylko w kategoriach obiektywnych, w kategoriach subiektywnych także. W działalności propagandowej, która w kształtowaniu świadomości społecznej odgrywa ważną rolę, pewne pojęcia zużyły się już od częstego używania i nadużywania. Zbyt dużo i często mówiliśmy o rezerwach, szansach, organizacji pracy. Mimo świadomości, że pojęcia te znacznie się zdewaluowały, trzeba do nich wrócić, trzeba je powtórzyć, gdyż istotnie ambitne zadania, jakie stawia partia przed całym narodem, stwarzają szansę na dalsze usprawnienie naszej gospodarki, na podniesienie jej poziomu, na jej unowocześnienie.

Oto pod koniec trzeciego kwartału na jednego poszukującego pracy mężczyznę i zarejestrowanego w wydziele zatrudnienia, przypadało 60 wolnych miejsc, a na jedną kobietę — 2 wolne miejsca. A jednocześnie w wielu fabrykach różnych przemysłów stan zatrudnienia poważnie przekraczał istotne potrzeby. I tu znów wypada odwołać się do tylekroć powtarzanych pojęć, ale bez podnoszenia wydajności pracy, bez unowocześniania techniki i technologii, bez doskonalenia organizacji pracy sytuacji tej nie zmienimy. Nie zrezygnujemy z programu inwestycyjnego, gdyż rozbudowa przemysłu, jego dalsza modernizacja może pozwolić utrzymać nam obecne miejsce Polski w świecie. Trzeba więc zastanowić się, gdzie pracuje zbyt dużo ludzi, gdzie można bez strat dla produkcji przesunąć ich do innych działów gospodarki. Wydaje się, że w pierwszym rzędzie trzeba zastanowić się nad stanem obsady administracji. Oto na przykład w pierwszym półroczu bieżącego roku, kiedy liczba pracowników z produkcji wzrosła o 2 proc., ilość pracowników administracji wzrosła o 5,2 proc.

Inna sprawa — to czas pracy. O tym, że właściwe wykorzystywanie czasu pracy jest ciągle rezerwą — mówi się i pisze od dawna. Ależ cóż z tego, skoro skutki tego są minimalne. W Łodzi na przykład w całym przemyśle w pierwszym półroczu tego roku ilość godzin nadliczbowych — w porównaniu do ilości godzin pierwszego półrocza ubiegłego roku — wzrosła o 14 proc. W tym — w przemyśle zarządzanym centralnie — o 15 proc., a w przemyśle zarządzanym i planowanym terenowo — o 0,5 proc. Ale ilość godzin traconych z powodu przestojów maszyn i urządzeń w całym łódzkim przemyśle wzrosła o 2 proc., w przemyśle planowanym centralnie — również o 2 proc., a w przemyśle planowanym i zarządzanym terenowo o 10,1 proc. I to też są r e z e r w y.

Przeprowadzony niedawno przegląd magazynów spowodował, że dziesiątki łódzkich przedsiębiorstw ograniczyło bądź zrezygnowało z dostaw surowców i materiałów o wartości 297 mln. zł. Mało tego. Przegląd ten wykazał, że w łódzkich fabrykach było zbędnych maszyn o wartości 565 milionów zł. Trochę więcej jak połowa tych maszyn spokojnie czekała na wykorzystanie, jako że dostawcy ich dotrzymali terminów, a budowlani — spóźnili się. Pozostała część była — niestety — po prostu zbędna. W tych przedsiębiorstwach, gdzie stały, w innych przecież mogły okazać się niezwykle potrzebne.

Otóż przegląd magazynów ujawnił nie tylko nadmierne zapasy w magazynach, ujawnił on również anachronizm wielu przepisów i schematów organizacyjnych systemu zaopatrzenia w kraju. I jeśli nie chcemy — a przecież nie chcemy — za rok czy za dwa robić następnego przeglądu tylko po to, aby stwierdzić, co zbędnego jest w fabrycznych magazynach, to trzeba podjąć pracę nad unowocześnieniem działalności służb zaopatrzenia, a to wymaga zmiany wielu nadal obowiązujących przepisów.

Przyszły rok ma być rokiem szybkiego rozwoju kraju, ale powinien to być rok szybkiego rozwoju nie tylko w sferach materialnych, ale też szybkiego rozwoju społecznej świadomości narodu. Trzeba będzie dołożyć ogromnych starań, dokonać wielkiego ysiłku, aby przełamać wiele starych, skostniałych nawyków, aby ludzie coraz wyraźniej widzieli związek interesów ogólnych społeczeństwa z ich interesami osobistymi, indywidualnymi. Zaczęliśmy już tę pracę. Nie jest to praca łatwa, ale jest ona pracą niezbędną. Każdy z nas powinien sobie uświadomić, że społeczeństwo dążące do unowocześnienia gospodarki musi też myśleć inaczej, nowocześnie, szukać w każdej dziedzinie bardziej skutecznych, na każdym stanowisku pracy rozwiązań nie tylko na miarę sił, ale przede wszystkim na miarę potrzeb, na miarę naszych narodowych ambicji. A to czasami okazuje się bardzo trudne. Niech nas te trudności nie przerażają, są one do pokonania. Największe rezerwy tkwią bowiem w naszej społecznej świadomości.

MARCIN RODAK

PLASTYKA

1

W Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie, w pałacyku przy ul. Rutkowskiego wystawiali z okazji prezentacji dorobku kulturalnego Łodzi i Ziemi Łódzkiej, w ramach ogólnopolskiej Panoramy 30-lecia PRL swoje prace malarskie i graficzne plastycy łódzcy: Wacław Kondek i Andrzej Szonert.

Skala zainteresowań twórczych Wacława Kondka jest bardzo szeroka. Zajmuje się on grafiką, malarstwem, rzeźbą, ceramiką. Interesował go film autorski i scenografia dla teatrów lalek. (Zrealizował ponad 50 spektakli). Zajmuje się również literaturą — pisze krótkie, liryczne i surrealne opowiadania okraszone specyficznym humorem. Wacław Kondek wielokrotnie wystawiał swoje prace w kraju i za granicą (Finlandia, Czechosłowacja, NRD, RFN, Szwecja, Dania, Bułgaria). Otrzymywał za swą twórczość wielokrotnie nagrody i wyróżnienia. W 1967 roku został Kondkowi przyznany Medal Honorowy za najlepsze prace graficzne na VII Okręgowym Konkursie na Grafikę w Łodzi; w 1969 roku otrzymał artysta Nagrodę m. Łodzi za zasługi na polu upowszechniania kultury. Prace Kondka znajdują się w licznych muzeach i w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

Andrzej Szonert uprawia malarstwo i grafikę. Jest pracownikiem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Ma on na swoim koncie siedem wystaw indywidualnych, uczestnictwo w wielu wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Należy on do ciekawszych twórców środowiska łódzkiego.

2.

W Poznaniu, W Arsenale na Starym Rynku otwarta została niezmiernie interesująca wystawa Klubu Laureatów Międzynarodowego Biennale Grafiki. Obejmuje ona około 180 prac wykonanych w różnych technikach graficznych, z przewagą serigrafii, których autorami są laureaci Biennale Grafiki w Krakowie. Ogółem w wystawie bierze udział 100 artystów z 24 krajów (m.in. z Japonii, Hiszpanii, USA, Kanady, ZSRR, Jugosławii, Francji i Wielkiej Brytanii). Projektantem udanej ekspozycji jest artysta plastyk Antoni Rzyski. W trakcie trwania wystawy wyświetlono filmy o sztuce w reżyserii Franciszka Kuduka.

Wystawie towarzyszą pokazy indywidualne Haliny Chrostowskiej (Polska), Kim Ondaatje (Kanada), Getulia Alviani (Włochy), Petera Nagela (RFN), Williama Tillyera (Wielka Brytania), Bengta Brockmanna (Szwecja), Eugenii Sidorkin (ZSRR), Vladimira Velickoviva (Jugosławia). W ramach imprezy wygłosił odczyt na temat sytuacji współczesnej grafiki Jerzy Madejski.

A. G.

OKO NA GOSPODARKĘ

CO ROBISZ PANIE KOWALSKI?

O wszystkim decyduje człowiek. Tak, to pięknie powiedziane, a w dodatku jest to bardzo słuszne stwierdzenie. Maszyna, nawet najbardziej przemyślnie skonstruowana, nie ruszy nie wyprodukuje, jeśli obok niej nie stanie człowiek, nie wykorzysta w procesie tworzenia swoich umiejętności manualnych i kwalifikacji.

Właśnie — człowiek. Coraz większą uwagę zwracamy na rolę czynnika ludzkiego w procesach rozwoju naszej ekonomii. Jest to zresztą zjawisko charakterystyczne nie tylko dla naszego kraju, ale również dla innych członków wspólnoty socjalistycznej, a na wielu gremiach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej przedmiotem wnikliwej debaty i oceny były już wielokrotnie takie problemy, jak sytuacja demograficzna krajów socjalistycznych, bilans sił ludzkich, zaangażowanych w proces gospodarowania, kwalifikacje potencjału ludzkiego, którym aktualnie dziś dysponujemy i jaki będzie nam potrzebny.

Warto się też bliżej przyjrzeć, jak te sprawy wyglądają w naszym kraju. Otóż w roku 1950 poza rolnictwem zatrudnionych było u nas 5,3 mln osób, przy czym liczba ta wzrastała bardzo szybko i tak w roku 1960 ten sam wskaźnik kształtował się na poziomie 7,3 mln osób, by dojść w roku 1970 do 10,5 mln osób, zatrudnionych w gałęziach pozarolniczych krajowej gospodarki. Ale na tym nie koniec. Według prognoz liczba osób zatrudnionych w przemyśle ma w roku 1980 zbliżyć się do granicy 14 mln osób.

Z tych liczb można wyciągnąć pierwszy, wstępny wniosek: w naszym kraju mamy do czynienia z bardzo szybkim przyrostem potencjału pracy w dziedzinach pozarolniczych.

Taka uwaga jest jednak tylko częścią prawdy, bowiem zjawisku liczebnego wzrostu potencjału pracy w naszym kraju towarzyszył jeszcze inny, niezmiernie ciekawy i znaczący społecznie i gospodarczo proces — w z r o s t u k w a l i f i k a c j i. W liczbach bezwzględnych wygląda to tak:

✦ Rok 1946 — dysponowaliśmy w kraju nie większą grupą, jak 35 — 40 tysiącami osób posiadających wyższe wykształcenie, a około 100 tys. osób mogło się poszczycić tzw. „dużą maturą".

✦ Rok 1971 — tu już sytuacja przedstawiała się zupełnie odmiennie i w samej tylko gospodarce uspołecznionej zatrudnionych było 534 tysiące osób z wykształceniem wyższym, 1.400 tys. pracowników tej samej dziedziny miało wykształcenie średnie zawodowe, 551 tys. średnie ogólnokształcące, a 1.740 tys. zasadnicze zawodowe.

Stąd wypływa wniosek drugi: sytuacja, w jakiej się znajdujemy, jest oczywiście różna jakościowo, dysponujemy już sporą kadrą wysoko wykwalifikowanych pracowników, a wszystko wskazuje na to, że ten proces będzie się pogłębiał i z 3,1 mln młodych ludzi, którzy według prognoz podejmą pracę w latach 1976 — 1980, absolwenci szkół ponadpodstawowych będą stanowili 67 procent. Krótko mówiąc — ten „ładunek" w zasadzie wysoko wykwalifikowanych i młodych rąk do pracy stanowi i stanowić będzie dodatkowy, ale wcale nie marginesowy czynnik, dynamizujący zarówno nasze życie gospodarcze, jak i społeczne w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Jest to też prawdą, ale nie dajmy się uwieść mirażom liczb, choćby były one najbardziej zachęcające i obiecujące. Liczby bowiem — liczbami, a na kadrowej „mapie" kraju jest bardzo wiele znaków zapytania, które wymagają pilnej ale i rozważnej odpowiedzi.

Choćby taka sprawa — przytaczam za Michałem Olendzkim z „Trybuny Ludu" — jak spożytkowanie nabytych kwalifikacji, których przecież zdobycie kosztuje sporo, a w miarę rozwoju gospodarczego i technicznego ten składnik kosztów „mobilizacji" społeczeństwa będzie stale się powiększał. Otóż — jak wynika z badań przeprowadzonych przez GUS, ponad 60 tys. absolwentów szkół wyższych w naszym kraju nie pracowało zgodnie z wyuczonym zawodem.

Jest to problem? Tak, i to niezmiernie ważki społecznie i gospodarczo.

Ale są jeszcze inne nie mniej istotne, jak choćby właściwe wykorzystanie czasu pracy kadr kwalifikowanych. Nie tak znowu dawno zetknąłem się z materiałem przygotowanym przez inspektorów Najwyższej Izby Kontroli, którzy przeanalizowali czas pracy, od strony jego wykorzystania, przez kadrę inżynieryjno - techniczną w kilku zakładach przemysłowych Łodzi oraz naszego województwa. Wprawdzie można już mówić tylko o sporadycznych faktach delegowania głównego mechanika do wykonania — w czasie przeznaczonym na pracę zawodową — okolicznościowej gazetki ściennej, niemniej i teraz jeszcze inspektorzy NIK spotkali się z rażącymi przykładami marnotrawstwa czasu, no i oczywiście, umiejętności kadry inżynieryjno-technicznej.

Czy jest to problem? Naturalnie.

Wydaje się ponadto, że stajemy wobec jeszcze innego zagadnienia, które jednak trzeba z pełną świadomością i odwagą podjąć. Chodzi tutaj o nic innego jak o nowe spojrzenie na strukturę zatrudnienia w naszym kraju. Utarł się u nas od lat pogląd, że jedynie słuszną zasadą jest wzrost liczby pracowników b e z p o ś r e d n i o produkcyjnych, natomiast liczba osób zatrudnionych, nie mówiąc już o administracji, powinna się jeśli nie zmniejszyć, to przynajmniej nie rosnąć.

Otóż wydaje się, że potrzebne jest nieco zmodyfikowane spojrzenie, choć może dyskusyjne, ale pewne zjawiska właśnie z tej dziedziny zachęcają do podniesienia tego problemu, postawienia go w rozmaitym świetle. Tylko proszę mnie nie posądzać o to, że zamierzam forsować jakieś poglądy prowadzące wprost do rozdmuchania aparatu administracyjnego, pomnażania biurek w różnych urzędach wręcz odwrotnie. Dostrzegając i podpisując się dwiema rękami pod opiniami tych, którzy uważają, że z właściwym wykorzystaniem kwalifikacji, umiejętności, możliwości człowieka nie jest w naszym kraju dotychczas najlepiej, nie sądzę by cały ten problem można było sprowadzić do zmniejszenia stanu liczebnego tzw. nieprodukcyjnych stanowisk pracy. To byłoby zbyt proste, aż śmiesznie łatwe. A może — właśnie w trosce o produktywizację czynności dających wymierne ekonomiczne rezultaty, tu i ówdzie np. w biurach projektowych, pracowniach instytutów badawczych, ba — nawet i w zakładach produkcyjnych należy zwiększyć obsadę, liczbę osób wypełniających czynności pomocnicze, ale ściśle warunkujące rozmiary produkcji materialnej? Warto natomiast znaleźć odpowiedź na inne, nader frapujące pytania jak np. czemu to 60 tys. absolwentów wyższych uczelni — ludzi odpowiednio przygotowywanych, kształconych na co wydano sporo złotówek — nie pracuje zgodnie z wyuczonym zawodem, czemu inżynier — człowiek o specjalistycznym wykształceniu odrabia biuralistyczne „kawałki", które bez trudu może za niego wykonać ktoś zupełnie inny. Kto? A no — właśnie taki „ktoś" przygotowany do owej biuralistyki.

Takich pytań warto postawić więcej — i to nie tylko w formie „gdzie pracujesz panie Kowalski", ale również „jak pracujesz panie A, B, czy C". Trudne? Niedawno, z inicjatywy partii daliśmy już odpowiedź na podobnie złożone pytanie dokonujące powszechnego przeglądu zapasów surowców, materiałów, maszyn i urządzeń tkwiących w magazynach. W samej tylko Łodzi, w 285 zakładach ujawniono w ten sposób rezerwę znacznie przekraczającą wartość 1 miliarda 720 milionów złotych. To jest coś, bowiem przy okazji ujawniono — oprócz surowców, maszyn i urządzeń — potrzebę wypracowania nowego doskonalszego systemu powiązań między rynkiem a produkcją, ale także wyprostowania dosyć jeszcze splątanych nitek łączących producentów w sferze kooperacji. Ludzie, ich umiejętności, rozmieszczenie sił człowieka w sferze gospodarki — to też jest licząca się rezerwa, szczególnie gdy odpowiedź na pytanie „czemu właśnie to robisz panie Kowalski" nie jest zbyt przekonywająca.

KRZYSZTOF POGORZELEC

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BIŃKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

NAUKA ✯ POSTĘP ✯ DOBROBYT

W dynamicznym rozwoju społeczno-ekonomicznym Polski szczególnie szybkim na przestrzeni ostatnich czterech lat, ogromną rolę odgrywa nauka. W Łodzi mamy siedem wyższych uczelni. Społeczeństwo łódzkie coraz bardziej docenia ich znaczenie w rozwiązywaniu złożonych problemów gospodarczych i socjalnych w kraju, w tym również w naszym regionie. Nasze wyższe uczelnie są dziś chlubą Łodzi.

Dając wyraz zainteresowaniu tą ważną problematyką zwróciliśmy się do rektorów wyższych uczelni łódzkich z prośbą o wypowiedzi na temat dalszych perspektyw rozwojowych uczelni, zamierzeń dydaktycznych i naukowo-badawczych w bieżącym roku akademickim oraz trudności, które hamują realizację programów rozwoju.

Dziś zamieszczamy wypowiedź rektora Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych — doc. ROMANA ARTYMOWSKIEGO.

Jak wiadomo Uczelnia nasza kształci artystów plastyków specjalizujących się bądź w projektowaniu przemysłowym tkaniny odzieżowej i dekoracyjnej, dzianin oraz odzieży — z wszelkimi elementami składającymi się na ubiór człowieka — bądź w grafice użytkowej, tzn. w projektowaniu opakowań, grafice reklamowej, poligrafice, czy grafice przestrzennej związanej z zagadnieniami informacji wizualnej. Istnieje ponadto możliwość uzyskania dyplomu z grafiki warsztatowej, z tkaniny unikatowej, jak również ze szczególnej specjalizacji, jaką jest programowanie wzornictwa, przygotowującej przyszłych — nazwijmy to — „menadżerów" dla potrzeb przemysłu i handlu. Te ostatnie specjalności wybierają nieliczni studenci.

To podkreślenie na początku — artystów plastyków — zdawałoby się rzecz oczywista, wcale nie jest przypadkowe. Chodzi o model kształcenia i o profil absolwenta. Znamy w świecie szkoły projektantów form przemysłowych, w których to szkołach kształcenie opiera się na zupełnie innych założeniach: nauki, techniki, ekonomiki a nawet retoryki i metod perswazji. Zagadnienia

plastyczne są tam zepchnięte właściwie na ostatni plan.

My przyjęliśmy inny wzorzec, już choćby dlatego, że w projektowaniu tkaniny i ubioru czy grafiki szczególnie ważną, jeśli nie największą rolę odgrywa wynik estetyczny, wyczucie formy plastycznej. Jak dotychczas wzorzec ten zdaje z powodzeniem egzamin, o czym świadczą z jednej strony ogromne zapotrzebowanie na naszych absolwentów w kraju, z drugiej — osiągnięcia naszych wychowanków, którzy znaleźli się za granicą.

Ale wybór takiej właśnie koncepcji wcale nam, pedagogom, nie ułatwia zadania. Musimy tak przygotować studentów, by zdolni byli zaraz po studiach przystąpić do pracy w przemyśle, a jednocześnie myśleć o ich przyszłych losach. Co będą robić za lat kilka lub kilkanaście, gdy zmienią się technologie, a w związku z tym nastąpią w przemyśle reorganizacje, gdy pewne specjalności czy pewne branże zanikną, a pojawią się nowe, jeszcze nie znane. Musimy przygotować studentów do życia w warunkach szybkiego narastania wiedzy, przemian w stosunkach produkcji, musimy im wpoić potrzebę permanentnego uczenia się. Musimy też brać pod uwagę, że w Łodzi, obok przemysłu lekkiego, będą rozwijać się inne, jak maszynowy czy elektroniczny i że tam także będą pracować nasi absolwenci. Musimy w końcu pamiętać o potrzebach miasta i regionu, łódzkiego środowiska artystycznego, które czeka nie tylko na projektantów, ale po prostu na malarzy, rzeźbiarzy, grafików.

To wszystko zmusza nas do równoważenia proporcji między kształceniem ogólnoplastycznym specjalistycznym, do układania takich programów i szukania takich metod dydaktycznych, które pozwolą nam najlepiej wywiązać się z owej, co najmniej „dowistości" zadań. To nie zawsze jest dostrzegalne z zewnątrz i dlatego narażamy się na krytykę. Raz, że troszczymy się tylko o kształcenie artystów, a sprawy wzornictwa leżą w Polsce odłogiem, raz, że zaniedbujemy stronę artystyczną, ponieważ zwiększyliśmy ostatnio liczbę godzin na specjalizację i teoretyczne podstawy specjalizacji. Otóż staramy się zostawić studentom prawo wolnego wyboru własnej drogi twórczej. Tak więc obok intensyfikacji treści nauczania, koniecznej ze względu na skrócenie czasu studiów, wskazaniem na przyszłość jest stałe doskonalenie metod pracy pedagogicznej: tu wchodzą w grę nie mniej ważne sprawy wychowania młodzieży — przyszłych twórców kultury narodowej. **Będziemy też kładli większy niż dotąd** nacisk na studia indywidualne.

Drugim zadaniem stojącym przed Uczelnią jest rozwój badań naukowych i naukowo-artystycznych. Program badań musi być związany z dydaktyką, ale musi też być w pewnym sensie wyodrębniony, ponieważ mamy obowiązek służyć pomocą — przemysłowi i regionowi w rozwiązywaniu wielu zadań właśnie z zakresu wzornictwa, opakowań, informacji wizualnej, reklamy, czy choćby usług w dziedzinie poradnictwa lub doszkalania kadr. Zadań, które trzeba niekiedy rozwiązywać na bieżąco, a zatem nie można włączać w długotrwały cykl dydaktyczny. Z tą myślą powołaliśmy w tym roku biuro do spraw badań naukowo-artystycznych i współpracy z przemysłem, zakładając, że badania typu podstawowego będą nadal prowadzone przez katedry. W najbliższym jednak czasie planujemy uruchomienie instytutu międzywydziałowego, który przejmie ciężar organizowania, administrowania, pilotowania prac badawczych. Mamy bowiem więcej zleceń od przemysłu niż mogą temu podołać małe, zbyt szczupłe kadrowo, dotychczasowe jednostki organizacyjne Uczelni. Będziemy również bardziej angażowali do prac badawczych studentów.

Trzeba tu dodać, że od października tego roku przeszliśmy w dziedzinie prac badawczych na własny rozrachunek. To też jest w jakimś sensie czynnik aktywizujący i dopingujący.

Bieżący rok akademicki będzie, jak już mówiliśmy, okresem dalszego doskonalenia i synchronizacji programów dydaktycznych. Chcielibyśmy niejako podsumować skutki zapoczątkowanej trzy lata temu reformy strukturalnej i programowej, i przedyskutować pozytywy i ewentualne negatywy nie tylko we własnym gronie, lecz także w gronie naszych kontrahentów, to znaczy przedstawicieli przemysłu i organizacji społecznych.

W dziedzinie prac badawczych mamy na ten rok mnóstwo zobowiązań. Do większych zadań należą, między innymi, zaprojektowanie wyposażenia wnętrz dla nowo wznoszonego gmachu ambasady PRL w Moskwie, opracowanie systemu informacji wizualnej w kilku zakładach w Łodzi i województwie, przeprowadzenie badań analitycznych szaty graficznej wydawnictw na zlecenie Zarządu Głównego „RSW Prasa" itp. Mamy umowę o współpracę z wielu zakładami, można tu wymienić choćby Zakłady Obrońców Pokoju. W ostatnich dniach np. podpisaliśmy umowę z Centralą Tekstylno-Odzieżową, dla której chcemy przygotować cały pakiet materiałów informacyjnych dotyczących wzornictwa, a także sporo projektów.

W roku 1975 powinniśmy również przystąpić do zorganizowania Studium Pedagogicznego dla nauczycieli wychowania plastycznego w liceach. Sprawa jest pilna w związku z zapowiedzianą reformą szkolnictwa, ale musimy tu czekać na pewne wytyczne ze strony resortu oświaty. W tej chwili nie wiemy jeszcze, jaki ma być profil przyszłego nauczyciela przedmiotów plastycznych; nie wiemy również, ilu absolwentów powinniśmy co roku wypuszczać, wiemy tylko, że jest bardzo duże zapotrzebowanie na plastyków pedagogów. Planujemy nadto uruchomić w przyszłym roku akademickim studia podyplomowe dla projektantów, bo zarysowała się taka potrzeba. Znalazłyby się tam między innymi takie specjalności, jak konserwacja tkanin zabytkowych, jak wspomniane już programowanie wzornictwa.

Zamierzamy w tymże roku rozwinąć szerszą działalność popularyzacyjną. Szykujemy szereg wystaw i konkursów plastycznych: m.in.: konkurs z zakresu wzornictwa tkanin i ubioru dla naszych byłych wychowanków. W związku z akcją „Współpraca nauki z przemysłem" przygotowujemy kilka wystaw w zakładach przemysłowych. Pod koniec 1974 r. wystąpimy z wystawą prac pedagogów. Przygotowujemy wreszcie księgę pamiątkową Uczelni. W roku bieżącym obchodzimy trzydziestolecie istnienia PWSSP i czas już najwyższy, by opracować i przedstawić jej historię.

Nasze trudności są na ogół znane. Przede wszystkim przeciąga się budowa nowego gmachu. Właściwie w tej chwili nie mamy warunków na prowadzenie normalnej działalności statutowej — nie mamy ani jednego pomieszczenia przystosowanego do potrzeb współczesnej szkoły wyższej. Tym bardziej nie mamy warunków do podejmowania nowych inicjatyw. Przyjmujemy zbyt mało studentów w stosunku do zapotrzebowania, a wobec tego zatrudniamy zbyt szczupłą kadrę, by rozwijać na większą skalę prace badawcze.

We wrześniu br. przypadły rocznice dwóch wydarzeń, których daty pozostaną na zawsze uwiecznione w pamięci narodu chilijskiego. Dwie rocznice: 4 września 1970 roku i 11 września 1973 roku, lecz jakże różna jest ich wymowa. Pierwsza — była nadzieją na lepsze jutro, nadzieją na wydźwignięcie z wielowiekowego zacofania, nędzy nie tylko społeczeństwa chilijskiego, ale także większości społeczeństw innych krajów kontynentu południowoamerykańskiego. Była zielonym światłem dla pokojowej rewolucji, szansą wielu milionów ludzi. Druga — to próba bezwzględnego przekreślenia tej szansy, rozpaczliwe przeciwdziałanie ze strony „obrońców" dawnego systemu i porządku społecznego, których żywotne interesy w toku dokonujących się w Chile rewolucyjnych przemian społecznych zostały poważnie zagrożone.

CHILE-ŹRÓDŁA TRAGEDII[1]

Choć od owego tragicznego finału „chilijskiego eksperymentu" minęło już kilkanaście miesięcy, wydaje się jednak, iż zbyt krótki to jeszcze okres czasu, aby dokonać gruntownej analizy tego, co się wydarzyło w kraju szczycącym się przecież najstarszymi tradycjami demokratycznymi na kontynencie południowoamerykańskim. Mimo iż na całym świecie pojawiło się szereg opracowań i analiz próbujących wyjaśnić podłoże tragedii, brak chyba jeszcze podstawowego ogniwa w procesie badania jej przyczyn. Mam tu na myśli bilans tego, co wydarzyło się w Chile dokonany przez tych, co ocaleli i organizują dziś ruch oporu przeciw krwawym rządom junty. Jest bowiem sprawą oczywistą, że postronny obserwator chilijskiej tragedii nie może z uwagi na brak podstawowych danych dla obiektywnej oceny wydarzeń, odpowiedzieć w sposób pełny na fundamentalne pytanie: **„Dlaczgo tak się stało"?**

Nie oznacza to naturalnie, iż w chwili obecnej nie można już wyciągnąć pewnych wniosków z doświadczenia wydarzeń chilijskich, dokonując rekapitulacji faktów stanowiących istotną przesłankę do ujawnienia **rzeczywistych źródeł tragedii.** Należy jednakże pamiętać, że można tego dokonać tylko pod warunkiem syntetycznego i całościowego ujęcia procesu rewolucyjnych przemian wewnętrznych w Chile, wprowadzanych i realizowanych z inicjatywy **Frontu Unidad Popular w okresie lat 1970—1973.** Tak pomyślana analiza powinna zatem podkreślić główne osiągnięcia z dorobku teorii i praktyki Komunistycznej Partii Chile, jakie wniosła ona do teorii rewolucji; powinna stanowić trzeźwe spojrzenie na rzeczywisty układ sił klasowych w Chile w różnych fazach procesu przemian; a nade wszystko powinna dokładnie zbadać przyczyny klęski i uwypuklić rzeczywiste błędy popełnione przez rząd Jedności Ludowej w okresie sprawowania przezeń władzy. Kluczem zaś do takiej analizy jest teoria Lenina o imperializmie, o socjalistycznej rewolucji oraz jego metodologia, która zapewnia prawidłowość tej analizy w odniesieniu do zasadniczych problemów rozwoju walki klasowej na współczesnym etapie.

1.

Wojskowy zamach stanu w Chile stanowił wyraźny dowód na to, że burżuazja w obliczu zagrożenia jej żywotnych interesów i podstaw egzystencji nie zawaha się w ich obronie zdeptać elementarnych zasad praworządności, konstytucji i demokracji, zasad, które sama ustaliła i które w innych warunkach demagogicznie głosi. Ten oczywisty wniosek, wynikający z obserwacji rozwoju sytuacji w Chile, wysuwa się zdecydowanie na pierwszy plan w analizie wypadków wrześniowych. Nic dziwnego, bowiem, jak nietrudno zauważyć, **rozwój historii światowej na obecnym etapie określony jest przecież rozszerzeniem skali, pogłębieniem treści i różnorodnością form zmagania się demokracji i reakcji, rewolucji i kontrewolucji, sił budujących socjalizm i klas broniących kapitalizmu.** Zmaganie to staje się tym silniejsze w dobie obecnej, im bardziej widoczne stają się na świecie osiągnięcia sił pokoju, socjalizmu, demokracji i rewolucji, im dynamiczniej rozwijają się one po linii wstępującej i im szybciej kapitalizm — wykazując oczywistą niezdolność w działaniu na rzecz rozwiązywania obecnie istniejących problemów drogą postępu — porusza się po linii zstępującej. Widać więc dziś wyraźnie, iż **sprawa zastąpienia starego ustroju społecznego przez nowy stała się palącą potrzebą doby współczesnej, jak i to, że światowy proces rewolucyjny nabrał nieodwracalnego charakteru.** Ucieleśnieniem tych zjawisk jest z jednej strony wzrost siły międzynarodowego oddziaływania socjalizmu, z drugiej zaś pogłębienie się ogólnego kryzysu kapitalizmu.

Właśnie w tej fazie kryzysu, która cechuje jego skrajne zaostrzenie, powstały nowe sprzyjające warunki do dalszego rozwoju walki klasowej, jak i obiektywne możliwości decydującego ataku na pozycje monopoli i dokonanie przesunięcia na lewo, pamiętając jednak, iż kryzys nie prowadzi automatycznie do rewolucji. **Taka jest bowiem dialektyka procesów rewolucyjnych, że osłabienie pozycji klas, których odejście staje się sprawą przesądzoną, wzmaga siłę ich oporu i jak wykazuje obecna praktyka, istnieją w zasadzie dwa warianty wyjścia z kryzysu, jaki ogarnął społeczeństwo kapitalistyczne: demokratyczno-rewolucyjny i reakcyjno-faszystowski, między którymi toczy się zaciekła walka.** Właśnie taka walka toczyła się i toczy nadal w Chile.

2.

Co wrunkowało ewolueję stanowiska burżuazji wobec Frontu Jedności Ludowej? Dlaczego prawica w ogóle dopuściła do objęcia władzy przez prezydenta Salvadora Allende jesienią 1970 roku? Dlaczego działalność rządu w zakresie wprowadzania reform społecznych była praktycznie sparaliżowana? Co stanowiło o słabości Frontu Unidad Popular i czy to, co się stało we wrześniu ubiegłego roku było rzeczywiście nieuchronne? Dlaczego armia chilijska, która przez trzy lata była przecież lojalna wobec rządu FJL, stała się następnie główną siłą szturmową całej kontrrewolucji? W jakim stopniu wreszcie doświadczenia chilijskie lat **1970—1973, stanowiące pierwszą w historii próbę pokojowego i demokratycznego urzeczywistniania programu zmierzającego do socjalistycznych przeobrażeń, wzbogacają tezę o możliwości przejścia od kapitalizmu do socjalizmu drogą parlamentarną?**

3.

Gdy Salvador Allende osiągnął względne zwycięstwo wyborcze, uzyskując 36,4 proc. głosów, mówiono, iż zawdzięcza je błędowi, jaki popełnili jego przeciwnicy, dzieląc swe głosy na dwóch kontrkandydatów. Rzeczywistość pokazuje jednak zupełnie coś innego. Już bowiem w wyborach w 1958 roku Allessandri pokonał Allende różnicą zaledwie 31.000 głosów, zaś w 1964 roku prawica pod wpływem kryzysu, jaki ogarnął jej obóz, udzieliła swego poparcia przedstawicielowi chadecji, Eduardo Freiowi, który rozbudzając bliżej nie określone nadzieje na „rewolucję wolności" tym razem jeszcze wygrał wybory.

Rychło jednak okazało się, jak iluzoryczne były to nadzieje. Oto bowiem coraz wyraźniej ujawnia się niemoc rządu Freia, który podejmując niezdecydowane kroki w zakresie reformy rolnej, jak też próby zwiększenia i rozszerzenia spożycia, nie tylko nie jest w stanie poprawić sytuacji mas chilijskich i subproletariatu, ale budzi zarazem nieufność i niechęć w kręgach oligarchii i protektorów z USA. Jednocześnie w szeregach samej chadecji dokonuje się na tym tle rozłam. W takim kontekście doszło **w styczniu 1970 roku do ukonstytuowania się Unidad Popular,** która wysunęła Allende jako swego kandydata na stanowisko prezydenta we wrześniowych wyborach. Jednakże partią, która odegrała czołową rolę w określeniu programu działania koalicji Jedności Ludowej, była **Komunistyczna Partia Chile.**

Na podstawie jej koncepcji zawartej w dokumentach uchwalonych na XIV Zjeździe została sformułowana rewolucyjna, konstruktywna platforma walki. Trzeba tu podkreślić olbrzymią doniosłość programu wysuniętego przez KP Chile, jako że określił on w sposób twórczy główne zadania, układ sił klasowych i możliwości przegrupowania na pierwszym, strategicznym etapie rewolucji, na którym miała być ona **antyimperialistyczna, antyoligarchiczna, antylatyfundialna, demokratyczna oraz agrarna z perspektywą przejścia do socjalizmu.** Widać tutaj wyraźnie kierunki głównego uderzenia programu partii komunistycznej — pierwszy z nich to imperializm amerykański, który rządził życiem ekonomicznym kraju; — drugi to miejscowi latyfundyści, którzy związali się z rodzimym i amerykańskim kapitałem monopolistycznym; — trzeci to chilijski kapitał monopolistyczny silnie związany z amerykańskim.

Takie określenie pierwszoplanowych zadań walki programu zaakceptowanego przez pozostałe partie koalicji Jedności Ludowej, w pełni odpowiadało interesom najszerszych warstw ludności: chłopów, robotników, rzemieślników, drobnych przemysłowców i kupców oraz inteligencji pracującej. Program Unidad Popular wzbudził także pewne zainteresowanie w kręgach średniej burżuazji, odczuwającej cisk ze strony imperializmu i miejscowej oligarchii.

4.

Obserwując rozwój sytuacji w Chile partia komunistyczna doszła do wniosku, że w kraju dojrzewa kryzys w wyniku zaostrzenia wszystkich sprzeczności właściwych społeczeństwu chilijskiemu. U podstaw tego wniosku leżały następujące przesłanki:

Po pierwsze — schyłek lat sześćdziesiątych cechował wzrost nastrojów antyimperialistycznych, będący rezultatem zaostrzenia się sprzeczności między narodem chilijskim a imperializmem amerykańskim.

Po drugie — wyraźnie zarysował się kryzys socjalnych struktur społeczeństwa chilijskiego, który przybierał na sile wskutek spadku produkcji, szybkiego wzrostu inflacji, masowego bezrobocia oraz powszechnej nędzy robotników i chłopów, kryzys pogłębiający się jeszcze z powodu istnienia przestarzałych stosunków społecznych.

Po trzecie — okres ten cechuje również poważne zaostrzenie się kryzysu politycznego, kryzysu burżuazyjnego reformizmu, którego ucieleśnieniem była polityka Freia. Unaocznił on bowiem niezdolność klas panujących do kierowania krajem przy użyciu starych metod. W swej istocie zapowiadając „rewolucję wolności", „chilizację miedzi", reformę rolną i reformy społeczne, program chadecji był ostatnią partią, jaką zdecydowała się rozegrać demokracja burżuazyjna. Poniósł jednak całkowite fiasko.

Efektem oddziaływania tych wszystkich kryzysowych zjawisk, które przesądziły o treści i charakterze ogólnonarodowego kryzysu politycznego, było znalezienie się klas panujących w izolacji. W tych warunkach największe szanse na zrealizowanie drogą pokojową głównego zadania rewolucji — problemu władzy — dawały wybory prezydenckie, które w wypadku zwycięstwa bloku lewicy otwierały jej dostęp do władzy wykonawczej. Dostrzegając ten niekorzystny dla siebie rozwój sytuacji koła międzynarodowej i rodzimej reakcji postanowiły przeciwdziałać, aby za wszelką cenę uniemożliwić obozowi lewicy przejęcie władzy. Nie cofano się nawet przed skrytobójczym mordem, którego ofiarą padł m. in. głównodowodzący chilijskich sił zbrojnych, gen. René Schneider, za odmowę użycia armii jako narzędzia spisku przeciw legalnie wybranemu prezydentowi.

cdn.

ANDRZEJ BLAJER

ERSKINE CALDWELL

MIAŁA NA IMIĘ AMELIE

Jestem bezradna. Dlatego nie mogę dłużej żyć. Nawet jeden dzień więcej takiej udręki byłby dla mnie nie do zniesienia.

Dwa lata temu wyszłam za mąż i żaden mężczyzna na świecie nie mógłby dla mnie być tak drogim, jak mój mąż Ray w czasie wszystkich dni naszego pożycia. Nie wiem jak to się stało, że on był mi tak oddany, i cieszę się jednocześnie, że to właśnie on jest tym jedynym mężczyzną, którego pokochałam prawdziwie. I nie mogłabym nigdy, przenigdy kochać kogoś innego tak bardzo, jak mojego Raya. Ale już od dwóch lat żyję w ciągłej udręce, której nie zniosę dłużej nawet o jeden dzień.

Wszystko czym los mnie doświadczył jest wyłącznie moją winą. Ray nie ma z tym nic wspólnego. Co więcej: on nawet o tym nie wie. Tylko ja ponoszę za to odpowiedzialność.

Cały czas myślałam o tym w jaki sposób przekonać Waltera Greenwaya, aby dał mi spokój, żebym nie musiała więcej oszukiwać Raya. Błagałam go na klęczkach już sama nie wiem ile razy, by nie zmuszał mnie do niczego, ale Walter nawet słyszeć o tym nie chciał. Za każdym razem gdy usiłowałam o tym mówić groził mi, że o wszystkim powie mojemu mężowi. Ray mi wielokrotnie mówi, że rzuciłby mnie, gdyby okazało się, że go zdradziłam, i ja wiem, że mógłby tak postąpić. Kocham go tak bardzo, że jestem gotowa na wszystko byleby go przy sobie zatrzymać. Nie chcę zdradzać Raya, jest to ostatnia rzecz na tym świecie, jaką bym kiedykolwiek uczyniła. Chcę być dla niego najwierniejszą, bo to jest Ray, mój mąż. Nienawidzę siebie, każdej swojej chwili, nienawidzę od tego dnia, gdy to uczyniłam.

Cztery lata temu, miałam wtedy dwadzieścia trzy lata, zaczęłam pracować jako księgowa w biurze Waltera. Ukończyłam właśnie szkołę handlową. Było to na dwa lata przed moim ślubem z Rayem Hammondem. Walter był przedstawicielem handlowym oferującym lakier chiński instytucjom i miał niewielkie biuro pośredniczące w tej sprzedaży na pierwszym piętrze w budynku z czerwonej cegły w pobliżu morza, między rzeką a Placem Jacksona. Walter, który mieszkał stale w Nowym Orleanie, miał trzydzieści cztery lata i zajął się tym pośrednictwem handlowym po śmierci swego ojca. W tej dzielnicy było wiele podobnych instytucji zajmujących kilka domów na brzegu rzeki Mississipi i w porcie.

Walter był kawalerem i mieszkał na drugim piętrze w tym samym domu. Było to przestronne mieszkanie z cudownym widokiem na rzekę i miało duży balkon wychodzący na plac. Walter był zawsze elegancko ubrany, był szczupły, zgrabny i przystojny. Miał bardzo ciemne włosy — dużo ciemniejsze od moich — i jasnoniebieskie oczy. Zawsze mi się wydawało, że każda dziewczyna z łatwością może się w nim zakochać, i prawdopodobnie wiele się w nim kochało. Niewiele brakowało — już parę razy się na tym złapałam — abym i ja także dla niego straciła głowę, a czasem to się tak zastanawiałam, co by było, gdyby to mi się rzeczywiście przydarzyło. Chodziłam do mieszkania Waltera na drugie piętro po pracy kilka razy w tygodniu, czasami zostawałam u niego na noc zamiast wracać do domu w Gentilly, gdzie mieszkałam z matką i młodszą siostrą. I zawsze w owym czasie, gdy zostawałam z Walterem, pragnęłam zostać jego żoną, i gdyby tylko mi to zaproponował — zgodziłabym się. Ale nigdy mi tego nie zaproponował, co więcej, wiele razy mówił mi, że jestem tak ładna, że każdy mężczyzna czułby się przy mnie szczęśliwy, i że on woli mnie od wszystkich dziewcząt, jakie znał dotychczas.

Pierwszego roku, a nawet potem nim jeszcze poznałam Raya, Walter zabierał mnie na weekendy do Bilaxi, Gulfport i Pass Christian przez całe lato i wtedy pływaliśmy łodzią po zatoce i leżeliśmy na plaży przy świetle księżyca. Byłam wówczas szczęśliwa, ponieważ uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam samotna nim między mną i Walterem doszło do intymnego zbliżenia. To on był tym pierwszym mężczyzną, którego pragnęłam i pierwszym, którego pożądałam, z którym chciałam się kochać i chyba dlatego wszystko co razem robiliśmy nie wydawało mi się czymś niewłaściwym. Byłam pewna, że prędzej czy później zaproponuje mi małżeństwo i miałam taką nadzieję za każdym razem, gdy byłam u niego. Jednak on ani razu nie zaproponował mi, abyśmy się pobrali.

— Walter — spytałam go pewnej nocy, gdyśmy leżeli na plaży w Bilaxi — czy twoi bracia i siostry pozakładali rodziny?

— Tak, wszyscy się już ustatkowali, i to dość dawno — odparł śmiejąc się. — Oprócz mnie, oczywiście, jestem inny niż oni. Siedzi we mnie niespokojny duch, ciągle mnie gdzieś niesie.

— Czy tak chcesz przepędzić całe życie, Walter?

— Chyba tak, kochanie — powiedział z nutą powagi w głosie. — Zawsze robię to, co wydaje mi się być słusznym.

Od tego czasu upłynął rok, gdy spotkałam Ray Hammonda, a on poprosił mnie o rękę po tygodniu naszej znajomości. Ray był sympatyczny, wielkoduszny i delikatny, i od początku był święcie przekonany, że nigdy nie będę żałować, jeżeli wyjdę za niego za mąż. On nie był tak przystojny, jak Walter i nie było go stać na to, by nosić tak kosztowne ubrania, ale było w nim coś, co pociągało mnie do niego bardziej niż do kogokolwiek przedtem. Ray pracował w instytucji ubezpieczeniowej i powiedział, że za parę lat będzie mógł zarobić na utrzymanie nas obojga, a z czasem nawet i na nas troje wystarczy... Wiedziałam, że chciałby mieć dzieci, ja oczywiście także. On chciał abym pracowała tylko do tego momentu póki nie będę miała pierwszego dziecka. Ray miał wtedy dwadzieścia osiem lat i miał nadzieję za dwa lata awansować na zastępcę kierownika w agencji ubezpieczeniowej.

— Staniemy na nogi za rok—dwa — powiedział mi w tajemnicy — a ty natychmiast zwolnisz się z pracy. Oto co ci mogę obiecać. Poczekaj tylko, a zobaczysz!

— Będzie tak, jak zechcesz, Ray — powiedziałam. — Chciałabym, aby w naszym domu było wszystko, jak należy.

— Nie będziemy na to długo czekać — rzekł. — Jest to sprawa mojej męskiej ambicji.

Kiedy następnego dnia powiedziałam Walterowi, co zamierzam uczynić, ten poradził mi, abym wyszła za mąż za Raya, jeśli chcę, ale dodał, że on nie ma zamiaru rezygnować ze mnie i że w dalszym ciągu będzie oczekiwać moich wizyt u niego w mieszkaniu po pracy, tak jak to miało miejsce przez ostatnie dwa lata. Nie wierzyłam w to co mówi, a ponieważ zakochałam się w Rayu — pobraliśmy się. Wyjechaliśmy w podróż poślubną na tydzień na Florydę. Byłam tak szczęśliwa z Rayem, że zupełnie zapomniałam o Walterze i o tym, że on czeka na mój powrót.

Pierwszego dnia po przyjściu do pracy, po tym cudownym tygodniu spędzonym na Florydzie z Rayem, Walter powiedział mi, że czeka na mnie u siebie o wpół do szóstej. Płakałam i robiłam wszystko, aby go przekonać o mej miłości do Raya, prosiłam, by mnie nie zmuszał do niewierności. Byłam tak przygnębiona, że nie wiedziałam co czynić. Najpierw Walter wyśmiał mnie, a potem zaczął dowcipkować z mego uczucia. Potem, kiedy w dalszym ciągu prosiłam go, by zostawił mnie w spoju — rozzłościł się i powiedział, że o wszystkim doniesie Rayowi, jak to przez dwa lata byłam jego kochanką, jeżeli nie zgodzę się teraz na to czego on ode mnie oczekuje. Chyba powinnam była pozwolić mu pójść do Raya i gadać co chce, i chyba wtedy wszystko przybrałoby inny obrót. Być może wówczas w tamtej sytuacji było to najmądrzejsze postanowienie. Albo jeszcze lepiej należało mnie samej pójść do Raya i powiedzieć o tych sprawach intymnych, jakie łączyły mnie z Walterem. Myślę, że wtedy Ray wybaczyłby mi te moje grzechy płochej młodości, bowiem tacy byliśmy w sobie zakochani i zdawało nam się, że całe nasze życie będzie jednym wielkim miodowym miesiącem... Albo też należało rzucić pracę w biurze Waltera i znaleźć gdzie indziej. Ale ja bałam się Waltera Greenwaya. Bałam się tego, co mogło się stać w przypadku, gdybym nie przyszła do jego mieszkania, więc o wpół do szóstej weszłam na drugie piętro zamiast wrócić po pracy do mego domu, gdzie oczekiwał na mnie mój mąż Ray.

Walter zrobił coctail z ginu i musującego wina i tak siedząc naprzeciwko długo spoglądaliśmy na siebie. To było latem, pamiętam ciepło było i tylko od czasu do czasu słaby powiew wiatru znad zatoki wlatywał przez otwarte okna. Myślałam wtedy o Rayu i o małym domku, któryśmy wtedy wynajęli. Mogłam mojego męża sobie wyobrazić, jak czeka w tym domu na mnie i wiedziałam jak mogłoby go to zaboleć, gdyby wiedział, gdzie teraz jestem i po co tutaj przyszłam. Pomyślałam tak i łzy nabiegły mi do oczu.

— Po co od razu aż tak, kochanie — powiedział Walter po chwili. Usiadł obok mnie, objął i pocałował. Chciałam mu się oprzeć, odepchnąć od siebie, jednak wiedziałam, że to go od niczego nie powstrzyma. On już przyzwyczaił się do pewnego obcowania ze mną, do określonej samowoli i wiem jaki agresywny i zdecydowany był wtedy, gdy czuł, że mam zamiar przerwać naszą miłość. Tego wieczoru byłam tak słaba i rozbita z nadmiaru nieszczęścia i łez, że w trakcie tego co się działo byłam zupełnie bezradna. Kiedy w końcu otworzyłam oczy — na dworze zaczynało szarzeć, a ja po tym wszystkim leżałam dość długo szlochając. Potem usłyszałam, jak Walter mówi:

— Teraz się będziesz czuła zupełnie dobrze, kochanie. Bo przecież nie jesteś z tych dziewcząt, które przerwałyby to wszystko, co dotąd było między nami. Znaliśmy się zbyt długo i dlatego tak się stało. I będzie już tak między nami zawsze, wiesz o tym doskonale, prawda?

— Nie wiem, nie wiem! — krzyknęłam. — Wiem tylko, że chcę stąd wyjść. Więc pozwól mi wyjść, Walterze!

— Jesteś teraz podekscytowana, miła moja. Uspokój się, proszę, a natychmiast poczujesz się lepiej.

— O wszystkim powiem Rayowi, wszystko mu powiem, jak tylko wrócę do domu.

— Jeśli tak zrobisz, to będzie to ostatni raz, kiedy on będzie miał okazję z tobą rozmawiać. Pomyśl o tym.

Czułam, że drżę na całym ciele.

— Boże mój, Boże! — zawołałam w rozpaczy.

Walter zostawił mnie samą wychodząc do drugiego pokoju.

— Przyniosę jeszcze nalewki — słyszałam, jak mówił. — To ci dobrze zrobi.

Kiedy wróciłam do domu o dziesiątej wieczorem chciałam o wszystkim co się stało powiedzieć Rayowi, chciałam błagać go o przebaczenie i o pomoc. Mąż zauważył od razu moje przygnębienie i próbował namówić mnie na zwierzenia. Wziął mnie w ramiona i mocno przytulił do siebie, ale nawet wtedy, gdy przywarłam całym ciałem do niego, nie mogłam się zdobyć na to straszne wyznanie. I zawsze kiedy myślałam o tym, co ze mną robił Walter — bałam się jednocześnie o Raya. Wiedziałam, że Walter kiedyś zabił jakiegoś mężczyznę w kłótni o kobietę i bałam się, że tak samo może stać się z Rayem.

Oto dlaczego nie mówiłam nic Rayowi owego wieczoru, ani też następnego, gdy znów wróciłam po podobnym spotkaniu z Walterem. I tak to wszystko trwało dwa lata. Za każdym razem szłam do Waltera, kiedy tylko tego chciał. Nasze spotkania odbywały się raz w tygodniu, czasem dwa albo trzy razy. Ray wierzył, że ja do tak późnej pory siedzę w biurze i nie wydaje mi się, aby podejrzewał z jakiego powodu wracam do domu tak późno i to w dodatku tak często.

Ray nigdy nie przestawał mówić o tym, że chciałby mieć dziecko, od czasu gdyśmy się pobrali, a ja nie decydowałam się na to, czekałam wciąż w nadziei, że wreszcie znudzę się Walterowi. Ray w międzyczasie został awansowany na zastępcę kierownika biura, a jego pensja wzrosła trzykrotnie w porównaniu z tą, jaką otrzymywał gdyśmy się pobrali. Wiele razy mówił mi, że już czas najwyższy, abym przestała pracować. Co noc leżąc z otwartymi oczyma obok Raya marzyłam i modliłam się, aby Walter znalazł sobie inną dziewczynę, która mu będzie bardziej odpowiadała niż ja. Ale tydzień mijał za tygodniem, a Walter w dalszym ciągu twierdził, że jestem najbardziej pożądaną przez niego kobietą, a teraz stało się to, czego najbardziej się obawiałam — jestem w ciąży i nie wiem czyje dziecko w sobie noszę. Bardzo kocham mojego męża Raya i dlatego nie chcę, by myślał, że jest ojcem dziecka, bo przecież to może być dziecko Waltera. I przez całe życie, nawet jeśli będę kochała dziecko, które się urodzi, będę miała wyrzuty sumienia i poczucie krzywdy, jaką wyrządziłam Rayowi.

Już za późno na to, by prosić znów Waltera, żeby pozwolił mi odejść z pracy i przestać się z nim widywać, bo to i tak niczego nie zmieni i nie pomoże w wyjaśnieniu sprawy ojcostwa, bo ja sama nie wiem kto jest ojcem mego dziecka.

Rayowi też nic o tym nie mogę powiedzieć, nie mogę prosić o przebaczenie, bo nawet jeśli mi wybaczy — do końca życia będzie żył w tej strasznej niepewności. Jakże żałuję, że nie powiedziałam całej prawdy Rayowi dwa lata temu. Powinnam była mu o tym powiedzieć po powrocie z podróży poślubnej, a nawet wcześniej należało mu o tym powiedzieć. Oto co powinnam była uczynić. Ale teraz na wszystko już jest za późno, niestety!

Cierpię na samą myśl o tym co ja zrobiłam, i teraz kiedy ma się urodzić dziecko każdy dzień jest dla mnie torturą przekraczającą granice mojej wytrzymałości.

Pozostało mi tylko jedno wyjście. Przestać żyć. Muszę wykonać to co postanowiłam. Nie mam już siły, aby dłużej cierpieć. Gdy będzę się o świcie i myślę o tym, są to dla mnie chwile, których nie chcę więcej doświadczać. Dla nas wszystkich tak będzie najlepiej. Zwłaszcza dla Raya.

Być może jest jeszcze inne wyjście z tej sytuacji, ale ja już nawet myśleć o tym nie mogę. Jestem przemęczona tym ustawicznym roztrząsaniem wszystkiego w pamięci, która teraz nawet pamięcią nie jest. Zrobię to co postanowiłam.

... Miałam na imię Amelie.

Tłumaczył:

ROMAN GORZELSKI

TELEWIZJA

A TEN NIECNY FIGLARZ ZOSTAŁ W DOMU

Po licznych i niezwykle interesujących zapowiedziach, w ubiegłą niedzielę, 17 listopada 1974 roku, późnym wieczorem, spotkaliśmy się ze **Stanisławem Lemem**. Sceneria tego spotkania była fantastyczna, sugerująca, że rzecz cała odbywa się nie na tej Ziemi i będzie dotyczyła spraw nie tylko z tej Ziemi. W czasie całej audycji po ekranie wędrowały różne zjawy nie z naszych czasów, które starannie i z fantazją narysował **Daniel Mróz**. A mimo to, oglądając **„Sam na sam ze Stanisławem Lemem"** miałem mieszane uczucia.

Audycja „Sam na sam" przeszła pewną ewolucję. Pomysł — jak wiadomo nie jest nowy i właśnie przez to że wielokrotnie sprawdzony, funkcjonuje niezawodnie i wytrzymuje liczne zabiegi merytoryczno-formalne, jakie się na nim dokonuje. Historia „Sam na sam" jest krótka. Audycje z **Władysławem Hasiorem** i **Krzysztofem Zanussim** utrzymano w konwencji „huzia na artystę". Jest to konwencja do przyjęcia, pod warunkiem wszakże, że pośrednik — czyli ten, który przekazuje pytania — czuwa nad ich poziomem, aby nie robić z telewidowni ludzi lekko niedorozwiniętych i niedokształconych w najlepszym wypadku. Później był **Adam Hanuszkiewicz** i to było właśnie to. I było widowisko i był poziom i były pytania z sensem i Adam Hanuszkiewicz portafił rozmawiać z telewidownią, zwracając się bezpośrednio do autorów pytania. **Tadeusz Łomnicki** rozczarował. Nie ten typ temperamentu. Widać było, że konwencja intelektualnej zabawy w zaproponowanej formie mu nie leżała. Źle się czuł przed kamerami. Podobnie zresztą jak **Zbigniew Zapaski**, któremu na dodatek kazano szukać prawdy historycznej w różnych „źródłach" literacko-artystycznych. A wydaje mi się, że Zbigniew Zapaski chętniej porozmawiałby o sprawach bliższych naszej współczesności, jako człowiek w tę współczesność po uszy zaangażowany. No i wreszcie przyszła kolej na **Stanisława Lema.**

Mogę podejrzewać, że dla kogoś, kto nie zna twórczości Stanisława Lema, autor „Solaris", „Fantastyki i futurologii" i wielu innych książek wydał się człowiekiem oświeconym, erudytą, racjonalistą sceptycznym, twardo nogami stojącym na planecie zwanej Ziemią. Ale wielbicielom swojej twórczości Stanisław Lem wypłatał złośliwego figla. Podejrzewali oni, że autor „Dzienników gwiazdowych" da popis fantazji, że wpadnie w konwencję prezentowanych w zapowiedziach filmowych felietonów o różnych niepowyjaśnianych do dziś zjawiskach z naszej planety, że podrzuci nam kilka nowych hipotez, zabraniając na koniec w nie wierzyć i przekonując, że wszystko było li tylko intelektualną zabawą. Ale Stanisław Lem srodze zawiódł. Zabawił się wprawdzie w psuja, wszystko kwestionował, natychmiast obalał, nie pozostawiając nawet skrawka wolnego miejsca dla fantazji. I ten człowiek napisał „Bajki robotów", „Powrót z gwiazd" i inne?

W pewnym momencie, w czasie niedzielnej audycji Stanisław Lem powiedział, że składa się jakby z dwu połówek: jednej — racjonalistycznej i drugiej — fantastycznej. Otóż w niedzielę sam na sam byliśmy ze Stanisławem Lemem — Racjonalistą. Autor książek fantastycznych pozostał w domu i siedząc przed telewizorem śmiał się w kułak ze swojej, męczącej się przed kamerami — drugiej połowy. Był to doskonały dowcip Stanisława Lema — Futurologa. I dopiero zrozumiawszy, że ta druga połowa Stanisława Lema z nas zakpiła, zacząłem bawić się tym spotkaniem z zupełnie kim innym niż początkowo myślałem.

Ale wtedy w zabawie tej zaczęła mi przeszkadzać scenografia **Marka Grabowskiego**. Telewizja znajduje się w stałej pogoni za widowiskowością tego, co prezentuje telewidzom na szklanym ekranie. Rozumiem, że w tej pogoni wszystkie chwyty są dozwolone, ale chyba tym razem i **Marek Grabowski** i **Daniel Mróz** przesadzili. Było tego wszystkiego zbyt dużo i zbyt to wszystko nie trzymało się kupy, nie leżało w konwencji. Być może, moja to wina, że „Sam na sam" oglądałem na czarno-białym ekranie, a nie na kolorowym, ale czarno-białe ekrany ma większość telewidzów. I przyznaję się, że opadająca z Kosmosu słuchawka telefoniczna, z której zaczyna wydobywać się para, stała się dla mnie pointą nieporozumienia. Ani to się niczym nie tłumaczyło, ani do niczego nie pasowało. A pokaz mody z roku 3000 był pokazem ubóstwa fantazji projektantów. Trzeba było poczytać trochę literatury science fiction albo tylko książek samego Stanisława Lema, aby wpaść na bardziej oryginalne pomysły.

Wydaje mi się, że zabawa scenografa musi przylegać do zabawy z „przesłuchiwanym", pointować poszczególne fragmenty audycji, tak jak Adam Hanuszkiewicz doskonale udał na przykład, że zaskoczyły go hondy z „Balladyny", które wjechały do studia. Rozumiem, że trudno byłoby wprowadzić do studia w Krakowie „małych zielonych ludzików", ale od czego postęp techniki i zdjęcia trickowe. Mogę tylko pocieszać się, że fantastyczna połowa osoby Stanisława Lema i realizatorom telewizyjnym spłatała figla. Ale to nie pomniejsza mego rozczarowania.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Ryszard Binkowski

Nie będzie BALLADY

Nie wiedziałem, że jeszcze tu wrócę.

Siedziałem w sekretariacie KZ PZPR, czekając na Sylwestra Samola, aby pogadać z nim o pabianickim sporcie. Sekretarka odbierała telefony, wydawała znaczki partyjne, liczyła pieniądze, a ja leniwiłem się w miękkim fotelu, popijając kawę i patrzyłem przez uchylone okno na dachy i wieżę kościoła św. Mateusza. Padał deszcz.

— Wciąż do sekretarza? — spytałem w pewnej chwili wskazując na brzęczący telefon.

— Zakład rozrzucony po mieście, ludzie więc pragną się upewnić, czy zastaną tow. Samola — powiedziała sekretarka. — **Żeby nie tracić czasu na próżną wędrówkę.**

— Na brak interesantów sekretarz nie narzeka, prawda?

— Teraz jest względny spokój. Niech pan wpadnie w drugiej połowie października. W jednym tygodniu będzie siedem, w drugim osiem zebrań, i tak w kółko. Kampania sprawozdawczo-wyborcza. A sekretarzy dwóch: pierwszy — Samol, drugi — Bogdan Kunka.

Skonfrontowałem tę wypowiedź z danymi liczbowymi, które uzyskałem już wcześniej. Zakład zatrudnia siedem tysięcy ludzi. Największa w województwie organizacja partyjna — ponad tysiąc trzystu członków. Byli jeszcze renciści, stu siedemdziesięciu starych partyjniaków, ale przeniesiono ich do miasta. Mimo to sekretarz organizacji partyjnej rencistów nadal przychodzi do KZ. Sekretarka mówiła, że zakład rozrzucony, a kiedyś był jeszcze oddział pod dworcem kolejowym i kilka bud na Starym Mieście. Trudno dotrzeć do ludzi. Trudno się wyrobić.

— Jak to jest, że ludzie tak ciągną do sekretarza? — zwróciłem się do sekretarki.

— Jeszcze jak! Setki ludzi, proszę pana! Jedni z przygnębieniem na twarzy, inni podenerwowani, z krzykiem, kobiety uderzają w płacz! Wychodzą odmienieni...

— Ale dlaczego?

— Tutaj często zmieniali się pierwsi sekretarze. Tow. Samol pozostał na dłużej, i każdy przyzna, że zrobił wiele. Znam go jeszcze z czasów, kiedy pracował w kadrach (konkretnie jako socjolog zakładowy — przyp. RB) i od razu mi się spodobał. Za podejście do ludzi. Umiał krótko, ładnie załatwić każdą sprawę, zażegnać konflikt, ułagodzić i pomóc. I taki jest do dzisiaj, posłuch też ma...

Pogadałem wówczas z Samolem o sporcie, a kiedy otrzymałem zadanie napisania reportażu o pracy zakładowej organizacji partyjnej i jej pierwszym sekretaczu, postanowiłem odwiedzić ponownie **PABIANICKIE ZAKŁADY PRZEMYSŁU BAWEŁNIANEGO im. BOJOWNIKÓW REWOLUCJI 1905 r.** zwane też **„PAMOTEXTEM"**, lub jak kto chce — po prostu **„BAWEŁNĄ"**. I to akurat w czasie kampanii sprawozdawczo-wyborczej.

2.

Wpadłem na Samola w korytarzu i w pierwszej chwili go nie poznałem. Zmyliły mnie duże, przyciemnione okulary. Poza tym nie zmienił się: chłopięca, pucołowata twarz, króciutko przycięte, szpakowate włosy, nieśmiały, jakby zakłopotany uśmiech.

Wyjaśniłem pośpiesznie, z czym i po co przychodzę. Spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem, mnąc wyjętego z pudełka papierosa.

— Protestuję — powiedział.

Starałem się go przekonać, ale nadal wykręcał się i zastawiał brakiem czasu.

— Będę wpadał w każdej wolnej i dogodnej dla was chwili.

— Ale ja nie wierzę redaktorom.

— Nie rozumiem?

— Była jedna dziennikarka, która chciała, żeby było tak ciepło, po ludzku. I zaserwowała w tekście dialogami z domowego zacisza, z których wynikało, że sekretarz żyje jak rozpasany czerwony burżuj. A wiecie jak jest teraz w tej kotłowaninie.

— No?

— Od dwóch tygodni nie wchodzę do stołówki i przepadają mi obiady po osiem pięćdziesiąt. Właściwie to moglibyśmy chwilę pogadać, ale zaraz będzie tu delegacja.

— To ja poczekam.

Dogadałem się jednak z Sylwestrem Samolem, ponieważ obaj jesteśmy Kolumbami z rocznika czterdziestego.

Tego popołudnia przedstawiono mi szereg imprez, w których na co dzień uczestniczy pierwszy sekretarz komitetu zakładowego. Nie będę ich w tym miejscu wyliczać. Są różne, wypełniają wszystkie dni tygodnia.

Dzięki wstępnym wyjaśnieniom zrozumiałem, dlaczego nie mogłem spotkać tow. Samola przed południem. Jest lektorem KW PZPR.

Wyjazdy. Są sprawy, których nie daje się załatwić na miejscu, ani w w zakładzie, ani w mieście. I nie „na telefon". Trzeba pojechać, stanąć przed biurkiem, perswadować, podnieść głos albo siąść w fotelu i popatrzeć komuś z wyrzutem w oczy. Znaleźć nabywcę, wydusić potrzebne materiały, skorygować i ustalić plany. Nie o wszystkich sprawach wypada pisać...

3.

— Widzieliście te dekoracje, plansze, gabloty na zewnątrz i wewnątrz zakładu? To robota Zakładowego Ośrodka Propagandy Partyjnej. Ważna sprawa. Zabiera mi sporo czasu.

Samol kładzie przede mną grubą, oprawną w twarde okładki zszywkę.

— Może was to nudzi — mówi, pokazując kolejne numery „Informatora" **— ale mnie bawi i pasjonuje zarazem wydawanie gazety zakładowej. Widzicie? Zaczynaliśmy od niczego, cztery szare, nudne kolumny. Ale zanim powstała, trzeba było toczyć boje, interweniować w KC. Jest to jedyna w Polsce gazeta robiona w czynie społecznym, w redakcji nie ma zawodowca. Czy zawodowy redaktor poprowadzi taką gazetę?**

— Bo ja wiem? Musiałby doskonale znać ludzi, problemy zakładu, siedzieć w samym środku życia zakładu...

— No, właśnie! Był kiedyś redaktor na etacie, ludzie pomyśleli, że skoro bierze pieniądze, to niech sam robi, i gazeta upadła. Teraz dochrapaliśmy się ośmiu kolumn, liczne zdjęcia. Gazeta jest lubiana, tysiąc pięćset nakładu, posiada stałe rubryki, „Ludzie naszego zakładu", ZMS, sport, krzyżówka. Mistrz tkacki, Sławomir Kubera pisze fraszki. Choćby ta o zaopatrzeniu pabianickich sklepów: „Dobrze pomyślał ten nad Rubikonem, kiedy powiedział — kości rzucone". Istnieje zapotrzebowanie na gazetę, chcielibyśmy zwiększyć nakład, przejść z miesięcznika na dwutygodnik. I stop! Trzeba zatrudnić dwóch etatowych redaktorów...

Pasjonat. Można z nim o wszystkim. Uczestniczy w posiedzeniach dyrekcji, w spotkaniach z kierownikami i mistrzami, przyjmuje delegacje. Tzw. czołowy aktyw musi być poinformowany o wszystkich aktualnych problemach przedsiębiorstwa. Produkcja, koszty, finanse, podwyżki, premie itd. Musi o tym wiedzieć, współuczestniczyć w realizacji, zapobiegać powstawaniu trudnych sytuacji.

To bardzo dobrze.

W każdy poniedziałek jest „sztabówka" czyli krótka narada przedstawicieli administracji, KZ (w osobie Samola — przyp. R.B.) i sekretarzy oddziałowych, Rady Zakładowej, NOT, ZMS, w celu ustalenia planu całotygodniowej pracy. Żeby nie trwonić czasu poprzez dublowanie się i wałkowanie tych samych spraw.

— Miasto też was wciąga do roboty?

— Jestem członkiem Egzekutywy KM PZPR. Miasto przeżywa gorące dni. Inwestycje. Najpoważniejsza to ta „być albo nie być" dla Pabianic, czyli ciepłownia miejska. Żadne przedsiębiorstwo nie chciało jej przyjąć. Ale są też inne, gdzie z tzw. „przerobem" jest nie najlepiej. Dom towarowy, hala sportowa, basen...

— O sporcie tośmy już sobie kiedyś pogadali...

— Możemy wrócić do tej rozmowy, Jestem poznaniakiem. W Poznaniu najpierw była dobra piłka nożna, a potem długa cisza. „Lech" przez lata stukał do drugiej ligi. Teraz jest w pierwszej. Jakóbczak w jednym meczu strzela cztery bramki. „Lech" skacze na drugie miejsce w tabeli : kto wie, czy nie zdobędzie mistrzostwa...

Nasz „Włókniarz" nie może wejść do drugiej ligi. W Pabianicach nie było koszykówki. Przyszedł zapaleniec i zrobił ten sport. Dziewczyny weszły do pierwszej ligi i po roku spadły. Ostatnio juniorki młodsze zdobyły mistrzostwo Polski w koszykówce. Seniorki wchodziły do ligi i było cicho. Tak samo przy wyczynie juniorek. A przecież to duża sprawa. Napiszcie o tym...

4.

Poszedłem z Sylwestrem Samolem na naradę sekretarzy Oddziałowych Organizacji Partyjnych, połączoną z Egzekutywą. Głównym tematem była informacja o przebiegu kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Odnotowałem sprawy, które dla zebranych stały się istotne:

1. Dobra frekwencja podczas zebrań grup, średnia 89,5 proc.
2. Wybór 93 grupowych, w tym 28 nowych aktywistów, w przeważającej większości robotników.
3. Niekorzystna tendencja spadku udziału kobiet jako grupowych.
4. Zgłoszenie 155 wniosków i postulatów do egzekutyw OOP, kierowników wydziałów, dyrekcji, Rady Związkowej, KZ i KM PZPR, Urzędu Miasta i CRZZ.

Dyskusja nie ruszała z miejsca i

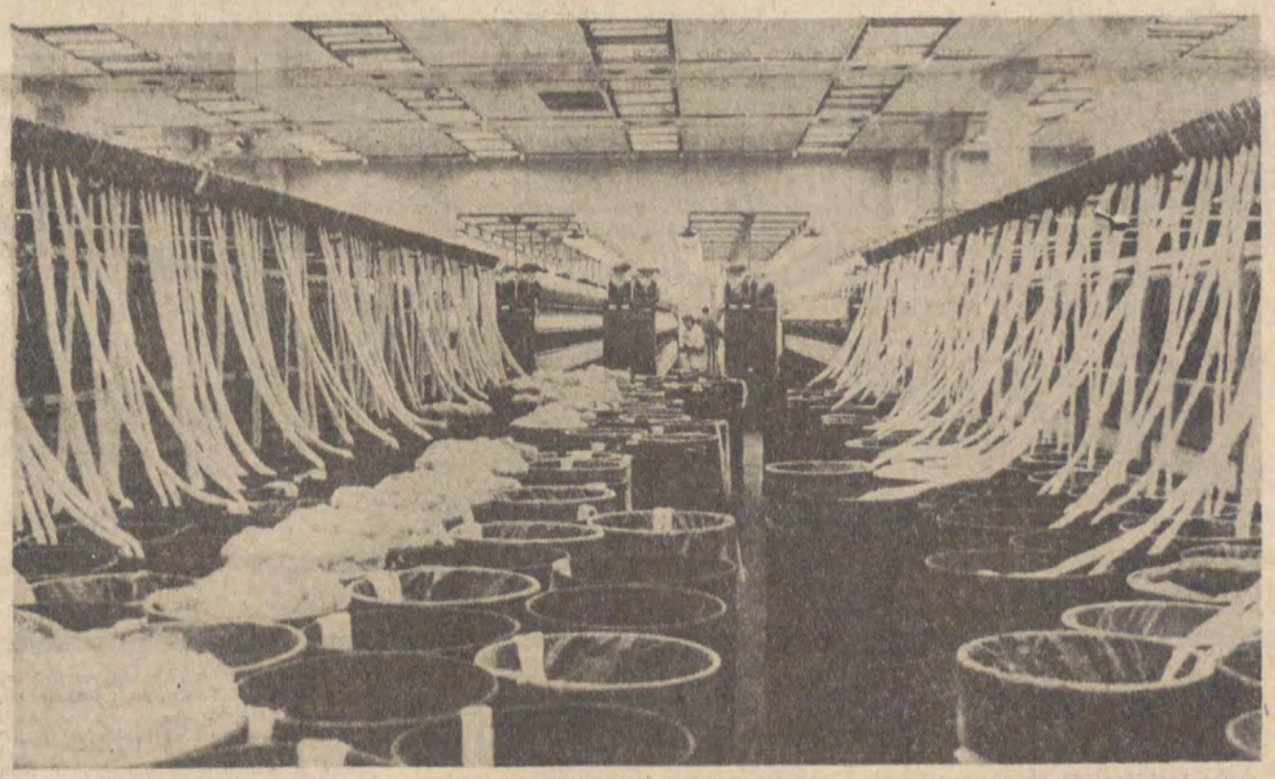

Fot. Włodzimierz Parys

Wcześniej odbyło się spotkanie z mistrzami, u których w minionych dwóch latach nie zanotowano żadnego wypadku przy pracy. Spotkanie miało miły charakter, mistrzowie otrzymali list pochwalny, kwiaty i premie.

Nastąpiła wymiana poglądów. Mówiono o potrzebie klimatyzacji na salach i kurtyn cieplnych, podnoszono sprawę odzieży roboczej.

— Chcielibyśmy, aby ludzie z oddziałów różnili się między sobą ubiorem — mówił jeden z mistrzów. — Nie idzie o krój, ale o różnorodność kolorów.

— Najważniejsze są „rozmiarowzrosty" — mówił drugi. — Przychodzi transport odzieży i wszystkie szuki 175 cm na 90 kilo wagi. Jak w to ludzi ubrać?

Okazuje się, że sprawa nie jest prosta. Wskutek zapotrzebowania na dużą rozpiętość rozmiarów, musiano by produkować po kilka lub kilkanaście sztuk jednego rozmiaru. Producent na to nie pójdzie, bo za drogo.

Ktoś powiedział:

— Praca przebiega bez wypadków, kiedy ludzie są zrównoważeni, spokojni, kiedy nie ma wśród nich konfliktów. Chcemy wiedzieć, jak postępować, aby ludzie byli właśnie tacy. Dlaczego nie ma specjalnej literatury dla mistrzów, z której można by się wiele dowiedzieć na ten temat?

Wszyscy byli zadowoleni ze spotkania.

5.

O ósmej rano Samol stał na korytarzu. Na ławce siedziała starsza kobieta, patrząc na sekretarza z nadzieją. Obok siedział szczupły mężczyzna zwierzchnik robotnicy.

Usłyszałem, jak Samol powiedział:

— To co? Starą, chorą, kobietę dalibyście do mycia ubikacji?

Zlikwidowano tkalnię kordów, na której pracowali ludzie starsi i o niepełnej kondycji fizycznej. Gdzie znaleźć dla nich nowe stanowiska i godziwe zarobki? Kłopot, bo praca trójzmianowa, a lekarz nie zezwoli pracować chorym na nocnej zmianie.

Nie wszystkim zapewniono odpowiednie warunki. Wielu ludzi przyszło do komitetu. W pierwszej kolejności stawili się bezpartyjni.

Kobieta, którą zastałem rano w korytarzu, była po trzech operacjach.

W siedmiotysięcznej załodze nazbiera się drobnych, ludzkich spraw. Najwięcej z mieszkaniami. Pomóc można w wyjątkowych wypadkach. Na przykład, kiedy trzy rodziny gnieżdżą się w jednym pokoju o czternastu metrach kwadratowych.

Z książki skarg, wniosków, interwencji, składanych w KZ, które Samol skrupulatnie notuje:

Przyjęcie dziecka pracownika Sanatorium Rehabilitacyjnego w Konstancinie-Jeziornie. Dzwoniłem do RN m. Warszawy, Wydz. Zdrowia i do Kliniki Medycznej, Oddział Neurochirurgii. Przeprowadziłem rozmowę z dyreketorem Senatorium. Brak miejsc oraz pełnej dokumentacji do rozpoznania przez komisję kwalifikacyjną.

Nastawiacze maszyn proszą o wyjaśnienie, dlaczego zarobki za m-c sierpień obniżyły się o ok. trzysta złotych. Rozmawiałem z kierownikiem Dz. Zatr. i Płac. Różnice zostaną wypłacone po korekcie realizacji planu.

Pracownica prosi o pomoc w przyjęciu dziecka do pracy (córka, 18 lat, uk. ZSZ, specjalność krawiectwo lekkie). Dzwoniłem do Pab. Zakł. Odz. Dziewczyna ma się zgłosić za dwa tygodnie w Dz. Zatr. i Płac.

Przewijaczka domaga się przeniesienia na poprzednią oddział z maszyn, których nie zna i na których nie wykonuje planów. Wiele krytycznych uwag pod adresem mistrza. Odbyłem rozmowę z inż. K. Zarzuty co do mistrza potwierdziły się.

Przewijaczka wróci na swoją maszynę od poniedziałku.

6.

Miałem szczęście.

Tego dnia tow. Samol wrócił wcześniej z rozmów na IV przędzalni.

— Jeśli wam nie będzie przeszkadzać to, co teraz będę robił, to siadajcie, proszę — powiedział. **— Trzeba coś wrąbać, bo później już nie da rady..**

Z plastykowego woreczka wyjął jedną z dwóch małych bułek i zagłębiając się w lekturze ocen pracy OOP, zabrał się do jedzenia. Tak go pochłonęło czytanie, że przestał jeść.

— Jedzcie, towarzyszu sekretarzu — przypomniałem.

— A, pewnie! — sięgnął po drugą bułkę. **— Rano kupiłem** — powiedział **— i jak guma. Zawsze mówią, że z nocy, a na pewno od wczoraj.**

Ponownie zagłębił się w czytaniu. Przerwał i odwinął z pergaminu kawałek szarlotki. Ciasto kruszyło się w palcach.

— Moja stara zawsze musi coś takiego wymyślić, że nawet czytać przy tym nie można — powiedział.

Zabrzmiało to ciepło.

— Szefowo! — zwrócił się do sekretarza organizacyjnego. **— Ta ocena mi się nie podoba. Niby słusznie, bo frekwencja i wyniki pracy nie najlepsze. Ale to dotyczy ubiegłego roku. W tym roku widać znaczną poprawę. Więc jak? Mamy bić w czambuł, skrzydła podcinać, zniechęcać?**

Naczytałem się różności i nie bardzo wierzę w opowieści o ludziach, którzy „całe życie bez reszty poświęcili zakładowi". Samol nie chce wiele mówić na ten temat, ale jestem przekonany, że z przyjemnością wraca do domu, bo potrzebna mu bardzo cisza i ciepło. Żona, syn, mała córeczka, Agata. Do jednego przyznaje się otwarcie. Że z nadmiaru pracy i obowiązków nie jest takim ojcem, jakim chciałby być.

— Czy oglądam telewizję? Czasem mecze. W pracy mam sprawy materiałowe, w telewizji sprawy materiałowe, można dostać pypcia na mózgu! Czytam to, co mnie interesuje. Książki historyczne. Dla urozmaicenia zmieniam okresy historii.

Samol ma rozpoczęty doktorat, którego nie może skończyć.

Klnę się na mój hinduski długopis, że nie miałem zamiaru wysmażyć ballady o sekretarzu. Wyszło tak, jak jest...

Chodzę, podglądam, a kogo dopadnę, tego opisuję. Kilka razy spotkałem działaczy, którzy z czasem zrutynieli i przesiąkli urzędem. Jeśli kłamię, niech sypią się gromy na moją głowę.

A jaki jest Sylwester Samol? Wydaje mi się, że on, rocznik czterdziesty, a więc jeden z tych, którzy urodzili się i za wcześnie, i za późno, właśnie dziś chce zrobić wiele. I to mu się udaje. Nie obce są mu w działaniu logika i rozsądek, ale może i potrafi kierować się sercem.

LEKCJA LITERATURY

PISARZ ZNAD DONU

Twórczość Michała Szołochowa, laureata Nagrody Leninowskiej oraz Nagrody Nobla, zdobyła sobie rozgłos światowy na długo przed tymi najzaszczytniejszymi wyróżnieniami literackimi, które znamionują dorobek najwyższej rangi. W Sztokholmie, kiedy odbierał z rąk króla Gustawa Adolfa przyznaną mu nagrodę, tak określił swoje pisarstwo:

„Należę do tych pisarzy, którzy widzą dla siebie wyższy zaszczyt i większą swobodę w niekrępującej możliwości służenia swym piórem ludziom pracy".

I dalej:

„Mój rodzimy naród szedł naprzód na swoich historycznych drogach nie po utartych szlakach. To były drogi odkrywców, pionierów życia. Jako pisarz widziałem i widzę swoje zadanie w tym, żeby we wszystkim, co napisałem i napiszę, oddać hołd temu narodowi—pracownikowi, narodowi—budowniczemu, narodowi—bohaterowi, który nigdy na nikogo nie napadał, ale zawsze potrafił z godnością bronić tego, co stworzył, bronić swą wolność i honor, swoje prawo budowania sobie przyszłości według własnego wyboru. Chciałbym aby moje książki pomagały ludziom stać się lepszymi, doskonalszymi duchowo, rozbudzały miłość do człowieka, zachęcały do aktywnej walki o ideały humanizmu i postępu ludzkości. Jeśli mi się to w jakimś stopniu udało — jestem szczęśliwy".

42 lata oddzielają te słowa od pierwszych utworów Szołochowa, które w 1926 roku weszły do, przełożonej także u nas, książki „Opowiadania znad Donu". A przecież w tym samym czasie, jako człowiek niespełna dwudziestoletni, rozpoczął epopeję „Cichy Don", która unieśmiertelniła stanicę Wieszeńską i żyjących w niej ludzi, zaplątanych w tryby historii. Tragedia Grigorija Melechowa jest wykładnikiem losu całej niemal Kozaczyzny na przełomie dwóch epok. Pamiętajmy, że Szołochow sam uważa się za Kozaka. Może dlatego właśnie podczas uroczystego wręczania Nagrody Nobla pisarz nie skłonił głowy przed królem Szwecji. Korespondent amerykańskiej agencji prasowej AP, który był świadkiem ceremonii, podał w swoim komentarzu, że Kozacy nigdy się nie kłaniali, nie czynili tego nawet przed carami.

Wieszki, bo tak Kozacy nazywają swoją stanicę, jest do dziś miejscem zamieszkania pisarza. „Zwykła wiejska ulica. Parkan. Na furtce porządkowy numer uliczny 54 — opisywał swoją wizytę u Szołochowa reporta-żysta „Komsomolskiej Prawdy". Walery Pieskow. — Poruszamy kołatkę. Na powitanie wybiegają dwa kosmate płomienno-ryże psy. Przyjaźnie ocierają się o nogi. Od furtki do domu ścieżka. Klomby z kwiatami. Bujna zieleń krzaków i drzew".

Przytaczam ten opis bo wydaje mi się ważny do zrozumienia fenomenu pisarstwa Szołochowa. Nie zapominajmy bowiem, że potrafił on ze swego prowincjonalizmu ukuć sztukę uniwersalną, przekraczając narodowe garnice; ze swego tradycyjnego, realistycznego warsztatu zbudować dzieła zastanawiające głębią i precyzją psychologicznej analizy. Może dlatego jego twórczość jest tak często porównywana z wielkimi klasykami XIX-wiecznej literatury rosyjskiej z Gogolem i Czechowem ale także z Tołstojem i Dostojewskim. „Cichym Donem" zachwycał się zarówno angielski pisarz Charles Snow, jak i Amerykanin Ernest Hemingway. Ma niewątpliwie rację, związany zresztą blisko z Szołochowem, krytyk radziecki, Lew Jakimienko, gdy tak charakteryzuje jego twórczość: „... zwraca on uwagę przede wszystkim na poznanie złożoności wzajemnych uwarunkowań między osobowością ludzką i warunkami społecznymi, między indywidualnymi impulsami woli, a charakterem epoki, na zbadanie wszystkich zależności życia, aby dać odpowiedź na jedno z centralnych pytań, które stawia przed nami czas: o wolności wyboru i historycznej konieczności".

Ta terminologia ma pozornie wiele wspólnego z filozofią egzystencjalną, ale nic bardziej mylącego niż sprowadzenie ich do wspólnego mianownika. Egzystencjalizm stworzył na gruncie pisarstwa nurt tzw. czarnej literatury. Jej bohaterowie są często skazani na konieczność wyboru, wobec którego okazują się bezbronni. Bohaterowie Szołochowa są nosicielami krańcowo odmiennej postawy: reprezentują nurt heroizmu humanistycznego w literaturze. Taki jest Grigorij Melechow z „Cichego Donu" i takim jest Andrzej Sokołow z „Losu człowieka". Mimo odrębności tematycznej i gatunkowej oba te dzieła mają mimo wszystko wiele wspólnego. Pomińmy już nawet to, że ich akcja, podobnie zresztą jak „Zoranego ugoru" toczy się nad Donem, o prowincjonalizmie Szołochowa była już tutaj mowa. Duchowe pokrewieństwo Melechowa i Sokołowa bierze się stąd, że postawieni w sytuacji krańcowej nie kapitulują i walczą do końca, wbrew wszelkim przeciwieństwom, nawet wówczas, gdy wydaje się, że nie ma już żadnej nadziei. Wybór moralny Melechowa jest zresztą trudniejszy. „Stał na granicy dwóch początków odrzucając oba" — określa swego bohatera Szołochow. Pamiętajmy przecież, że reprezentuje on tradycje i swobody dawnej Kozaczyzny, z jej rodową dumą, z całym, wypracowanym przez wieki, systemem wartości i ideałów, które rewolucja przekreśliła. Skąd ten prosty chłop, za odwagę na froncie podniesiony do oficerskiej rangi, miał rozumieć komu historia przysądzi rację. Toteż Grigorij miota się między czerwonymi i białymi, nie identyfikując się z żadną ze stron, aby na koniec wybrać rozstrzygnięcie najgorsze: przyłączenie się do antyrewolucyjnego Powstania Dońskiego, które było próbą zawrócenia historii. W liście do Aleksego Gorkiego, który cytuję tu za krytykiem Jakimienką, Szołochow tak tłumaczy przyczyny powstania:

„1. Wybuchło ono w rezultacie przechyłów (władzy) w odniesieniu do Kozaka — średniaka.

2. Tę sytuację wykorzystali emisariusze Denikina, pracujący w Górno-Dońskim okręgu i przekształcili doraźne wystąpienia powstańcze w totalne zorganizowane powstanie".

Dramat Grigorija Melechowa jest więc tragedią uniwersalną, odnoszącą się z nielicznymi wyjątkami (w „Cichym Donie" błędu Melechowa nie popełnia Koszewoj) do całej Kozaczyzny.

Ale warto może zwrócić uwagę na stosunek Szołochowa do wojny, która stanowi zasadniczą osnowę „Cichego Donu". Już przecież akcja I tomu powieści toczy się w dużym stopniu na froncie pierwszej wojny światowej. Tom kolejny przedstawia przedrewolucyjny rozkład stosunków społecznych w Rosji. Sceny batalistyczne, opisy walk i potyczek, nabierają tu szczególnej ostrości, przy czym wojna utożsamiona zostaje z najgorszym złem, jakie może spotkać człowieka. Tej samej siły wyrazu artystycznego są opisy okrucieństw bratobójczej wojny w okresie powstania dońskiego.

Nietrudno zauważyć że ten sam wstręt do przemocy, do brutalności przeniesiony został do „Losu człowieka". I tutaj, jak w „Cichym Donie" wojna jest złem najwyższym, a przecież wojna stanowiła niejako profesjonalne rzemiosło Kozaków. Ale dramat Sokołowa jest innego rodzaju niż Melechowa, bo są przy nim wszystkie racje moralne. Sokołow reprezentuje przecież ideały radzieckiego wychowania, jest, jak się powiada popularnie, człowiekiem radzieckim. Jest tu ukazany konflikt humanizmu z barbarzyństwem, twórczej pracy z brutalnym niszczycielstwem, ideałów socjalistycznych z nieludzkością faszyzmu. A przecież, nawet te najwyższe wartości, nie stanowią same przez się tarczy ochronnej przed brutalnością faszyzmu, który poddał w wątpliwość ideały cywilizacji europejskiej. Szołochow szczególnie surowo doświadcza swego bohatera. Przypomnijmy, że pierwszym człowiekiem, jakiego przychodzi zabić Sokołowowi podczas wojny, nie jest żołnierz strony przeciwnej, tylko zdrajca — Rosjanin, który chce wydać Niemcom swego dowódcę. Pobyt Sokołowa w niewoli jest dalszym ciągiem tych najtrudniejszych doświadczeń, na jakie los wydać może człowieka. Sokołow wychodzi zwycięsko z tej próby, ale jest to tylko zwycięstwo moralne, bo w życiu osobistym nie spotyka go żadna nagroda, traci wszystkich najbliższych. Ma on w sobie coś z owego biblijnego Hioba, którego klęski utwierdzają jeszcze w słuszności postępowania, w wierności idei.

Szołochow jest pisarzem, który ocala realizm jako formę literackiej wypowiedzi. Jest to zresztą w jego wypadku nie tylko sposób pisarstwa, ale także czynna postawa wobec życia.

Toteż nie bez powodu na spotkaniu ze swymi czytelnikami z Leningradu, opowiadając im o swych doświadczeniach w pracy deputowanego do Rady Najwyższej ZSRR, zauważył:

„Nowe losy, cudze gorycze, radości, nowe spotkania, znajomość tej czy innej strony ludzkiego życia stanowią żywy materiał dla artysty. Jeśli pisarz zamknie się w swoim twórczym laboratorium, będzie pracował jak chałupnik-samotnik. Więź z narodem zawsze wzbogaca".

KONRAD FREJDLICH

DO CZYTELNIKÓW

Drukujemy dzisiaj piąty artykuł w cyklu traktującym o literaturze współczesnej, a przeznaczonym dla uczniów szkół średnich, tych uczniów zwłaszcza, którzy przygotowują się do dalszych studiów w zakresie przedmiotów humanistycznych.

Dla każdego czasopisma ważne są potrzeby, gusty i opinie jego czytelników. Dla każdej też redakcji są one w jakimś stopniu tajemnicą. Nie dysponujemy przecież skutecznymi instrumentami badania opinii publicznej, ani orzekania, które z informacji, sporadycznie do nas docierających, są reprezentatywne dla stanowiska większości naszych odbiorców. Wyobrażenia o oczekiwaniach czytelników kształtujemy często na podstawie sądów przypadkowo ujawnianych, a w ogóle chyba w większym stopniu na podstawie domniemań intuicyjnych, wynikających z rutyny, niż na podstawie faktów.

Faktami zaś są głosy Czytelników. Wszystkich z uwagą słuchamy (nawet tytuł tygodnika nas do tego zobowiązuje), wszystkie analizujemy, by wyciągnąć z nich praktyczne wnioski dla dalszej pracy. Opinii o naszych „lekcjach" oczekują także autorzy, opracowujący materiały do tego cyklu. Uwagi krytyczne i postulaty uwzględniające potrzeby praktyki edukacyjnej, tak ze strony nauczycieli, jak i ze strony uczniów, będą wielką pomocą dla zespołu piszącego i dla redakcji „Odgłosów". W stałych kontaktach z czytelnikami widzimy szansę takiego wzajemnego partnerstwa, które umożliwi eliminację błędów, doskonalenie warsztatu naszej pracy i dostosowanie koncepcji naszego cyklu do realnych potrzeb społecznych.

Jednocześnie przypominamy, że dotychczas ukazały się na łamach „Odgłosów" następujące szkice w cyklu „Lekcja literatury":

- **Ziemowita Skibińskiego „Dlaczego modernizm" (nr 37),**
- **Anny Góralskiej „Potulna" F. Dostojewskiego" (nr 39),**
- **Jerzego Rzymowskiego „Lord Jim" J. Conrada" (nr 42),**
- **Jerzego Poradeckiego „W małym dworku" Witkacego" (nr 44).**

W najbliższych numerach zamieścimy artykuły:

- **Ziemowita Skibińskiego o grupie poetyckiej Skamander,**
- **Wiesława Pusza o poezji Bolesława Leśmiana.**

Wykaz wszystkich tematów „Lekcji literatury" znajduje się w nrze 37, we wstępie do cyklu, na stronie pierwszej.

CZEKAMY NA LISTY! Najciekawsze wypowiedzi będziemy drukować.

J. Rz.

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Urodził się 27 lipca 1892 roku w Łodzi, w rodzinie sekretarza Sądu Okręgowego. W 1911 r. ukończył podobno siedmioklasową szkołę handlową, a w latach 1911—1914 r., uczyć się miał w szkole średniej. Przy schyłku r. 1913 zaczął Dudziński pracować w miarę „postępowym" „Nowym Kurierze Łódzkim", terminując w dziennikarskim fachu u wykształconego (absolwent paryskiej Szkoły Nauk Politycznych) i utalentowanego Witolda Giełżyńskiego, „naczelnego" pisma. We wrześniu 1914 r. Dudziński wraz z rodziną wyjeżdża na Wołyń, a następnie udaje się do Kijowa, gdzie do r. 1916 pracuje w banku. Po przeszkoleniu, jako oficer, służy w wojsku rosyjskim i potem w strzeleckiej dywizji polskiej. W lipcu 1918 r. wraca Dudziński do Polski. Jest urzędnikiem łódzkiego starostwa; w latach 1923—1932 pełni funkcję kierownika oddziału prasowego w Zarządzie Miejskim Łodzi. Studiował w Wyższej Szkole Nauk Społeczno-Administracyjnych w Łodzi (1924/25). W latach 1924—1932 był recenzentem literackim i teatralnym „Kuriera Łódzkiego", od 1933 do 1939 r. współpracował z „Robotnikiem", związał się też z „Wiadomościami Literackimi" (1935—1939). W czasie wojny przebywał w Warszawie. Po wyzwoleniu wrócił do Łodzi, gdzie mieszka do dziś. Współpracował z „Kuźnicą", „Odrodzeniem", „Trybuną Ludu".

To tylko najważniejsze fakty z ciekawej biografii Dudzińskiego, przypominające trochę chyba jednak „zapoznanego" nestora łódzkiej krytyki literackiej. Minęło już dawno pół wieku od rozpoczęcia przez Dudzińskiego pracy dziennikarskiej, w tym roku upłynie pięćdziesiąt lat od chwili debiutu krytyczno-literackiego.

Dorobek krytyczny Dudzińskiego jest ogromny. Nikt nie pokusił się o pełną jego rejestrację, nie mówiąc już o prezentacji wyboru dzisiejszemu czytelnikowi. Publikacja taka byłaby atrakcją i dla czytelnika i dla badacza, jako przykład fenomenu „natychmiastowej" i konsekwentnej decyzji krytycznego towarzyszenia literaturze w bezprzykładnie długim przeciągu czasu, niemal od początków drugiej Rzeczypospolitej.

Pozornie wydawać by się mogło, że Dudziński był „rejestratorem" literackim, prowadził bowiem w pismach przeważnie stałe działy o różnych wariantach tytułu „Nowe książki". Wrażenie „wszystkoizmu" potęguje lista kilkudziesięciu redakcji, o zróżnicowanych bardzo profilach i orientacjach, z którymi Dudziński współpracował. A jednak łódzki krytyk, jak łatwo się mimo rzekomego chaosu można zorientować, miał swój własny model hierarchii literackiej. Preferował te książki, które, jak pisał w przedmowie do „Bezrobotnych Warszawy" Janiny Brzostowskiej, należały „do literatury dokumentującej krzywdę i upośledzenie człowieka pracy". Nie ma w imponującym zbiorze omówień krytycznych Dudzińskiego śladów ulegania modzie literackiej; ceni dzieła luminarzy, ale śledzi przede wszystkim i popiera utwory o mniejszych walorach artystycznych, co podkreśla, ale niosących szeroko rozumiane „postępowe" treści.

Jego krytyczna działalność nosi znamiona przemyślanej, szeroko zakrojonej kampanii. O wspomnianej książce Brzostowskiej pisał w „Robotniku" w 1939 r., a po wojnie przypomniał ją w „Głosie Ludu" i „Polsce Zbrojnej" (1947) oraz w „Odrodzeniu" (1948). I następny — jeden z wielu — przykład tej metody. „Jadą wozy z ceglą" Heleny Boguszewskiej lansował Dudziński w 1935 r. jednocześnie w „Robotniku" i „Naprzód" (w tych samych numerach), a w 1949 r. wydrukował w „Trybunie Ludu" artykuł: „Jadą wozy z cegłą" — po 15 latach".

Pilny przez cały okres międzywojnia obserwator literatury, w której dochodzi do głosu „negatywna postawa wobec ówczesnej rzeczywistości społecznej i politycznej, świadomość aktualnych potrzeb i tendencji socjalnych, pragnienie zmiany istniejących stosunków" — wstąpił po wojnie Dudziński w szranki dyskusji o literaturze dwudziestolecia, głosząc tezę, że „nie było tak źle". Taki tytuł nosił jego głośny artykuł wydrukowany na 1 stronie „Odrodzenia" z 10 lutego 1946 r.

Polemizując z przekonaniem, że literatura Polski przedwrześniowej była „uległym narzędziem sanacji" i „burżuazyjnym śmietnikiem", stwierdzał Dudziński, że „trudno się zgodzić na tak surowe i ryczałtowe wyroki potępiające, jeśli w skrupulatnym rozrachunku weźmiemy pod uwagę, że przecież prócz oficjalnej, bezpiciowej i bezpostaciowej niejako literatury dla „górnych dziesięciu tysięcy", prosperującej wśród kadzidlanych dymów zachwytów, zaszczytów i akademickiej pompy, istniała też literatura innych przeznaczeń, tkwiąca głęboko w podłożu realnych i palących zagadnień współczesności". Reprezentuje ją dorobek starannie zestawionej (alfabetycznie z zastrzeżeniem możliwych „niedokładności" i niedeprecjonowania pominięciem) listy autorów — od Baczyńskiego do Zegadłowicza. „Prawie sześćdziesiąt nazwisk (a i to z pewnością nie wszystkie), jak na okres dwudziestoletni, to dużo, to bardzo dużo" — podkreślał autor rejestru wyróżnionych.

Uzupełnieniem tych rozważań był „głos" Dudzińskiego w ankiecie „Twórczości": „Jak oceniam literaturę dwudziestolecia" (brali w niej udział m. in. Maria Dąbrowska, Jan Dobraczyński, Stefan Kisielewski, Juliusz Kleiner, Julian Przyboś, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Zawieyski). Zaproszony do dyskusji, zapewne jako znawca „problemu", zwrócił Dudziński uwagę na kolejną zasługę literatury międzywojennej: podjęcie tematu chłopskiego.

„Prócz Kruczkowskiego, Wasilewskiej i Kowalskiego mieliśmy pokaźny zastęp pisarzy, niemal wyłącznie pochodzenia wiejskiego, którzy w powieściach i opowiadaniach, zrywając z szablonem sielankowych kłamstw, odsłaniali rzeczywistość polskiej wsi i jej mieszkańców" — podsumowywał Dudziński. W sposób świadczący o wyborze, unikając zarzutu ignorancji, podkreślał autor wypowiedzi że „badając chłopski odcinek literatury międzywojennej uświadamiamy sobie należycie rozległość dystansu dzielącego ten rodzaj produkcji pisarskiej od ciekawych skądinąd, lecz pustych i bezpłodnych fantasmagorii Gombrowicza lub Brunona Schulza(!), od czysto psychologicznych powieści typu „Cudzoziemki" M. Kuncewiczowej, a nawet od bardziej realistycznych, lecz sprawozdawczych raczej, niż krytycznych i postulujących utworów środowiskowych, jak np. „Dnie i noce" (!) Dąbrowskiej, albo „Krauzowie i inni" Naglerowej".

Dbały o dobre imię literatury dwudziestolecia, wybiegał Dudziński i naprzód, zmartwiony literacką ociężałością swych pupilów w Polsce odrodzonej. Bardzo ciekawą, „ludzką" próbą diagnozy był artykuł „Przyczyny zastoju" wydrukowany w „Odrodzeniu" w 1948 r.

Przyszedł czas, gdy Dudziński nie mógł już podołać trudom krytycznego towarzyszenia literaturze. Jedynym — oby tylko na razie — zwiastunem pory wspomnień, jest opublikowany w 1971 r. tom „Wojenne wędrówki. Ze wspomnień łodzianina 1905—1918". Ze zrozumiałych względów nie ma tam pełnej faktograficznej dokładności, ale jest sugestywna atmosfera Łodzi przed 1914 r. (świetne rozdziały o dziennikarstwie w wydaniu „Nowego Kuriera Łódzkiego" oraz o „instytucji" cukierni Roszkowskiego), a także wojennej zawieruchy z wplątanymi w nią losami Polaków.

Prawdopodobnie nie jestem jedynym oczekującym dalszych wspominków B. Dudzińskiego.

WIESŁAW PUSZ

LEWYM OKIEM 1

ŁADNE HORYZONTY

Podawała niedawno prasa, że konsumpcja alkoholu w pierwszym kwartale bieżącego roku spadła o jakiś tam procent, w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Może więc jesteśmy o ów procent trzeźwiejsi, a może to jeden z ubocznych skutków wyżu demograficznego: skoro zwiększył się udział w społeczeństwie roczników młodszych, na ogół nie pijących, to my, dorośli, z trudem usiłujemy utrzymać spożycie na poziomie, zapewniającym dotychczasową statystyczną średnią.

Ale przecież czyni się coś niecoś, aby i młodszych w odnośnym kierunku zaktywizować. Maleńkie, powiadam, coś niecoś, o różnych jednak i ważnych aspektach. Wychodzi na przykład co miesiąc pisemko „Horyzonty Techniki" z podtytułem „dla dzieci". Zaraz po odwróceniu okładki cóż widzimy? Troje dzieci w towarzystwie rodziców przy zastawionym biesiadnym stole, dwie flachy i kielich na tle szeregu talerzy, papa już wstał — oczywiście też z kielichem w ręku — i pewnie intonuje piosenkę o rybkach, co śpią w jeziorze, a wszystko razem stanowi ilustrację do budującego, arcypozytywnego artykuliku o produkcji Starów.

„Właśnie weszli do kawiarenki i zajęli w ogródku dwa stoliki" — czytamy w tekście. „Pan Kazimierz przybrał uroczystą minę i podał do wiadomości"...

I podał do wiadomości wszystko o Starach. W kawiarence. W ogródku. Przy dwóch stolikach. Nasuwa się więc wniosek: albo rysownik nie był nigdy w kawiarence i zna tylko stoliki z flachami, widelcami i w ogóle „szkłem", to trochę niedobrze; albo był w kawiarence zamiast przeczytać artykulik, który miał zilustrować. To też niedobrze. Teraz czytelnik patrzy z przyjemnością na rozbawionego tatusia na obrazku i znacząco przytyka paluszkiem w gardło.

Nie wiem wprawdzie, kto jest tym czytelnikiem. „Dla dzieci" — napisano tuż pod tytułem. W środku reprodukuje się obrazki z jakiegoś rysunkowego konkursu, których autorami były dzieci 7—10-letnie. To dla nich, dla ich rówieśników te „Horyzonty"? I ta uczona rozprawka w stylu — na chybił trafił — takim: „Miarą stopnia zacienienia jest cienistość, która określa stosunek natężenia oświetlenia, pochodzącego bezpośrednio od opraw oświetleniowych, do całkowitego oświetlenia pochodzącego zarówno od opraw, jak i od światła odbitego od ścian i sufitu"? Kto to rozumie, oprócz autora? Kto zrozumie, dlaczego w innym miejscu, inny autor radzi majsterkowiczom chcącym zbudować urządzenie do nauki strzelania, aby zastosowali do tego celu „dowolnego typu stary, małokalibrowy lub normalny karabin wojskowy", skoro posiadanie broni jest zabronione i karalne?

Swierszczyki i Płomyczki czytają dzieciom rodzice, trzeba się więc trochę liczyć z możliwością krytyki z ich strony. „Horyzonty Techniki" czytają sobie dzieci same. Można się nie obawiać — wszystko będzie przyjęte za dobrą monetę. I tylko wyjątkowo może komuś przyjść do głowy, że przez zwyczajną niefrasobliwość autorów zachwiany został stosunek natężenia oświetlenia na rzecz stopnia zacienienia cienistości.

Lipiec 1964

ĆWIEK

ĆWIEK UCHYLA PRZYŁBICY

Po raz pięćsetny na łamach „Odgłosów" ukazuje się felieton ĆWIEKA „Lewym okiem". A więc jubileusz. Jubileusz dziesięciu lat pracy felietonisty, bo zważywszy, że rok ma 52 tygodnie...

— Powinno być zatem 520 felietonów do pełnego rachunku. Przez 8 lat pisałem „Lewym okiem" bez żadnej przerwy, ale po tych 8 latach nieprzerwanej pracy zdarzyły się tygodnie, kiedy musiałem odstąpić miejsca komuś innemu. A to ze względu na zdrowie, a to na urlop, a to z innych jeszcze powodów.

— Wielu Czytelników wie już, kto kryje się pod pseudonimem Ćwieka, innym czas zdradzić...

— ...że nazywam się Włodzimierz Krzemiński.

— Skoro uchylił już Pan przyłbicy, to może kilka słów o sobie.

— Mówić o sobie jest bardzo trudno.

— Ale zdarzało się Panu opowiadać swój życiorys.

— Należę do pokolenia, o którym umownie mówi się „pokolenie Kolumbów". Moje świadome życie zaczęło się przed wojną. Brałem udział w kampanii wrześniowej i resztę wojny spędziłem w obozie. Do kraju wróciłem w 1946 roku.

— A kiedy zaczął Pan pisać?

— Zacząłem pisać jeszcze przed wojną. Pisywałem w ówczesnej prasie młodzieżowej. W obozie zajmowałem się organizacją życia kulturalnego, wydawaliśmy między innymi obozowe gazetki.

— Przeżycia te zawarł Pan później w książkach.

— Tak, ale nie od razu zająłem się pisaniem. Związałem się z przemysłem i czuję się z nim związany do dziś, pracując zresztą na różnych stanowiskach.

— I te urzędnicze doświadczenia pozwoliły Panu nie tylko na udział w konkursie „Kultury" na pamiętniki urzędników, ale i na zdobycie nagrody

— Redakcja „Kultury" zachęca mnie do dalszego zajmowania się tą tematyką.

— I będzie się Pan nią zajmował?

— Spróbuję swoich sił. Wydaje mi się, że przeszło 25 lat urzędniczego życia pozwoliło mi na zebranie sporego kapitału doświadczeń i spojrzeń.

— Które wykorzystuje Pan nie tylko w felietonach „Lewym okiem", ale i licznych utworach satyrycznych.

— Od wielu lat współpracuję z radiem.

— Z „Wesołym autobusem" głównie.

— Tak, ale moje utwory satyryczne ukazywały się też w pismach satyrycznych, były wystawiane na estradach.

— Zaczął Pan jednak od swoich przeżyć wojennych i obozowych. Pierwszą Pana książką było „Pięć lat z hakiem", a następną — „Jednak jestem".

— W tych książkach istotnie zawarłem swoje przeżycia wojenne, ale pierwsza moja książka nosiła inny tytuł. Nie jest ona znana w kraju, gdyż ukazała się jeszcze przed moim powrotem do Polski. Ukazała się w Niemczech — w amerykańskiej strefie okupacyjnej.

— Jaka to była książka?

— Każdy młody człowiek zaczyna pisanie od poezji. Poezja jest cechą młodości. Z tego się wyrasta i tylko niektórym udaje się zachować tę cechę przez całe życie. Ja też zacząłem od poezji. W Niemczech zachodnich wydano mi zbiorek wierszy lirycznych pt. „Godziny których nie było". Ale z poezją skończyłem już dawno.

— Tak więc w sumie wydał Pan sześć książek, a w tym zbiór felietonów „Lewym okiem".

— Jest to wybór moich felietonów z pierwszych trzech lat publikowania ich na łamach „Odgłosów".

— I tak Włodzimierz Krzemiński przemienił się w Ćwieka, który przez 500 już numerów patrzy lewym okiem na różne nasze powszednie sprawy. Kiedy narodził się Ćwiek?

— W lipcu 1964 roku.

— A dlaczego?

— Bo ten rodzaj twórczości szczególnie odpowiada mojemu temperamentowi i upodobaniom, dając mi możność pisania o sprawach aktualnych w sposób satyryczny, a jednocześnie pozwalając na ciągłe próbowanie własnych możliwości stylistycznych. Felieton daje możliwość pisania o sprawach prostych, codziennych, niemal oczywistych, ale pisania o nich w taki sposób, aby to zmuszało innych do zastanowienia. Tym bardziej że mój felieton pisany jest z pozycji lewego oka, a więc z sceptycyzmem, kpiną, wątpliwościami. I te wątpliwości, to inne spojrzenie — tak przynajmniej mniemam — pozwala na pokazanie rzeczy oczywistych w innym świetle.

— Tym bardziej że Ćwiek ma swoiste pole do obserwacji. Sfery urzędniczo-biurokratyczne.

— Wydawało mi się zawsze, że specyfiką felietonów „Lewym okiem" jest to, iż są one pisane niejako ze środka środowiska, które wiele waży w naszym życiu społecznym i gospodarczym.

— Czy 10 lat uprawiania felietonistyki nie stało się już dla Pana nałogiem?

— Nałogiem stało się dla mnie przede wszystkim czytanie. Czytam niemal w każdej sytuacji: w pociągu, tramwaju, kolejce, przed zaśnięciem. Czytam głównie prasę, aby mieć różne spojrzenia na nasze codzienne sprawy, aby móc wtrącić do rozważań o nich swoje trzy grosze, spojrzeć na nie lewym okiem.

— A te sprawy, o których Pan pisał przez 10 lat, czy nie powtarzały się?

— Zapewne, ale myślę, że nie ma w tym nic złego. Gorzej, gdyby powtarzały się komentarze do nich, bo to świadczyłoby o pewnym skostnieniu poglądów. Nie wydaje mi się jednak, aby tak było. Życie nie stoi w miejscu i jeśli nawet dziś podejmujemy jakieś sprawy, którymi zajmowaliśmy się przed laty, to mamy do nich inny stosunek. I felietonista musi też patrzeć na nie inaczej. Musi bowiem stale znajdować się w centrum tego wszystkiego, czym aktualnie żyje społeczeństwo.

— Czym dla Pana jest felieton?

— Prób definicji felietonu było już wiele.

— Ale chodzi mi o Pana osobisty pogląd.

— Zaryzykowałbym taką analogię. Jeśli człowiek czyta książkę z wielkim zaangażowaniem, jeśli lektura go pasjonuje i ma do niej osobisty stosunek, to zwykle czyni uwagi na marginesie tej książki. Dla mnie jest felieton czynieniem właśnie takich uwag na marginesie.

— Pod warunkiem, że uwagi te są komentarzem do książki, a nie jej streszczeniem.

— Trzeba mieć po prostu własne zdanie, własny pogląd.

— Co tydzień na inny temat.

— Ludzie interesują się wszystkim, co ich otacza. Przecież w naszych rozmowach zaczepiamy o bardzo różne sprawy, a nie na wszystkim się wszyscy znamy. Felieton jest też swego rodzaju rozmową, z tą tylko różnicą, że felietonista ma odwagę przedstawienia swego zdania do publicznej oceny.

— A nie bierze czasem Pana ochota rozpisania się. Zamiast napisania tych trzech kartek o jednej sprawie, troski o zwartą konstrukcję, dowcip i pointę, dać upust słowom i napisać duży publicystyczny artykuł?

— Nie, a to dlatego, że felietonistyka wymaga określonego i specyficznego stosunku do rzeczywistości, określonego i właściwego felietonowi sposobu reagowania i punktu odniesienia. To jest zupełnie co innego pisać felieton, a zupełnie co innego — artykuły publicystyczne.

— Szczególnie, jeśli pod mianem artykułu publicystycznego rozumie się objętość, a nie analizę zjawisk i procesów, o których się pisze.

— Są przecież felietoniści, którzy równolegle uprawiają analityczną publicystykę.

— Można byłoby więc powiedzieć, że felietonistyka to nie tylko forma, ale przede wszystkim sposób myślenia.

— Tak. Łapię się często na tym, że felietonistą jestem stale, w każdej sytuacji, że poznając coś nowego, interesując się czymś, patrzę na to lewym okiem. Staram się w oczywistej rzeczy dostrzec coś, czego nie widzą inni, co uchodzi ich uwadze.

— Ale felietonistę musi też coś gniewać. Co Pana przez tych 10 lat gniewało najbardziej?

— Gniewa mnie najbardziej to, co mi jest najbliższe, a więc stale obserwowane ciągoty do wielkiej centralizacji. W swojej pracy urzędniczej obserwuję przecież zdrowy prąd do udzielania coraz większej samodzielności ogniwom podrzędnym. Niestety temu prądowi przeciwstawiają się centralistyczne ciągoty ogniw nadrzędnych. W pracy tych ogniw obserwuję stale odradzającą się i — w gruncie rzeczy chyba niezdrową — tendencję do przechwytywania decyzji.

Gniewa mnie również to, że wielu ludzi w swojej pracy nie kieruje się dobrem powierzonej im sprawy, a stara się tylko o dobrą ocenę przełożonych; że wielu z nich w prywatnej rozmowie szybko ujawnia swój pogląd na daną sprawę, a całymi latami działa wbrew swoim przekonaniom, swoim poglądom, po prostu, kierując się dążeniem do „świętego spokoju".

Gniewa mnie wreszcie uchylanie się ludzi i instytucji od odpowiedzialności.

— Czy z okazji jubileuszu „Lewym okiem" zadał Pan sobie trud przejrzenia swojej dziesięcioletniej twórczości felietonowej?

— Tak.

— A czy mógłby Pan powiedzieć co zmieniło się w Pana zainteresowaniach felietonisty?

— Są tematy, które żyją uparcie długo, a dotyczą często małych niedogodności. Żaden szanujący się felietonista nie będzie dziś pisał o kelnerach i gastronomii, a przecież można byłoby powtarzać dziś felietony na ten temat sprzed lat. W gastronomii niewiele zmieniło się na lepsze. Ale są tematy, o których dziś już bym nie pisał, bo problemy, poruszane przed laty zniknęły.

Trzeba jednak pamiętać, że felieton wyśmiewa pewne ujemne zjawiska, atakuje negatywy w obronie pozytywów. Jest czasem formą doraźnej interwencji. I to trochę wypacza obraz rzeczywistości, gdyby się chciało ocenić ją tylko przez pryzmat felietonu.

— Czyta Pan innych felietonistów?

— Oczywiście.

— A kogo Pan czyta najchętniej?

— Bardzo lubię czytać felietony Hamiltona. Dają się one nawet lepiej czytać w zbiorowych wydaniach niż w tygodniowych odcinkach. Bardzo lubię felietony Michała Radgowskiego. Cenię sobie felieton Macieja Iłowieckiego, choć jest to felieton specyficzny, popularyzujący osiągnięcia nauki i techniki, ale też pesymistyczny w swojej wymowie, zmuszający do zastanowienia się nad tym, co czynimy ze swoim światem.

— Pana stosunek do kolegów z macierzystych łamów?

— Widok pisuje na tematy kulturalne, a to specyficzny rodzaj felietonu i wydaje mi się bardzo interesujący. Również wysoko cenię historyczne felietony Lektora. Tego rodzaju felietony są bardzo rzadkie, gdyż wymagają wielkiej erudycji. Mam trochę pretensji do Jana Gontala za jego niezwykle pesymistyczne widzenie świata i ludzi. Chyba ludzie nie są tacy źli, jak to usiłuje nam sugerować felietonista.

— Chciałbym serdecznie podziękować Ćwiekowi za rozmowę, ale mam jeszcze pytanie do Włodzimierza Krzemińskiego. Jak Pan godzi trudy wieloletniej pracy urzędniczej z równie wieloletnią działalnością literacką?

— Być może mam trochę anachroniczne poglądy na ten temat, ale uważam, że do literatury trzeba przejść długą drogę i niejedno poznać w życiu. Po powrocie do kraju związałem się z przemysłem i tak już zostało. Być może, gdybym rzucił stan urzędniczy i poświęcił się wyłącznie literaturze, napisałbym i więcej i może nawet lepiej, ale mogłoby też zdarzyć się, że stałoby się inaczej. Dlatego nie żałuję, że pozostałem urzędnikiem, tym bardziej że noszę się z zamiarem spożytkowania w literaturze i publicystyce tego wszystkiego, co na temat urzędniczego życia uzbierało się w mojej pamięci przez przeszło 20 lat pracy w przemyśle.

— Wobec tego życzę Panu dalszej wytrwałości felietonisty i zrealizowania pozostałych twórczych zamierzeń.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ŚPIEW O ŚWICIE

O świcie żołnierzy nieznanych tłukł się po lesie śpiew,
aż mróz zaciągał duszę, jak granatowe szyby.
Żołnierze szli, bo musieli. Drzewa kuliły się w sobie:
śpiewali, bo im kazano. Pod nogami też skrzypiał śnieg.

Być może, że były słowa. Zdecydowane i szczere —
ktoś może je sklejał mozolnie rozmiękłą gliną okopów.
Melodia była silniejsza. Ginęły bezduszne i wiotkie
w białej pierzynie, przyszytej do ziemi zajęczym ściegiem.

Na fajansowym niebie ostatnie zimne gwiazdy —
tak zawsze biegły iskierki po ostrych kingach bagnetów.
Żołnierze o tym wiedzą. I pewnie w niebo nie patrzą,
czekając dla bólu pociechy i dla nadziei — nazwy.

Śnieg pod nogami skrzypi. Gwiazdy zagasnąć nie chcą.
Zbyt wielka dekoracja dla nas — maleńkich aktorów.
Słowa wiotczeją i giną. Milczenie rozszerza oczy —
źle leżeć twarzą w śniegu. Żołnierze o tym wiedzą.

LEWYM OKIEM (500)

W PIERWSZEJ OSOBIE

Aż się wierzyć nie chce, że to już pełnych dziesięć lat. W lipcu 1964 r. ukazał się w „Odgłosach" pierwszy mój felieton, dziś ukazuje się pięćsetny. Dziesięć lat spisuję obserwacje pochwycone „lewym okiem", i gdyby to nie były felietony w tygodniku społeczno-kulturalnym, tylko wpisywanie liczb do wiecznie tych samych rubryk w formularzu bankowym, miałbym już za sobą po tak długim stażu kilkakrotne przeszeregowanie, nie mówiąc o dodatku „za wysługę lat".

Ale felietonista to trochę wolny strzelec, pracuje na własne ryzyko, listy obecności co dzień podpisywać nie musi, a jeśli któregoś tygodnia kawałek mu się nie uda, — żadne lekarskie świadectwo nie jest potrzebne. Zresztą ja też zostałem przeszeregowany: z ostatniej strony na trzecią od końca. I dopiero niedawno dowiedziałem się z antologii, wydanej przez J.J. Lipskiego pt. „Warszawscy Pustelnicy i Bywalscy", że nie jestem pierwszym Ćwiekiem w polskiej prasie: okazuje się, że tym samym pseudonimem podpisywał swoje felietony w stołecznej prasie przedwojennej Stanisław Ćwierczakiewicz, który miał po temu pretekst w brzmieniu swojego nazwiska, a ja wymyśliłem sobie Ćwieka bez pretekstu. Jak trudno wymyślić coś nowego!

Po tych wszystkich latach wciąż z sardonicznym uśmieszkiem mojego wewnętrznego puszczyka stwierdzam, że bardzo wiele dobrze mi znanych osób nie kojarzy Ćwieka z żadnym konkretnym typem, pijącym niekiedy kawę tu i ówdzie. Nie trafiłem też na ślady, które by świadczyły, że Ćwiek został jakoś zauważony przez profesjonalistów. To nic, wiadomo przecież, że ludzie piszący nie czytają nigdy tego, co piszą ich koledzy, natomiast lubią narzekać na brak integracji środowisk twórczych i na niedobrą atmosferę kulturalną miasta, w którym żyją. O ileż ważniejsza byłaby dla mnie pewność, że przynajmniej czasami zdarzy się czytelnik, który po przeczytaniu „lewym okiem" wykrzyknie: „o, właśnie!" — co warszawski felietonista o dwudziestoletnim już w tym fachu dorobku, Kopaliński, uważa słusznie za „szczytową pochwałę, jaką może otrzymać felieton".

Dużo dziś — jak widzicie — pierwszej osoby liczby pojedynczej, ale to przecież tylko raz na pięćset. Przeglądam plik wyciętych „Ćwieków" i konstatuję, że zdarzały się już powtórzenia nie tylko tematyczne, bo to oczywiste: niektóre sprawy mają uparty żywot i uparcie prowokują do ich skomentowania. Gorzej, że powtórzyły się tu i ówdzie anegdoty, cytaty, dowcipy. Stanisław Lem potrafiłby to usprawiedliwić niezmiernie trudnym wywodem statystycznym, podobnie jak w „Kulturze" uzasadnił istnienie proroczych snów i trafienia w ruletce. My zaś między nami wiemy, że każdy z nas się powtarza, i że dotyczyło to nawet bardzo wielkich pisarzy. Jeszcze raz: jak trudno wymyślić coś nowego!

Ale to nic. Trudno, nietrudno, nie mam jednak zamiaru jak Brigitte Bardot zapowiedzieć wycofania się z gry, bo zresztą i w jej zapowiedzi nie wszyscy wierzą. Z okazji swojej prywatnej, okrągłej liczby, z okazji pięćsetki — i to wciąż w tym samym tygodniku! — do której mimo znanej pracowitości naszych dziennikarzy docierają raczej nieliczni, składam sobie niniejszym najlepsze jubileuszowe życzenia w imieniu czytelników Ćwieka, do których też się zaliczam. Oczywiście — życzenia zdrowia i nieustannej dziecinnej radości życia, a oprócz tego parę bardziej już zawodowych:

— Żeby liczba, określająca grono czytelników rubryki „lewym okiem", powiększyła się w najbliższym roku — niedużo — o jedno zero,

— żeby nikt już nigdy nie mówił „włanczać" zamiast „włączać", „zrucać" zamiast „zrzucać", „szeroki asortyment" zamiast „duży wybór" i „zaistniała superata" zamiast „powstała nadwyżka", bo od takich zwrotów dostaję wysypki,

— żeby mocniej i częściej poczuć, że pisanie felietonów to nie monolog maniaka na puszczy, że coś się przy tym dzieje, że ktoś coś pomyśli a może nawet zrobi, choćby coś wręcz odwrotnego niż sugerował felietonista, ale w odbiciu od jego sugestii,

— żeby wszyscy piszący, pomagając sobie cudzymi myślami, podawali bez żenady ich źródło,

— żeby ryzyko powtarzania się tematów w felietonach spadło do zera nie dlatego, że autor zapomniał że już o tym raz mówił, tylko dlatego, że sprawa się zdezaktualizowała, zadra przestała kłuć, dziurę w moście naprawiono.

Wytnijcie te życzenia. Za dziesięć lat, w tysięcznym felietonie zrelacjonuję, ile z nich się spełniło.

Tymczasem grajmy dalej.

ĆWIEK

DOBRA PRACA – PEŁNY STÓŁ

Dalszy ciąg ze str. 1

spojrzenie i odpowiada pytaniem na pytanie:

— A pan redaktorze, to pewnie by chciał bym tak zaraz, już od dziecka, jeszcze w krótkich spodenkach, o niczym innym nie myślał, jak tylko... o jabłoniach. No więc, jeśli tak może niekiedy i było, to — wyznaję ze skruchą — najbardziej interesowały mnie wtedy walory smakowe dorodnych jabłek w sadziku sąsiada przyległym do naszej rodzinnej zagrody...

Bo tak naprawdę to wszystko zaczęło się podobno za sprawą pewnego czarownika. W cywilu był on faktycznie emerytowanym kolejarzem, ale rzeczywistej sławy, a i wielkich honorów zażywał dopiero w charakterze nieetatowego zamawiacza wielkich, nie tylko ludzkich słabości. Szczególnie mocny był na zęby. „Weź szczyptę soli, przygarść ziół — tutaj padały nazwy swojskie, jakich nie uświadczysz w uczonych dziełach — owiń to wszystko w szmatkę i przyłóż do zęba. I teraz dopiero wymów zaklęcie"... Acha, jeszcze coś. Koniecznie należało spełnić jeden, ale bardzo istotny warunek: nikt, nawet rodzona matka ni ojciec nie mogli cię zdybać przy tych czynnościach No i o wynik mogłeś być pewny. Miało się jednak wydać, że i czarodziej miał swoje słabe strony; lubił pieniądze — co już samo w sobie jest cechą niebezpieczną — a w dodatku odkładał je w niezbyt solidnie zabezpieczonym miejscu. Mały banczek ogłosił któregoś dnia plajtę, oszczędności diabli wzięli, a sam czarownik w przystępie rozpaczy obwiesił się na rosochatej sośnie i nie pochowano go na poświęconym miejscu.

Niech mu...

Ba, ale po co ja o tym wszystkim mówię, tak jakoś bezwiednie wpisując w dziecięce lata profesora Szczepana Pieniążka jakieś tam gusła i czary?

Ano właśnie. Jak w każdym porządnym życiorysie Takiego Człowieka na początku powinna być przysłowiowa iskra boża, bowiem w przeciwnym razie wszystko by się kupy nie trzymało. Tymczasem z Pieniążkiem akurat zupełnie było inaczej. Jeśli coś wyniósł z tamtych swoich szczenięcych lat, to chyba przede wszystkim podziw i przemożną ciekawość dla tego świata zieloności pokrywającej narzeczne łęgi, na których jako 13-letnie chłopię pasał krowy. Chociaż nie. W świadomości i tradycji rodziny tkwiła gdzieś postać dziada Adama, który ponoć przy każdej nadarzającej się okazji mawiał, że jak Pieniążki — Pieniążkami, nikt z nich pańszczyzny na dworskim nie odrabiał. W Górznie, dziad naszego profesora miał się zjawić po Insurekcji Kościuszkowskiej, kiedy to Naczelnika nad Wisłą już nie stało, a i jego druhy poszły w rozsypkę po świecie. Dostał jakiś kawałek ziemi, przysposobił go, założył piękną, słynącą na całą okolicę miodną pasiekę, a przy niej sad spory.

Jan Długosz, czerpiąc swoje wiadomości z najstarszych roczników klasztornych pisze w swoich „Kronikach Sławnego Królestwa Polskiego", że pierwszym opatem klasztoru Lubińskiego w roku 1175 był Florenty, „od którego i jego braci, z Porty do Polski przybyłych i w rzeczonym klasztorze osadzonych, pochodzi i nazwisko swoje bierze gatunek jabłek, które oni z sobą do Polski przywieźli, a które od klasztoru Porty, skąd one pochodziły nazwane Daport, rozmnożyły się u nas i dotąd jeszcze je hodują".

— Rodzina była liczna — wspomina profesor — a mój ojciec, Józef, jednym z ośmiorga dzieci.

Więc się też nie przelewało, a gdy przyszło by jeszcze do działów to te osiem górzańskich morgów, na których zaczął już po trosze gospodarować Józef, znaczyło akurat tyle co kot napłakał. Machnął więc ręką na ten spłacheć obłaskawionej do rodzenia ziemi. Tak, tylko Pieniążki nie byłyby Pieniążkami, by swój górzański exodus tłumaczyć materialnymi przeciwnościami losu. Ponoć w istocie najbardziej były winne literackie ciągoty sąsiada zza miedzy, pana na włościach, a którego grafomańskich dykteryjek nie trawił szczególnie najstarszy z rodu — dziad Adam. Kupili więc trochę morgów na skraju wsi Słup i zaprzęgli się całą rodziną do katorżniczej roboty. A było z czym wziąć się za bary — za pnie i chaszcze po leśnym wyrębowisku co miało i musiało stać się życiodajnym polem. Więc od świtania aż po zmrok. Zgięte w kabłąk grzbiety prostowały się ledwie na wymoszczonych słomą i grochowinami posłaniach, a rankiem ludzie znowu podejmowali swój uporczywy trud dający się przyrównać chyba tylko do zapasów z naturą toczonych przez emigrantów z Przywiślańskiego Kraju zaludniających wtedy puszcze Brazylii, trzebiących żywiczne lasy Kanady. Kiedy jednak Józef Pieniążek poznał na odpuście w Parysowie swoją „przyszłą", a wkrótce doszło i do weselisko, mógł wraz ze swoją młodą żoną Zofią, osiąść nie na 8 lecz 18 morgach jakiej takiej ziemi.

W tym miejscu dochodzimy do spraw dziejących się w kręgu ludzi już bezpośrednio bliskich bohaterowi tego reportażu, jako że z małżeństwa Józefa i Zofii narodziło się siedmioro dzieci, a Szczepan, który swoje przyjście na świat obwieścił głośnym krzykiem akurat w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1913 roku, był w tej gromadce „środkowym".

Dawni pamiętnikarze przytaczają nazwy jabłek powszechnie używane po wiek XIX dla rozmaitych odmian tego owocu w Polsce. Były to: Winniczki, Balsamki, Windyczki, Jastonki, Cyganki, Wierzbówki, Maryjki, Pierzgnięta, Rzępne, Muciany, Sorby, Bursztówki, Szczecinki, Renetki, Kalwile, Cytrynki.

— Ojciec się zadłużył po uszy na tę naszą edukację — wspomina prof. Szczepan Pieniążek — wypadło z tego wszystkiego sprzedać słupskie morgi. Przenieśliśmy się w okolice Mińska Mazowieckiego. Tak, była to pierwsza wielka podróż mojego życia i choć wsie Słup i Swobodę dzieliło wszystkiego 11 km całą noc poprzedzającą przenosiny nie mogłem z wrażenia zasnąć...

I to był chyba początek tej życiowej, najważniejszej drogi dzisiejszego profesora, prezesa Międzynarodowego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych, rzeczywistego członka PAN i trzech zagranicznych Akademii Nauk Rolniczych, autora ponad 200 rozpraw naukowych, tudzież kilku książek, w tym **„Dookoła sadowniczego świata"** i **„Gdy zakwitną jabłonie"**, przy czym ta ostatnia uznana została przez wydawcę — „Naszą Księgarnię", za bestseller roku.

No tak, ale jeśli to ma być prawdziwy rodowód, to nie urywajmy go ledwie u progu. Więc były jeszcze lata spędzone w Radości pod Warszawą, gdzie Pieniążek senior zarabiał na utrzymanie licznej przecież rodziny jaką taką stolarką, był czas „Wyższego Gimnazjum Biskupa Podlaskiego" w Siedlcach, gdzie prowadząc szkolne muzeum przyrodnicze przyszły luminiarz światowego ogrodnictwa nie musiał w zamian płacić czesnego za pobieranie nauk. Nadeszły też lata studenckie, zresztą niejako na kredyt, za pożyczone od siostry 300 zł na wpis.

Jabłonie uprawiano już w okresie neolitu, a wzmianki o tym drzewie i jego owocach pochodzą ze Starożytnego Egiptu, Asyrii, Babilonu, opisywał je Homer w „Sadzie Odyseusza", a wzmianki na jej temat można znaleźć u Teofrasta i Pliniusza. W Polsce natrafiono na ślady owoców jabłoni podczas wykopalisk w Biskupinie. O rozpowszechnionej uprawie tego owocu w Polsce wspomina Mikołaj Rej. Dzisiejsza światowa produkcja jabłek wynosi 14-20 mln ton rocznie.

— Zdecydowałem się iść na biologię, choć — może pan nie uwierzy — ciągnęło mnie bardzo do łaciny, greki, zresztą to zainteresowanie starożytnością pozostało...

Profesor w tym miejscu milknie. Jednak ja mogę dopowiedzieć, bo znam pewną maksymę, w którą wpisał swój cały życiorys choć nie na użytek kadrowców: robić to co przynosi korzyść ludziom.

Trzeba też przyznać, że miał przy tym sporo szczęścia. Prof. Wojcicki, dla reszty studenckiej braci „straszny dziedunio" z miejsca upatrzył sobie Pieniążka, wprowadzał go w tajemnice świata roślin, by wreszcie wykierować go na zagraniczne stypendium do Grazu. Nic jednak z tego nie wyszło, bo akurat Hitler połakomił się na Austrię i wyjazdowe plany spaliły na panewce. Okazało się jednak, że nie ma tego złego co by na dobre...

— Pewnego dnia spotkał mnie prof. Edmund Malinowski, genetyk, no i powiada, że chętnie weźmie młodego, człowieka, który chciałby się zająć w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego sadownictwem. Jest stypendium na ten kierunek do Stanów Zjednoczonych, na Uniwersytecie Kornela w Itace. Aż do zrobienia doktoratu — po 1500 dolarów na rok...

Wbrew pozorom decyzja nie była łatwa, bowiem chodziło już nie tylko o jego własny los, ale także drugiej, kochanej osoby. Myśleli przecież o ślubie. Był już także rok 1938, a z nim pierwsze pomruki nadchodzącej burzy, która niebawem ogarnie świat. Mimo wszystko — pojechał. W sierpniu 1939 r., na nowojorskim nabrzeżu, witał Janinę schodzącą trapem z pokładu „Batorego", 1 września, kiedy akurat brali ślub, na ulicach amerykańskiej Italki gazeciarze zaczęli wykrzykiwać sensacyjną wiadomość: Niemcy napadły na Polskę. Warszawa płonie pod gradem bomb. Pięć długich, trudnych lat.

Nieważne, że trzeba było zacisnąć pasa.

Nieważne, że doktorant, by utrzymać rodzinę musiał się przekwalifikować na palacza centralnego ogrzewania w studenckim „Cosmopolitan Club".

Nieważne, że jego żona miast się uczyć, skwapliwie przyjęła zaproponowaną posadę „Baby Siter" czyli jak się to tutaj nazywa „siedzącej przy dziecku".

To wszystko nic. Ostatecznie zrobił doktorat, wtedy już było lżej, a później wpisał w swój życiorys tytuł Assistant Professor czyli po naszemu — docenturę.

Był już jednak rok 1945.

Była też znowu Polska. Jaka? Chyba nie bardzo wiedział, ale czy tylko on? Pamiętał jednak przecież z gimnazjalnych czasów strofę Horacego:

„Nic słodszego od Ojczyzny, choćby kto w cudzych krajach zamieszkał dom bogaty". Więc pośpieszne pakowanie dobytku; książek i aparatury naukowej uzbierało się ze 30 skrzyń. Do portu w Gdyni statek „Falstaria" wpłynął wiosną 1946 roku. Wrócili.

Wielka Encyklopedia Powszechna PWN podaje: jabłoń — Malus, rodzaj z rodziny różowatych; obejmuje ponad 25 gatunków drzew i krzewów występujących w stanie dzikim na obszarach klimatu umiarkowanego Azji, Europy i Ameryki Płn. Przy powstawaniu uprawnych odmian jabłoni główne znaczenie miały dwa gatunki: dzika, płonka — Malus silvestris, występująca w

CZARODZIEJ SADÓW

CZESŁAW PIENIĄŻEK
Fot. Archiwum

południowo-zachodniej Europie i zachodniej Azji oraz jabłoń niska — Malus pumila wywodząca się również z Azji zachodniej. Jabłoń jest drzewem długowiecznym — do 100 lat, a jej owoce mają bardzo wysoką wartość dietetyczną, zawierają od 8 do 13 proc. cukrów, 0,4 proc. białka, 0,4 — 0,8 proc. kwasów organicznych, około 0,6 proc. pektyn, duże ilości witaminy C.

POZNAWANIE

Do Skierniewic przyjechali rozklekotaną wprawdzie, ale „umyślnie podesłaną" ciężarówką. Dlaczego właśnie Skierniewice?

— Widzi pan, tutejszą placówką SGGW — katedrą sadownictwa, kierował profesor Goriaczkowski. Zginął w Powstaniu.

Czy było to więc zwykłe, zgodne z prawami życia wypełnianie próżni? Prof. Szczepan Pieniążek nie lubi o tym mówić. Woli wspominać setki przejechanych „na łebka" i bydlęcymi „pulmanami" kilometrów, to pierwsze poznawanie tego starego, a przecież wywróconego na nicę kraju jak gdyby nie z tego świata. I tylko jedno w nim się nie zmieniło: te przytulone do chłopskich chałup drzewa, porozrzucane kawałkami sady, gdzie wiśnia i śliwa przeplatały się z kosztelą co ją jeszcze sam król Jan III Sobieski do Polski sprowadził.

— Ja wiem, że to może być nawet malownicze. Ale te małe, rozproszone, właściwie nie pielęgnowane wysokopienne sady... W Australii mówi się, że kiedy idąc do sadu bierzesz drabinę, pieniądze uciekają ci z kieszeni, a kiedy by sięgać po owoc musisz wejść na trzeci szczebel już ich nie masz. W dodatku taka kosztela owocuje dopiero po 15 latach, no i co drugi rok...

Wniosek był oczywisty: by kraj miał więcej owoców należało to wszystko wyrzucić, wprowadzić do polskich sadów inne gatunki jabłoni.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać.

Przychodzili na spotkania z profesorem pełni rezerwy, a nawet ironii.

— Bo i co taki profesor wiedzieć może co naprawdę w drzewie siedzi. Toż to jabłonki w moim sadzie mają więcej lat od niego, a mądrala poucza psią mać! Że szkolony w Ameryce to już wszystkie rozumy pozjadał? Może się tam i znają, ale... na małpim szmalcu! Kiedy powiedział, że w prawdziwie nowocześnie prowadzonych sadach jeden człowiek zbiera dziennie z drzewa 1500 kg jabłek — parsknęli śmiechem. Przecież stary Ludwisiak, gospodarz całą gębą, zdoli ledwie dociągnąć 300. Tam takie uczone klepanie! A najlepiej to niech pilnuje by w jego tam tych Skierniewicach parch jabłoni nie zeżarł...

Ćmili papierosiska, a bywało, że niecierpliwie cisnęli się ku wyjściu. Tablica, kreda — te klasyczne pomoce w ręku nauczyciela, były tutaj bezużyteczne. Ale bo i kto to słyszał, by drzewa mogły tak samo bogato plonować każdego roku? Kto by tam wreszcie grunt marnował bez nijakiego pożytku, a profesor mówi, by zamiast kartofli trawę między jabłonki puścić. Kiedy któregoś, tak na wyrywki zapytał, czy pod drzewami jego sadu koń się zmieści, ten spojrzał z niemym zdumieniem na profesora Pieniążka. No bo jakże, co to i za sad być musi bez karego przy jabłoni?

Każdy sposób był dobry by trafić z teraz, po latach, już tak oczywistą prawdą, że wysokie drzewa w sadzie to żaden interes, a odwrotnie — z jabłoni niskopiennych łatwiej zbierać owoce, a przede wszystkim plon jest bogatszy, dorodniejszy. Było w tym wszystkim coś z kuszenia jabłkiem. Zdobyć pierwszego, który podczas takiej gawędy — bo czy to można nazywać odczytem — o innych sadach w zaczadziałej od parujących z wilgoci kożuchów w szkolnej izbie, sięgnął po ołówek, coś tam w synowskim kajecie nabazgrał, znaczyło wygrać. Wypadło i w gospodzie, zagryzając małosolnym, kończyć naukowy wywód, że mączniaka najlepiej zwalczać w sadach do kwietnia odcinając porażone gałęzie, a opryskiwać to trzeba tym, a tym. Wychodzili już w pełnej zgodzie, ale nadal ostrożni:

— Niech tam będzie, ale tak uczciwie powiedzcie, jak bym po waszemu miał zakładać sad, to od czego zaczynać?

Już od dawna potrafiliśmy zamieniać owoce w „coś innego". Z jabłek robiono w wielu domach, po wsiach napój zwany jabłecznikiem. Kwaszenie jabłek na zimę ma swoją tradycję sięgającą czasów przedhistorycznych a przetrwało do naszych lat w zwyczaju zapobiegliwych gospodyń, które dodają jabłka do kwaszonej na zimę kapusty.

Dziś wydaje się to wszystko takie proste. To trafianie z wiedzą do chłopskiej ostrożności. Ale czy tylko? Kiedy w 1951 roku, w Ministerstwie Finansów ktoś wpadł na iście genialny pomysł i wszystkie sady liczące więcej jak 20 drzewek obłożył drakońskim podatkiem, profesor nie zdzierżył. Wygrzebał z pamięci jakieś dawne koneksje jeszcze z czasów CK Austrii i znalazł z tym drogę do Belwederu.

— Wszystko co więcej, panie Prezydencie, pod siekiery idzie!

Kto, kogo i jak rugnął — teraz nie dojdziesz. Podobno wystarczył jeden telefon „rządówką", potem była jeszcze długa rozmowa profesora z ministrem. Ale sady mogły kwitnąć. Acha — jeszcze coś: nasz profesor wyszedł z tych szranków mając w kieszeni decyzję ówczesnego I sekretarza KC PZPR — Bolesława Bieruta. W Skierniewicach miał powstać specjalny instytut dla sadownictwa. No i trzeba wybudować dla niego odpowiednią siedzibę.

PLON

Przeglądam stosik listów. Na ten adres: Instytut Sadownictwa, Skierniewice ul. Pomologiczna, Polska, przychodzi ich wiele. Sporo też zaproszeń. To ostatnie — z Australii. Proszą Profesora o wygłoszenie odczytu na temat najnowszych metod stosowanych w polskich sadach. Jest też kilka zapowiedzi wizyt. Niedawno przebywali tutaj amerykańscy studenci. Chcieli koniecznie zapoznać się z placówką naukową, która będzie gospodarzem Światowego Kongresu Sadowniczego. Żadna dziwota. Bywali tu już inni z odwiedzinami, z ciekawości, ale i po wiedze: przyjeżdżali naukowcy z Anglii, USA, ZSRR, Holandii, Bułgarii, Jugosławii, Afganistanu. Nasi ze Skierniewic jeździli na dwu- trzyletnie kontrakty do Turcji, Meksyku i Maroka.

Uczyć sadownictwa.

Kiedy organizowano Instytut Sadownictwa w Skierniewicach liczył on zaledwie kilkunastu pracowników naukowych, w tym tylko jednego profesora. Obecnie zatrudnia on 180 pracowników naukowo-badawczych, w tym 9 profesorów, 10 docentów habilitowanych oraz 40 adiunktów ze stopniem doktora. Ponad 50 pracowników naukowych zajmuje się na wyższych uczelniach działalnością badawczą i dydaktyczną.

No tak. Do tej pory starałem się możliwie daleko trzymać od wszelkich liczb, a tym bardziej statystycznych wskaźników, chociażby dlatego, że i mój skierniewicki gospodarz bardzo ich nie lubi. Teraz muszę jednak prosić solennie o dyspensę. Dziękuję...

A teraz krótko wytłumaczę się z tego przeniewierstwa. Otóż, jeśli bohaterem tego reportażu jest profesor Szczepan Pieniążek, to niewątpliwie co najmniej równe prawa do tego tytułu ma wszystko co za jego i otaczających go zapaleńców pracą i sprawą stało się na przestrzeni niespełna 30 lat w polskich sadach. Łatwo dzisiaj powiedzieć zajmujemy czwarte miejsce w świecie — po Francji, USA, Italii — w globalnej produkcji jabłek. Australia, która pod względem obszaru jest 30 razy większa od Polski, produkuje mniej więcej tyle samo owoców co my. To znaczy ile? Dokładnie, w roku 1973, nasze sady i plantacje dostarczyły 1.217 tys. ton owoców, czyli blisko 40 kg na każdego Polaka Można też śmiało już liczyć, że do roku 1980 dojdziemy w rozmiarach produkcji owoców zapewne do 2.400 tys. ton i wtedy na każdą statystyczną „głowę" w naszym kraju wypadnie po 60 kg co oznacza możliwość spożycia blisko optimum wyznaczanego przez najbardziej nawet wymagających dietetyków.

Profesor Pieniążek: — Nie ma się znowu czym tak bardzo zachwycać. W Polsce mamy 296 tys. ha zajętych pod uprawy sadownicze, ale trzeba też wiedzieć, że tylko 80 tys. jest właściwie pielęgnowanych i daje wysokie plony... Taka jest opinia światowej klasy fachowca w tej branży, ale gwoli jasności trzeba przypomnieć jeszcze inne fakty. Przecież w okresie powojennym udało nam się zwiększyć produkcję owoców z około 400-500 tys. ton rocznie do obecnego poziomu grubo przekraczającego niegdyś wprost niewyobrażalny milion. Opanowane zostało zjawisko tzw. przemiennego owocowania, które raz jak z rogu obfitości sypało — ale za to podłymi jabłkami, mówiliśmy wtedy o „klęsce urodzaju", by znowu następnego lata zmniejszyć plony o połowę, a nawet więcej. Na poparcie tego służę przykładami: w roku 1949 zebraliśmy 694 tys. ton, ale w następnym sezonie sadowniczym tylko 340 tys. I nie był to jakiś przypadek, bowiem tak bywało i w następnych latach: rok 1951 — zupełnie przyzwoity jak na ówczesne czasy rezultat bo 634 tys. ton owoców, ale w 1952 r. znowu regres — ledwie, ledwie dociągnęliśmy do 272 tys. Od ośmiu lat mamy to zupełnie z głowy. Czy trzeba wyjaśniać ekonomiczne i społeczne znaczenie likwidacji owej przemienności wiszącej niegdyś jak fatum nad polskim sadownictwem? I jeszcze coś: ta wielka akcja trafiania do chłopa nowoczesną myślą była niewątpliwie zaczynem. Mają chyba również rację ci, którzy uważają iż spółdzielczość ogrodnicza torowała drogę na polskiej wsi różnym formom kooperacji, społecznego, a więc i nowoczesnego gospodarowania.

Kiedy wyjeżdżałem już ze skierniewickiego gospodarstwa, żegnając się z profesorem, tak z dziennikarskiego obyczaju zapytałem jeszcze co uważa za najistotniejsze w swojej dotychczasowej działalności, ten znowu uśmiechnął się kpiarsko.

— Pewnie pan chciałby bym teraz powiedział, bo by to tak ładnie wyglądało, że wszystko to, co do tej pory udało nam się zmienić w polskich sadach, do czego po trochu dołożyłem rękę. Tak było i w telewizji, kiedy zapytano mnie jaki to owoc uważam za najsmaczniejszy. Chyba powinienem odpowiedzieć — jabłko. A ja, zgodnie zresztą z prawdą, palnąłem: mango, chociaż niektórzy twierdzą, że śmierdzi terpentyną! No, ale teraz już poważnie. Dorobiliśmy się oryginalnej myśli i metody badawczej stosowanej praktycznie w polskim sadownictwie. To duża rzecz. No tak... Ale kiedy patrzę na młode twarze studentów przypominają mi się nie tylko czasy, kiedy to mnie profesor Malinowski kierował na sadownika, lecz także ci, z którymi wypadło zaczynać od odpowiedzi na to najważniejsze pytanie: Jeśli po waszemu miałbym tak zakładać sad, to od czego zacząć?

KRZYSZTOF POGORZELEC

ŁAMIGŁÓWKA ZA KIEROWNICĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

Opowieść druga — o łódzkim taksówkarzu, który na skrzyżowaniu ulicy Nawrot z ulicą Piotrkowską popadł w kolizję z samochodem milicyjnym. Obyło się bez wypadku, ale w odpowiedzi na interwencję milicjanta kierowca — taksówkarz poprosił tylko, aby interweniujący sprawdził, jaka zasada ruchu obowiązuje na tym skrzyżowaniu, kiedy wygaszone są światła. Milicjant sprawdził, przeprosił taksówkarza i stwierdził, że on już też nie orientuje się w tym, co dzieje się ze znakami drogowymi w mieście.

Tych opowieści było znacznie więcej, ale nie chcę nimi zanudzać Czytelnika i powiem tylko tyle, że to one spowodowały moje zainteresowanie ruchem drogowym w mieście. Choć raczej powinni byli zainteresować się tym moi koledzy po fachu, posiadający samochody.

szej i najatrakcyjniejszej swojej części wyłączona jest dla nas z ruchu. Zdziwił się, ale nie było na to rady. A pamiętam, że początkowo projektowano, że na całej długości Piotrkowskiej będą mogły bez przeszkód jeździć autobusy MPK i taksówki. Byłoby to z wygodą dla pasażerów.

— Bardzo często z centrum miasta jeżdżę na Dworzec Łódź — Kaliska — powiedział mi przypadkowo zapytany kierowca — **i jadę wtedy ulicą Andrzeja Struga. Jest to obecnie ulica, która powinna prowadzić prosto do dworca, ale ulica ta ma równorzędne skrzyżowania z innymi, na przykład z ulicą Lipową czy Zakątną — ulicami jednokierunkowymi — na których ruch jest mały, a dla jadących ulicą Andrzeja sprawia to tylko dodatkowy kłopot, zmusza do zwalniania jazdy. Moim zdaniem jest to rozwiązanie zupełnie poronione.**

Na temat równorzędnych skrzyżowań powiedziano mi znacznie więcej krytycznych uwag. Nie chciałabym cytować wszystkich wypowiedzi po kolei i dlatego pretensje kierowców sformułuję w pytaniu: **Jaki cel przyświecał autorom nowej organizacji ruchu drogowego w mieście, kiedy ustawiali znaki oznaczające równorzędność skrzyżowań między innymi przy ul. Juliana Tuwima, Andrzeja Struga, Nawrot, Sienkiewicza czy Wólczańskiej?** Kierowcy słusznie wskazywali — tak mi się przynajmniej wydaje — że równorzędne skrzyżowanie ulicy Wólczańskiej z ulicą Worcella jest właściwie formą złośliwą wobec kierowców. Natomiast równorzędne skrzyżowanie ulicy Wigury z ulicą Sienkiewicza komplikuje jazdę, gdyż na obu ulicach panuje znaczny ruch, co powoduje — jak na razie — małe korki.

Nim przejdę do następnego pytania, muszę oddać sprawiedliwość i stwierdzić lojalnie, że udało mi się spotkać taksówkarza, który z zachwytem mówił o nowej organizacji ruchu w śródmieściu i ulicach przyległych, dodając, że na ulicy Piotrkowskiej mniej jest teraz spalin. Wprawdzie przyznał, że dojazd do niektórych postojów w centrum miasta jest utrudniony, ale przecież zawsze trafi się na jakiś postój, gdzie ludzie czekają na taksówki.

Ludzie czekający na postojach mają w tej sprawie zdanie odmienne i byłoby czasem dobrze, gdyby autorzy nowej organizacji ruchu posłuchali sobie, czego im życzą potencjalni pasażerowie taksówek, czekając dziesiątkami minut na taksówkę, której opłaci się pokonać łamańce i dojechać na postój przy „Bałatonie", 22 Lipca, „Magdzie", czy na rogu ulicy Piotrkowskiej i Zamenhofa. Ale to w końcu sprawa tych ludzi, którzy chcą czekać na taksówkę, bo nikt im taksówkami jeździć nie każe, mogą wyjść kilka minut wcześniej i pojechać autobusem czy tramwajem. Tylko że ludzie jakoś uparli się korzystać z taksówek. Zupełnie nie wiem czemu?

Następne pytanie — nie tylko moje, ale i wielu rozmówców — dotyczy ciągów komunikacyjnych. **Dlaczego tworząc ciągi komunikacyjne z pierwszeństwem przejazdu na osi wschód — zachód** (na przykład: Źródłowa — Północna — Ogrodowa, — Rewolucji 1905 roku — Próchnika — 1 Maja. — Armii Czerwonej — Główna — Mickiewicza i inne **zlikwidowano ciągi komunikacyjne wzdłuż osi północ — południe?** Wprowadzenie skrzyżowań równorzędnych na ulicy Sienkiewicza utrudnia dojazd z południowych części miasta do Dworca Łódź — Fabryczna. Również równorzędne skrzyżowania — często z ulicami mało uczęszczanymi — na ulicy Wólczańskiej utrudniają dojazd do centrum miasta, gdzie znajduje się wiele instytucji nie tylko miejskich, ale o zasięgu ogólnopolskim.

Myślę, że starczy tych pytań. Czas na odpowiedzi. Chciałabym tu przypomnieć, co w czerwcu 1974 roku na temat powodów, dla których wprowadza się nową organizację ruchu drogowego w Łodzi pisał „Express Ilustrowany":

„Stale wzrastająca liczba pojazdów, a także względy bezpieczeństwa użytkowników dróg — miały decydujący wpływ na powstanie programu nowej organizacji ruchu w śródmieściu".

Program ten opracował **Wydział Komunikacji Urzędu Miasta Łodzi** w oparciu o materiały i propozycje dostarczone przez **Biuro Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi** oraz **MPK.** Specjaliści z **Biura Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi** przyjęli podział ulic na 3 grupy: ulice tranzytowe, ulice łączące poszczególne dzielnice miasta i ulice wewnętrzne dzielnic i dużych osiedli. W myśl tej zasady powinna powstać hierarchia ulic, podporządkowująca ulice o mniejszym znaczeniu ulicom o znaczeniu większym, a więc ulicom o większym nasileniu ruchu samochodowego. Wprowadzenie tej zasady w życie miało zwiększyć przelotowość poszczególnych tras.

Łódź posiada jednakże tylko dwie trasy jako tako zakończone. Pierwsza biegnie ulicami: Strykowską, Kopcińskiego, Promińskiego, Niższą, Broniewskiego do Rzgowskiej na Katowice albo Gagarina, Pabianicką na Wrocław. Druga — od Strykowskiej przez ulicę Wojska Polskiego, Limanowskiego, Aleksandrowską na Poznań. Trasy te poza funkcjami ruchu tranzytowego mogą też pełnić rolę tras łączących poszczególne części miasta. Pozostałe trasy — jak na przykład aleje Politechniki — Żeromskiego, Zgierska — Zachodnia — aleje Kościuszki, Letnia — Towarowa — są fragmentaryczne i tylko częściowo mogą spełniać rolę tras łączących poszczególne części miasta. Wszystkie one jednak — poza trasą na Poznań i fragmentem trasy tranzytowej Warszawa — Wrocław — **leżą na osi północ — południe.** Miasto nie ma zupełnie tras łączących wschód z zachodem. Aby takie trasy uzyskać Biuro Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi sugerowało uczynienie trasą przelotową, międzydzielnicową ciągu ulic Bratysławska, Karolewska, Towarowa, Andrzeja Struga, Juliana Tuwima do Kopcińskiego. Jednakże sugestia ta nie została przyjęta i obecnie ulica Andrzeja Struga jest jednokierunkowa, ze skrzyżowaniami równorzędnymi na odcinku do ulicy Gdańskiej, w kierunku ze wschodu na zachód i to akurat w tej części, gdzie nie ma tramwaju. Natomiast ulica Juliana Tuwima ma większość skrzyżowań równorzędnych i to nawet z takimi ulicami, które kończą się ślepo i po których samochody jeżdżą ze znikoma częstotliwością.

Z Retkini i z Dworca Łódź Kaliska jedzie się teraz ulicami Karolewską do ulicy Marii Curie-Skłodowskiej, która to ulica kończy się wylotem na ulicę Gdańską. Po Gdańskiej jeżdżą tramwaje, a skrzyżowanie to otrzymało — w myśl stosowanej powszechnie zasady — rangę skrzyżowania równorzędnego.

Ustanawiając skrzyżowania równorzędne zapomniano widać o obowiązującej i ujętej w kodeksie drogowym zasadzie ograniczonego zaufania, które powinno skłaniać kierowców do ostrożności na wszelkich skrzyżowaniach. Zapomniano również i o tym, że większość skrzyżowań w Łodzi posiada niestety ograniczoną widoczność. Skrzyżowania równorzędne zatem nie ułatwiają jazdy, a tylko znacznie ograniczają przelotowość wielu ulic, które powinny były otrzymać rangę łączących poszczególne części miasta.

W czerwcu 1974 roku „Express Ilustrowany" pisał, że program nowelizacji ruchu w Łodzi ma na celu **„wprowadzenie w pełni komunikatywnego sposobu znakowania ulic".** Praktyka — jak twierdzą kierowcy — dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. A czy wzrosło bezpieczeństwo? Jak świadczą dane udostępnione przez Wydział Komunikacji Urzędu Miasta Łodzi, a które powtarzam za „Dziennikiem Łódzkim", w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego, a więc licząc w tym roku od początku lipca, **ilość wypadków spadła jedynie na ulicy Piotrkowskiej — ze 173 do 69.** Nie ma się czemu dziwić bo i na ulicy Piotrkowskiej ruch minimalny. Można się raczej martwić, że mimo ograniczenia ruchu w jej znacznej części wypadki występują nadal. **Wzrosła ilość wypadków na ulicach:** Zachodniej i alejach Kościuszki (o 18), alejach Politechniki — Żeromskiego (o 28), Kopcińskiego — Promińskiego (o 21) i nieznacznie na ulicach Narutowicza i Zielonej. I to jest logiczne, bowiem ruch przelotowy z centrum skierowano na te trasy, a jak już powiedziałem — nie są one ani ukończone, ani też nie pełnią na całych długościach przypisanych im funkcji. Poza tym pamiętajmy, że lipiec i sierpień były to miesiące urlopowe, kiedy ruch samochodowy w mieście był znacznie ograniczony. Interesująca byłaby zatem ilość wypadków z ostatnich dwu miesięcy — września i października i porównanie z wypadkami z analogicznymi okresami roku ubiegłego.

Cóż zatem było naprawdę przyczyną reorganizacji ruchu drogowego w mieście? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Od lat wiadomo, że miasto posiada przestarzały i wadliwie skonstruowany układ komunikacyjny. Układ ten wymaga radykalnej przebudowy. I to nie cierpiącej zwłoki ingerencji budowlanych — drogowców. Dziś **w Łodzi przypada na tysiąc mieszkańców 35 samochodów.** W Warszawie — która ma znacznie lepiej zmodernizowany układ komunikacyjny — 70 samochodów na tysiąc mieszkańców. Łódź do tej wielkości może dojść niezwykle szybko. Prognozy sugerują, że **za 6 lat będziemy dysponowali w mieście... 150 samochodami na tysiąc mieszkańców.** Dla tych samochodów potrzeba będzie szerokich ulic i licznych miejsc parkowania. A tych też nam brakuje. Obecnie **dysponujemy w śródmieściu miasta 1 400 miejscami do parkowania. Jest to już dziś o 4 000 mniej niż potrzeba. A co będzie za 3, 4 lata, żeby nie zapytać co będzie za 6 lat?**

Tak więc zabawa w przestawianie znaków, zmiany skrzyżowań podporządkowanych na równorzędne oraz ulic dwukierunkowych na jednokierunkowe jest próbą wyjścia naprzeciw kłopotom, jakie niesie z sobą rozwój motoryzacji. Ale jest to próba dlatego nieudana, **że przestawianiem znaków nie zastąpi się inwestycji.** Jesteśmy na najlepszej drodze do zakorkowania miasta.

Rozumiem, że obok inwestycji drogowych niezbędne są pociągnięcia organizacyjne, ale — powtarzam — obok, a nie zamiast. Niestety łatwiej u nas w Łodzi o zmiany znaków niż o racjonalny program zmodernizowania układu komunikacyjnego, racjonalny nie tylko w założeniach, ale i w realizacji. Wszyscy wiemy doskonale, ile czasu trwają zwykłe remonty ulic. A cóż dopiero mówić o budowie nowych tras.

BOGDA MADEJ

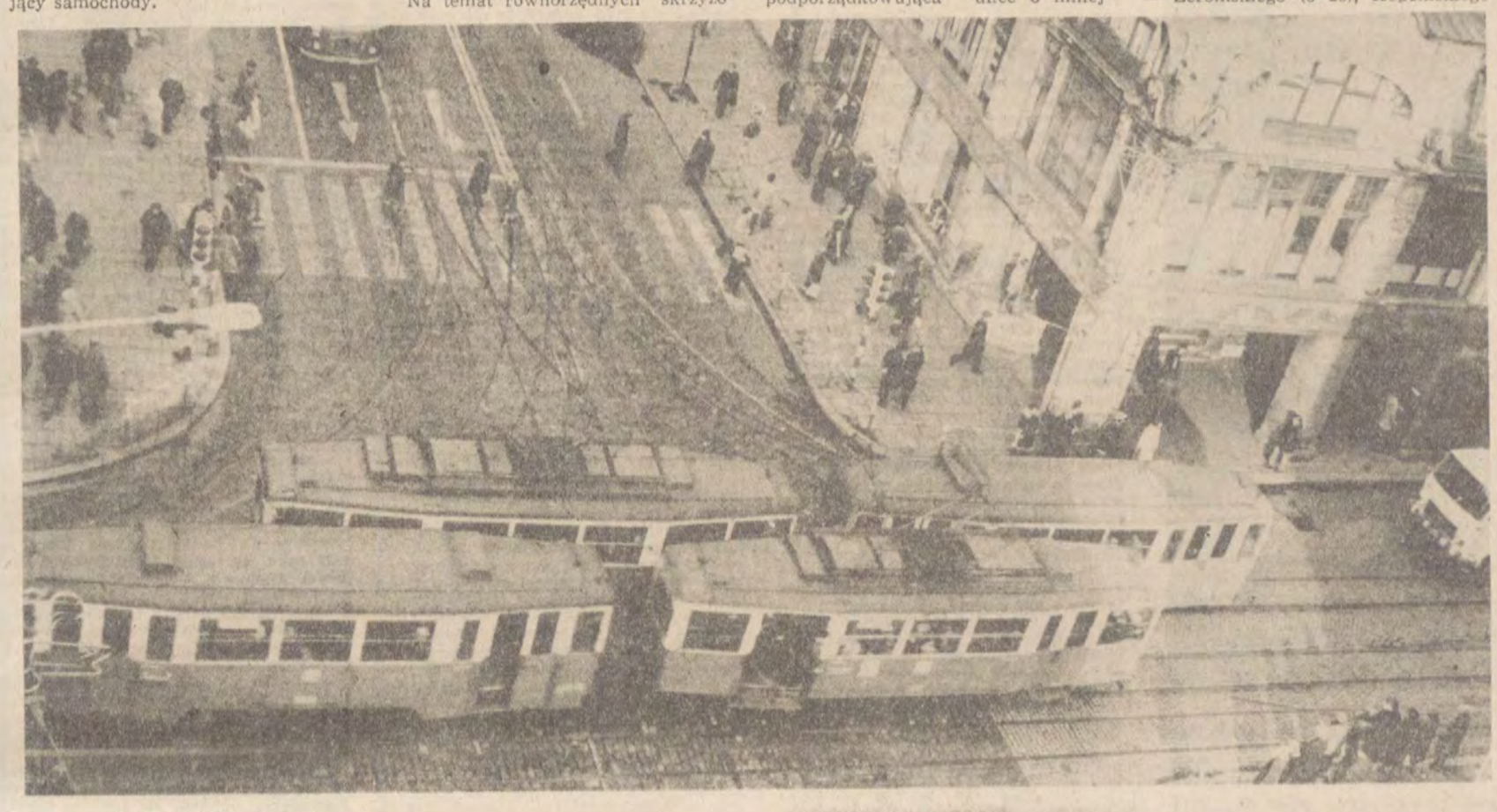

Fot: W. Parys

LISTY DO REDAKCJI

„BAJKAŁ — ZACZAROWANE JEZIORO"

Po przeczytaniu w Odgłosach nr 45 (884) reportażu Jerzego Wilmańskiego pt. „Bajkał — zaczarowane jezioro", dowiedziałem się, że istnieją „niklowe pięciozłotówki". (Wyciągam z kieszeni niklową pięciozłotówkę i odwróciwszy się rzucam w wodę).

Ponieważ amatorsko zajmuję się numizmatyką, chętnie nawiążę wymianę z redaktorem Jerzym Wilmańskim i za jedną „niklową pięciozłotówkę" dawałbym trzy pięciozłotówki ze stopu aluminium.

Z poważaniem
Stały Czytelnik Odgłosów
WACŁAW WRÓBLEWSKI
ul. Grunwaldzka 41 b 91-337 Łódź

Pan Wacław Wróblewski ma niewątpliwie rację. Żeby więc go usatysfakcjonować, zmieniam na Jego użytek brzmienie zdania w reportażu Jerzego Wilmańskiego. Otrzymuje ono: „Wyciągam z kieszeni pięciozłotówkę ze stopu aluminium i odwróciwszy się, rzucam w wodę". W porządku?

JERZY WILMAŃSKI

1 GRUDNIA BEZ PAPIEROSA

W imieniu Społecznego Komitetu Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc — Zarządu Wojewódzkiego w Łodzi, ul. Wólczańska 114, zwracam się z uprzejmą prośbą o wydrukowanie we wszystkich wydaniach poczytnego pisma „Odgłosy" listu otwartego dotyczącego zwalczania palenia tytoniu.

Szkodliwość palenia tytoniu obecnie jest bezspornie stwierdzona. Wiele jednostek chorobowych narządu oddechowego jest ściśle zależna od palenia tytoniu.

Sądzę, że redakcja doceniając doniosłość problemu ustosunkuje się pozytywnie do naszej prośby.—

Doc. dr med. M. CZKWIANIANC

LIST OTWARTY

Społeczny Komitet Zwalczania Palenia Tytoniu wspólnie ze Społecznym Komitetem Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc — **ogłasza dzień 1 grudnia „Dniem bez papierosa".**

W dniu tym inaugurującym Dni Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc oba Komitety proponują wszystkim osobom palącym powstrzymanie się od palenia. Ruch zwalczania palenia tytoniu posiada obecnie bezsporne argumenty natury medycznej i ekonomicznej, opinie ekspertów powołanych przez Światową Organizację Zdrowia, wyniki światowych i europejskich kongresów na temat palenia i zdrowia w Bad Homburg i Londynie, wreszcie — ustawy parlamentów różnych krajów świata, zmierzające do ograniczenia palenia tytoniu, potwierdzające oficjalnie jego szkodliwość, chroniące młodzież przed wciąganiem się w nałóg palenia itp.

Proponujemy, by w dniu 1 grudnia palacze podjęli pierwszą próbę zwalczenia nawyku palenia, by porównali pozorne korzyści wypływające z palenia z oczywistymi ujemnymi jego skutkami, by z myślą o satysfakcji i osobistych korzyściach płynących z porzucenia palenia powiększyli szereg ludzi zdrowych, wolnych od szkodliwych dla zdrowia przyzwyczajeń, traktujących palenie papierosów nie tylko jako szkodliwy nałóg, ale i niemodny nawyk nie licujący z sylwetką wolnego, nowoczesnego człowieka.

Dzień 1 grudnia ogłaszamy dniem wzajemnej uprzejmości, dniem bez konfliktów między palaczami i niepalącymi w jednym pokoju biurowym, we wspólnej poczekalni, w miejscach rozrywki i wypoczynku.

W tym jednym dniu przekonajmy się, jak przyjemnie może być w naszych kawiarniach, restauracjach, poczekalniach wolnych od dymu tytoniowego.

W dniu 1 grudnia apelujemy szczególnie do lekarzy, pielęgniarek do nauczycieli, wychowawców i instruktorów ZHP, do redaktorów Polskiego Radia i Telewizji, by w myśl zasady „najlepszą radą jest dobry przykład", zachęcili własną postawą młodzież do niepalenia tytoniu. Apelujemy do dyrekcji, rad zakładowych, komórek bhp o zapewnienie szczególnie w tym dniu dobrych warunków pracy bez dymu z papierosów.

Spodziewamy się, że grudniowy dzień bez papierosa przyjmie się i będzie powtarzany w latach następnych, przynosząc zmniejszenie się liczby palących oraz stały postęp w normowaniu sytuacji palenia tytoniu w Polsce.

SĄD ZAŁATWIŁ SPRAWĘ „WROGA POWIATOWEGO NR 1"

Ze szczerą satysfakcją donoszę, że mgr Mieczysław Rykała, wieloletni bohater naszej prasy tygodniowej, o którym m. in. i „Odgłosy" swego czasu pisały, („Wróg powiatowy nr 1") pomyślnie zakończył swe zmagania z własnym pracodawcą. Wyrokiem Sądu Powiatowego w Łęczycy z 4. X. 74 r. przywrócono mu prawo powrotu do pracy w Zakładzie Doświadczalnym UNG w Błoniu — Topoli Królewskiej na poprzednie stanowisko zootechnika. Ponadto Zakład Doświadczalny zobowiązany został do wypłaty odszkodowania w wysokości 40.000 zł za czas, kiedy Mieczysław Rykała pozostawał bez pracy oraz do zwrotu wszelkich kosztów poniesionych przez niego w związku z prowadzeniem tego długoletniego procesu.

Szczęśliwie więc zakończyła się odyseja zootechnika, zatriumfowała sprawiedliwość, która zawsze raduje serca ludzi prawych, a jednak nadchodzi mnie jedna niewesoła refleksja. Otóż sprawę M. Rykały badało szereg przeróżnych komisji, lecz wyniki były za każdym razem mizerne. W świetle tej historii „komisyjne" działanie okazuje się dość bezskuteczne. Jednak co Sąd, to Sąd.

KAROL BADZIAK

XXV LAT TEATRU NOWEGO

„POKOLENIE – rocznik 20”

„W roku 1949 Kazimierz Dejmek — pisał w dziesięć lat później ówczesny minister kultury i sztuki, Włodzimierz Sokorski — nie miał jeszcze zbyt wielu zwolenników. Leon Schiller, to chyba wszystko. Powierzyć w tej sytuacji teatr grupie młodych zapaleńców nie było prostą decyzją. Co zadecydowało o naszym postanowieniu? Pierwsze spotkanie. Tej młodzieży, na czele której stali wówczas Kazimierz Dejmek i Janusz Warmiński, naprawdę chodziło o teatr. O teatr nowej prawdy. Była to naprawdę decyzja nie typu administracyjnego. Może dlatego zdała egzamin”.

Młodzi nieznani zapaleńcy powiedzieli wówczas po prostu „Chcemy naszej rzeczywistości politycznej służyć i być jej współtwórcami”. Takie było

„Łaźnia” Wł. Majakowskiego — Jan Kłosiński

Foto: Archiwum

O tym pokoleniu pisał Roman Bratny, pisał Bohdan Czeszko. O tym pokoleniu pisali ci, którzy sami je tworzyli. Pisali o swoich zmaganiach, walce i przelanej krwi.

W roku 1964, w piętnastolecie powstania Teatru Nowego, ukazała się monografia Marii Czanerle pt. „Teatr Pokolenia”. Przyszedł, bowiem, czas, kiedy bohaterowie „Kolumbów” i „Pokolenia” zasiedli w ławkach akademickich, stanęli przy warsztatach pracy. Wielu z nich przyszło do Leona Schillera, aby „nauczyć się teatru” i żeby po latach powiedzieć jak E.F. Burian: „Dla naszej rzeczywistości nie wystarczyłoby Szekspira”. I tak narodził się Teatr Nowy.

„Hołdujemy zasadzie — widz, to repertuar. Dlatego też repertuar nasz będzie współczesny. Grać będziemy sztuki polskie, radzieckie i krajów demokracji ludowej. Na otwarcie wystawimy sztukę czeskiego autora Waszka Kani „Brygada szlifierza Karhana”. A potem był „Makar Dubrawa” Aleksandra Korniejczuka, „Bohaterowie dnia powszedniego” Ewy Mandil, „Zwycięstwo” Janusza Warmińskiego, „Poemat pedagogiczny” Antoniego Makarenki itd. Młody zespół podbił tę publiczność, która żałowała teatru Axera „o ambitnym i awangardowym repertuarze”, która obawiała się, czy nowy teatr „odziedziczy po Kameralnym nie tylko gmach, ale i jego ambicje”. Podbił tę publiczność swoim „nie”.

„Zaczęliśmy mówić niezgrabnie — pisał po latach Kazimierz Dejmek — nieskładnie rzeczy nowe i ważne — nie spotykane dotąd w teatrze polskim, szokujące nasz teatralny światek i część publiczności teatru. Na afiszach „Brygady szlifierza Karhana” pojawiły się ulotki: „Precz ze sługusami Stalina”. Poczta dostarczyła parę niewybrednych anonimów. Ale w powietrzu wisiał entuzjazm. Wyobraźnia narodu została rozpalona odbudową kraju i perspektywami planu 3-letniego. Utrzymywaliśmy ożywiony kontakt z robotnikami paru zakładów. — Jakiś student napisał w książce uwag: „Jestem reakcjonistą, ale przekonaliście mnie”.

„Przekonaliście mnie”. Czym? Bogactwem filozoficznej myśli „Brygady szlifierza Karhana”, prawdą przeżycia czy doskonałym, żarliwym aktorstwem? Aktorstwem, które personifikowało wielkie prawdy zamknięte w karłowatej sztuce Waszka Kani. I odtąd Teatr Nowy stał się teatrem aktora i reżysera-autokraty. I kiedy patrzymy z perspektywy dwudziestu pięciu lat na repertuar Teatru Nowego, to z całą wyrazistością narzuca się określona prawidłowość: połączenie osiągnięć reżysersko-inscenizatorskich z osiągnięciami aktorskimi, idei „teatru walczącego” i „monumentalnego” Leona Schillera z systemem K. Stanisławskiego, na którego zespół Teatru Nowego będzie się powoływał i wnikliwie studiował. Potwierdzają to spektakle, a zwłaszcza dejmkowska inscenizacja „Łaźni” Włodzimierza Majakowskiego. „...to, co najsilniej uderzyło w łódzkim przedstawieniu — pisał Stefan Treugutt — to żywiołowa, pełna wściekłej dynamiki aktualność. Polityczna, obyczajowa, literacka, praktyczna i teoretyczna”. A przypomnijmy, kiedy to było. Rok 1954, okres tuż po II Zjeździe Partii, który postawił wyraźnie sprawę ostrości krytyki i odważnego stawiania problemów. Nawoływano artystów do „śmiałego eksperymentowania”, do „szukania takich form przekazywania idei, które by mocniej chwytały za serce”.

„Łaźnia” spełniała wszystkie te postulaty. W. Majakowski powiedział kiedyś: „Trzeba pisać nie tylko o rewolucji, ale dla rewolucji”. Można to wypowiedź potraktować ogólnie, w odniesieniu także i do twórczości teatralnej. Uzyskamy wtedy odpowiedź na pytanie czym był wówczas teatr Dejmka dla sceny polskiej, jakie miejsce wywalczył sobie w typografii teatralnej Polski.

Stylistyka tego spektaklu przepojona była patosem, jeszcze może daleka od schillerowskiego „teatru walczącego”, ale ideą bliska mu i znacząca. W tej konwencji doskonale obsadzeni byli aktorzy. Janusz Kłosiński, Edward Wichura i Wojciech Pilarski. Janusz Kłosiński i Edward Wichura poszli w kierunku przejaskrawienia, wyrazistości niemal groteskowej, podczas gdy Wojciech Pilarski w roli Majakowskiego operował patosem i przerysowaniem w kierunku realizmu kreacyjnego. „Trzy osiągnięcia aktorskie” — pisał Jaszcz, a o inscenizacji „huk poszedł po Rzeczypospolitej” — obwieszczał Stefan Treugutt.

I przyszedł czas „Don Juana”, który należy już do innej epoki. „Wszystko, co było w repertuarze teatru do tej pory — pisała w „Teatrze pokolenia” Maria Czanerle — mieściło się w jednolitym obrazie świata (...). „Don Juan” niezmiernie skomplikował ów obraz (...). „Łaźnia” była odkryciem obłudy i zakłamania u tych, którzy do tej pory uchodzili za świętych. „Don Juan” jest ilustracją społecznej filozofii tego zjawiska, próbą wytłumaczenia, skąd się bierze obłuda i obłudnicy i dlaczego pozostają oni bezkarni. Podział racji etycznych między możnym panem, obłudnikiem z racji swojej społecznej sytuacji, a sługą, który z tej samej racji powinien być nosicielem rozsądku i sprawiedliwości — został tu także solidnie zachwiany. Jasny do tej pory porządek świata zaczęły powoli przesłaniać ciemności”. „Don Juan” w inscenizacji Bohdana Korzeniewskiego jest pierwszym świadectwem zainteresowania Kazimierza Dejmka teatrem intelektualnym czy filozoficznym. Z tego nurtu wylania się realizacja „Nocy listopadowej”, „Święta Winkelrida”, „Miarki za miarkę” czy „Ciemności kryją ziemię”. Ewidentna staje się droga twórcza Kazimierza Dejmka jako kontynuatora tradycji schillerowskiej, tradycji „teatru walczącego”. Przełom ten dokonał się w dziejowej chwili, w epoce XX Zjazdu i polskiego października. „Aluzja stała się głównym sprzymierzeńcem współczesności”. Równorzędnym atutem tych spektakli staje się zespół aktorski. Gustaw Lutkiewicz w „Don Juanie” konsekwentnie modeluje postać z uwzględnieniem przede wszystkim przewrotności moralnej, podkreślając obłudę poprzez zimny cynizm i wyrachowanie. W „Święcie Winkelrida” Bogdan Baer „dał sylwetkę uderzającą chciałoby się powiedzieć tragiczną, w topornych, przyciężkich ruchach, w jakimś fizycznym niemal smutku. Andrzej Szalawski rozegrał scenę swej rozmowy z Konradem znakomitą groteską, jego stosunek władcy do człowieka rysowany tak lekko, był zamaszysty i szeroki”. O aktorach grających w spektaklu „Ciemności kryją ziemię” Jerzego Andrzejewskiego Edward Csato pisał:

„Seweryn Butrym w roli Torquemady był nieruchomy, ciężki, z pewnym trudem dobierający słów, dominowało w tej roli jakieś skamienienie, odwrócenie się od świata, zapatrzenie w siebie, w swój ustawicznie toczący się monolog wewnętrzny, widoczny z oczu bardziej niż z mowy. Brat Diego (Michał Pawlicki) kontrastował z Torquemadą bardzo silnie swoją nieopanowaną histeryczną gwałtownością: o ile fanatyzm Wielkiego Inkwizytora wydał się już zastygły w życiowych praktykach, fanatyzm tego młodzieńca, dopiero wstępującego po szczeblach okrutnych wtajemniczeń, cały jeszcze znajdował się w stanie wrzenia, by dopiero pod koniec akcji zmienić się w gorączkę wewnętrzną”.

W nowatorskiej próbie, jaką były „Ciemności kryją ziemię” (pisze o tym w cytowanym artykule Edward Csato — „Teatr i Film” 1957) obok swojej głęboko aktualnej treściowo wymowy, znaleźć można nurt, który odtąd będzie dominował w teatrze Kazimierza Dejmka, nurt „teatru monumentalnego”, a zwłaszcza atmosferę staropolskiego i średniowiecznego teatru. Tę pierwszą cechę ilustruje także „Nieboska komedia” Zygmunta Krasińskiego. „Inscenizacja Bohdana Korzeniewskiego — pisała wówczas Stefania Skwarczyńska — włączyła się doprawdy twórczo w dzisiejszą walkę o człowieka. Apeluje dobitnie do jego rozeznania wartości, do jego sumienia i do jego woli”. I tu także w sposób znaczący współtworzyli spektakl aktorzy: Mieczysław Voit, Wojciech Pilarski, Michał Pawlicki i wielu innych. „Szczęśliwy jestem — powiedział wówczas Bohdan Korzeniewski — że wystawiam „Nieboską” w teatrze zespołowym. Tylko taki bowiem zespół dźwignie obowiązki, zmuszające niektórych aktorów do grania czterech, pięciu, a nawet sześciu ról. Wiele z tych ról jest tekstowo nikłych, a jednak wybitni nawet aktorzy Teatru Nowego podjęli się ich dla dobra całości spektaklu”.

Tuż po „Ciemnościach” utrzymanych w średniowiecznej, mrocznej atmosferze wkroczył Kazimierz Dejmek w jasny świat renesansu. „Żywot Józefa” Mikołaja Reja był nie tylko zmianą tonacji, woltą intelektualną, ale nową sferą zainteresowań twórczych inscenizatora i Teatru. Te swoje zinteresowania kontynuował później misterium Mikołaja z Wilkowiecka, nawiązując jednocześnie do Leona Schillera, który w 1923 roku na scenie REDUTY inscenizował „Historyję o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”. Ale te dwie propozycje, tak odległe w czasie, posiadają i cechy wspólne, i zasadniczo różniące. Cechą wspólną jest pasja poszukiwawcza, różniącą postawy światopoglądowe. Jedno jest pewne, że zarówno Schiller, jak i Dejmek wskazali dotąd zapoznane kręgi polskiego dramatu i uświadomili wielkie bogactwo teatralne tych „zabytków”.

Dwudziestopięciolecie Teatru Nowego, to nie tylko dwunastolecie dyrektury Kazimierza Dejmka, ale tak się dzisiaj złożyło, że Kazimierz Dejmek powraca do swego teatru, powroty zawsze są trudne bowiem to, co dla wielu jest już historią, dla „pokolenia — rocznik 20” jest nadal pełnią życia.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

FILM OŚWIATOWY

W poszukiwaniu źródeł

Film oświatowy zwykł się nam kojarzyć z filmową rejestracją faktów o wartościach poznawczych, rejestracją zakładającą wykorzystanie filmowego inwentarza jedynie jako przekaźnika treści naukowych lub innych — służących poznaniu. Przekazywanie informacji za pośrednictwem filmu powoduje konieczność posługiwania się specyficznymi kryteriami przy doborze materiału i jego przetwarzaniu. Jednakże największą zaletą filmu wydaje się być wyzyskanie możliwości powodujących odbiór emocjonalny, angażujący widza w przedstawiane mu zjawiska i problemy. A efekt taki jest przecież niemożliwy bez autentycznego zaangażowania twórcy, które jest warunkiem każdego ambitnego przedsięwzięcia. I to właśnie zaangażowanie, prawdziwe zainteresowanie twórcy podjętym tematem, możemy odczytać z nowych filmów krótkometrażowych **LESZKA SKRZYDŁO**, składających się na serię **„Biblia”**, a zrealizowanych w łódzkiej **Wytwórni Filmów Oświatowych.**

Tematyką jego filmów jest religioznawstwo. Nie jest to sprawa łatwa. Skalę trudności może wyjaśnia aforyzm świetnego pisarza austriackiego, Alberta Gütersloha:

„Wieś wydaje człowieka na pastwę głupoty religijności, miasto — na pastwę głupoty ateizmu”.

Instynktowne wyczucie prawd religijnych bądź też równie instynktowna, bezproblemowa ich negacja — to jedno. Zaś wydobycie ich przy pomocy ładunku teoretycznej refleksji — to drugie. Właśnie przyjmując tę drugą postawę ujmujemy siebie samych na tle ciągłości pewnych wierzeń i mitów w sposób prawidłowy.

Filmy Leszka Skrzydło — **„Co to jest Biblia?”, Interpretacje opowieści biblijnych”, „To też jest Biblia”** i **„Rękopisy znad Morza Martwego”** mogą stanowić skuteczny punkt wyjścia do szerszych analiz i refleksji nad problemami, które przecież przyjmujemy często zbyt powierzchownie i z nie usprawiedliwioną oczywistością.

Skoncentrowanie się autora na jednej problematyce owocuje tu wszakże znacznie większą przenikliwością i głębią rezultatów, niż zachłanne, eklektyczne podejmowanie różnorakich tematyk bez należytego ich sproblematyzowania. Charakterystyczne właśnie dla postawy twórcy wspomniane zaangażowanie można zaobserwować już choćby z samego faktu pewnej monograficzności zamysłu twórczego. Zrealizowane zostały wymienione cztery filmy, kolejnym ogniwem cyklu będzie piąty, który znajduje się jeszcze w fazie realizacji.

Przedkładając nam pod rozwagę religijne archetypy ludzkości, reżyser musiał się zdać na intelektualne opanowanie i naukową rzetelność. Próby jakiejkolwiek apodyktyczności w obliczu mnóstwa nawarstwień emocjonalnych narosłych wokół tej problematyki, nie dałyby pożądanego rezultatu. Najbardziej taki właśnie stosunek twórcy do tematu widoczny jest w drugim z filmów — **„Interpretacje opowieści biblijnych”**, gdzie z obiektywizmem przedstawiane są zarówno interpretacje pozostające w zgodzie z ujmowanym poprzez wieki punktem widzenia Kościoła na Biblię, jak i wyjaśnienia opisywanych zjawisk — mitów etiologicznych — przez racjonalizm nauki. Zwłaszcza próby sięgnięcia do źródeł kultury są z naukowego punktu widzenia szczególnie intrygujące. Okazuje się bowiem, że Biblia, uchodząca za dzieło natchnione, objawia nam swoją genezę na gruncie jeszcze starszych wątków kulturowych — mitów sumeryjskich, pochodzących z kultury sumeryjskiej, która — jak dotąd — jest najstarszą, jaką udało się odkryć.

Problem przedstawiony w omawianych filmach nie jest czymś nowym, tak, jak nienowe jest szeroko rozumiane nim zainteresowanie. Wystarczy, bez odwoływania się do osiągnięć religioznawstwa dziewiętnastowiecznego i ich społecznych oddźwięków, przypomnieć fakt wielkiej popularności wśród czytelników książki, która w znakomity sposób przybliżała i popularyzowała problemy Biblii, a mianowicie **„Opowieści biblijnych” Zenona Kosidowskiego.** Jednakże sięgnięcie do tej tematyki przez film oświatowy wydaje się być o tyle trafne, co i symptomatyczne. Przewaga środków audiowizualnych nad innymi sposobami przekazu została tu trafnie wykorzystana i sukces, jaki niewątpliwie będzie udziałem tych filmów, ma okazję jeszcze raz podkreślić, jak wiele tematów i problemów może być dzięki nim spopularyzowanych i włączonych w nurt ogólnej edukacji.

Człowiek współczesny autonomizując bowiem wytwory będące udziałem wysokiej i coraz bardziej zawyżającej swe loty techniki, odcina się zarazem od swych korzeni, które zakotwiczały go w mnogości relacji wypracowanych w toku wielowiekowego rozwoju kultury. A przecież nie ma innej drogi urzeczywistnienia swej egzystencji, jak tylko przez podłączenie jej do szeroko rozumianych ciągów rozwojowych, które nadając jej perspektywę, wyprowadzają poza własną skończoność biologiczną. Historia, także historia wzorów kultury, stawia nas w obliczu konieczności przeżycia jej, jest wielokierunkowym przedłużeniem nas samych.

W podtekście filmów Leszka Skrzydło tkwi intencja skierowania ich do współczesnego człowieka, dla którego wartością nadrzędną pozostaje **historia.** Filmy Leszka Skrzydło nie narzucają nam rezygnacji z niej, lecz tylko pokazują, w jaki sposób uwzględnić ona może kanony bieguno wo przeciwstawnego myślenia. To jeszcze jeden powód, dla którego obiektywizm naukowy jest najbardziej użyteczną metodą realizacji omawianych filmów. Takie właśnie objawianie wartości kultury ma dla nas sens istotny w momencie, gdy odkrywamy fakt o znaczeniu podstawowym — że właśnie te wartości były dla nas przysłonięte dotąd mgłą niepamięci, że były nie uświadamiane.

„Wiemy przecież — pisze Zenon Kosidowski — **że kultura i cywilizacja nie umierają bezpotomnie, że najcenniejsze owoce swojego dorobku przekazują zawiłymi nieraz drogami młodszym kulturom”.**

I dalej:

„Kultury i narody w wiecznym strumieniu przemijania rozkwitają i ulegają zagładzie, ale ich doświadczenia żyją i wzbogacają się w następnych pokoleniach, współdziałają w tworzeniu nowych dojrzalszych kultur”.

Nie można nigdy zapominać o tak oczywistym w gruncie rzeczy, ale jakże słusznym twierdzeniu, jak to, że poznanie przeszłości umożliwia lepsze, głębsze pojmowanie teraźniejszości.

Uwagi, które poczyniliśmy powyżej, wydawać się mogą zbytnim rozszerzeniem perspektywy spojrzenia na omawiany temat. Jednakże filmy, a przede wszystkim problem, jaki przedstawiają, do takich refleksji pobudza. I chyba to właśnie pobudzenie do szerszych rozważań, do przemyśleń traktujących te filmy jako punkt wyjścia, a zarazem jako pierwsze źródło informacji — wydaje się być największą ich zaletą i wartością. Nie roszczą sobie one prawa do zupełności w sygnalizowanych kwestiach. Przeznaczone do szerokiego odbioru, jakkolwiek opatrzone naukową interpretacją, nie podają wszystkich prawd, jakie oferuje wiedza. Jeżeli jednak przez obejrzenie tych filmów widz sprowokowany zostanie do poszukiwania dalszych wiadomości o tym jednym z najwybitniejszych osiągnięć światowej, ogólnoludzkiej literatury, a zarazem jednym z najbardziej ważkich wytworów kultury, która kształtowała przez tysiąclecie kulturę nam współczesną — będzie to ich największym sukcesem. Bowiem wartości poznawcze nie mają chyba w filmie oświatowym stanowić wyłącznie celu samego w sobie. Już choćby jego znaczna ograniczoność czasowa wymaga silnego syntetyzowania przekazywanej wiedzy. O wiele cenniejsze jest, gdy film ten postawi sobie za zadanie — a stało się tak w przypadku serii „Biblia” — także zwiększenie wrażliwości widza na problemy, które w atrakcyjny, „filmowy” sposób przedstawia.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI
ANDRZEJ ZALEWSKI

U PRZYJACIÓŁ

* * *

Sergiusz Gierasimow debiutował 50 lat temu jako aktor, jednak główną domeną jego twórczości stała się reżyseria. Już od pierwszych swoich filmów interesuje się problematyką współczesną i został jej wierny po dzień dzisiejszy. Filmy Gierasimowa, który jest także zasłużonym działaczem Związku Filmowców Radzieckich i delegatem do Rady Najwyższej ZSRR, związane są z określonymi etapami i osiągnięciami w życiu narodów Kraju Rad. I tak „Cichy Don" wg Szołochowa opiewa okres walki o utrwalanie władzy radzieckiej, „Siedmiu śmiałych" zdobywanie Arktyki, „Komsomolsk" wznoszenie nowych miast na Dalekim Wschodzie i Północy, „Młoda gwardia" walkę z hitlerowskim najeźdźcą w latach II wojny światowej.

Obecnie Gierasimow pracuje nad swoim pierwszym filmem historycznym, którego bohaterem jest Piotr I. Scenariusz filmu opracowano na motywach znanego dzieła Aleksego Tołstoja. W filmie wystąpią byli uczniowie reżysera z Moskiewskiego Instytutu Kinematografii. (Przypomnijmy przy okazji, że wśród wychowanków Sergiusza Gierasimowa znajdują się tak wybitni twórcy radzieckiego kina jak Bondarczuk, Kulidżanow, Tichonow i inni.).

* * *

Jak co roku w przeddzień święta Rewolucji Październikowej zostały przyznane nagrody państwowe wybitnym artystom radzieckim w dziedzinie literatury, sztuki i architektury. Laureatami w roku 1974 zostali: MICHAŁ AŁPATOW — wybitny historyk sztuki, MARIA BIESZU — śpiewaczka z Mołdawii, OLEG JEFREMOW — główny reżyser Moskiewskiego Teatru Artystycznego. W dziedzinie literatury nagrody otrzymali: białoruski prozaik WASIL BYKOW za utwory „Obelisk" i „Doczekać do świtu", pisarz kazachski ABDIŻAMI NURPEISOW za trylogię „Krew i pot", poeci LEONID MARTYNOW i KAJSYN KULIJEW. W dziedzinie krytyki literackiej laureatem został filolog BORYS REIZOW, wybitny znawca twórczości Balzaka i Flauberta. Nagrody zespołowe przyznano grupie filmowców z reżyserem ILIA FREZEM za filmy dla dzieci, architektom z Leningradu za realizację portu lotniczego Pułkowo, zespołowi Kazachskiego Teatru Dramatycznego. Ponadto indywidualne nagrody otrzymali: MIKOŁAJ IGNATOW — malarz z Gruzji i VELLO TORMIS — kompozytor z Estonii oraz autor wielu filmów dokumentalno-publicystycznych ALEKSANDER MIEDWIEDKIN.

* * *

W Muzeum im. W. Majakowskiego zakończył się cykl sympozjów i wieczorów literackich z okazji 50 rocznicy powstania poematu „Włodzimierz Iljicz Lenin". Od półwiecza poemat o Leninie znajduje się w repertuarze najwybitniejszych aktorów radzieckich oraz w programach zespołów amatorskich. Ten sztandarowy utwór literatury radzieckiej miał do tej pory w ZSRR 125 wydania o łącznym nakładzie ponad 4 miliony egzemplarzy: za granicą przetłumaczony został na 28 języków.

Poemat Majakowskiego miał także znaczny wpływ na inne gatunki sztuki, był inspiracją dla kompozytorów (np. symfonia „Lenin" Wissariona Szebalina) a także artystów plastyków (drzeworyty W. Noskowa, ilustracje książkowe D. Bisti, grafiki J. Kibrika).

* * *

Nakładem kijowskiego wydawnictwa „Dnipro" ukaże się po raz pierwszy przetłumaczona na język ukraiński „Iliada" Homera. Przekładu dokonał Mykoła Chomyczewskij, znany pod pseudonimem Borys Ten, który przed laty również opublikował ukraiński przekład „Odysei". Borys Ten jest także zasłużonym tłumaczem literatury polskiej, przełożył wiele utworów Jerzego Żuławskiego (m. in. dramat „Ijola") „Sonety krymskie" i inne dzieła Mickiewicza oraz „Balladynę" i „Lilię Wenedę" Słowackiego.

* * *

W rumuńskich księgarniach ukazała się 157 pozycja przetłumaczona z języka polskiego na rumuński od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Jest to powieść Marii Kuncewiczowej „Cudzoziemka" w tłumaczeniu Olgi Zalcik. W bieżącym roku ukazało się w Rumunii dziewięć przekładów. Największym powodzeniem cieszyła się wydana przed miesiącem „Sława i chwała" Jarosława Iwaszkiewicza, w tłumaczeniu Telemaca Dana, której 40-tys. nakład po tygodniu został wyczerpany. Do tej pory w Rumunii najpoczytniejszym pisarzem jest Henryk Sienkiewicz z rekordowymi nakładami „Quo vadis" i Prus z najpopularniejszym „Faraonem". W planach tłumaczy znajdują się m. in. dalsze utwory Sienkiewicza i proza Brunona Schultza.

JAPOŃCZYCY PRZESTALI WIERZYĆ W SWOICH PROROKÓW

Japońskie biuro planowania ekonomicznego, badające tendencje aktywności handlowej oraz ceny, stwierdziło ostatnio, że wzrosły zapasy towarów, w wyniku czego zmniejszyły się możliwości wykorzystania mocy produkcyjnych. Fakty te wskazują, głosi m.in. komunikat wspomnianego biura, iż spadek ekonomiczny, zapoczątkowany w pierwszym kwartale tego roku, pogłębia się. Ponad 20-procentowy wzrost cen konsumpcyjnych uderzył przede wszystkim w budżety rodzinne.

Japońscy eksperci wyrażają pogląd, że ekonomiczny i polityczny kryzys od dawna toczy podstawy systemu działającego w Japonii już od 30 lat i że kryzys energetyczny proces ten tylko przyśpieszył. W 1973 roku ceny wzrosły, ogólnie, o 34 proc., koszty utrzymania o 20 proc., ceny mieszkań o 38 proc., co przekreśla nadzieje 10 milionów Japończyków na poprawę warunków mieszkaniowych. Inflacja, ciężkie następstwa zanieczyszczenia środowiska, brak kontroli nad zabudową miast, trudności komunikacyjne osiągnęły w Japonii nie spotykane rozmiary. Wstrząsy ekonomiczne, najsilniejsze od chwili zakończenia II wojny światowej, wzbudziły w Japonii ogólne niezadowolenie i spowodowały wyjątkowo ostrą konfrontację sił politycznych. Podczas wyborów do izby wyższej parlamentu, w dniu 7 lipca tego roku, Partia Liberalno-Demokratyczna, znajdująca się u władzy nieprzerwanie od dwudziestu kilku lat, straciła znaczną ilość mandatów i obecnie dysponuje w izbie większością zaledwie 18 miejsc.

Zaraz po wojnie szeroko rozprzestrzeniły się w Japonii idee socjalistyczne. Zdaniem Japończyków, partie lewicowe były zdolne do rozwiązania problemów kraju, jednakże wskutek „czystek czerwonych" przeprowadzonych wkrótce przez Mac Arthura, partie lewicowe: Komunistyczna Partia Japonii i Japońska Partia Socjalistyczna — znalazły się w trudnej sytuacji. Potrzebowały lat, by „powrócić do sytuacji wyjściowej". Potężne wystąpienia przeciwko japońsko-amerykańskiemu „układowi o bezpieczeństwie" w 1960 roku były ukoronowaniem sukcesu Japońskiej Partii Socjalistycznej, która dysponowała w tym czasie 145 miejscami w izbie niższej. W konsekwencji narastających protestów, w lipcu tegoż roku, musiał ustąpić rząd utworzony przez Partię Liberalno-Demokratyczną.

Jednakże na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat Japończycy głosowali na liberalnych demokratów, wiążąc z nimi nadzieję na polepszenie warunków życiowych. Głosowali na nich także i dlatego, że Partia Liberalno-Demokratyczna wysunęła pewne propozycje, a opozycja nie umiała wyjść z konstruktywnym programem. Partia socjalistyczna wciąż występowała w roli „wiecznego opozycjonisty", ale w rzeczywistości nigdy nie działała jako partia ukierunkowana na pozyskanie większości. Natomiast liberalni demokraci w kampaniach przedwyborczych w wiejskich okręgach wyborczych podnosili takie nabrzmiałe problemy, jak ceny ryżu i budowa dróg. Na płaszczyźnie związkowej, istniejący system działalności związków nie sprzyjał mobilizacji mas pracujących, ponieważ porozumienia między przedsiębiorcami i związkiem zawodowym osiągano w ramach przedsiębiorstwa lub trustu, a nie w ramach gałęzi przemysłu. Rozluźniało to więź solidarności robotników poszczególnych zakładów pracy i rozdrabniało ich wysiłki w walce.

Lata siedemdziesiąte przyniosły pewne zmiany. Rozwijająca się rozbudowa miast doprowadziła do zatarcia różnic między okręgami wyborczymi. Liczba ludności wiejskiej, głównej opory sił prawicowych, zmniejszyła się do 10 milionów wyborców, a miasta, w swej większości, głosują na opozycję. Dążenia do przemian, które przedtem nie znajdowały wyrazu w ramach istniejącej struktury politycznej, teraz ujawniają się w spontanicznych wystąpieniach. Za przykład może posłużyć walka mieszkańców miast przeciwko zatruwaniu powietrza, spekulacji ziemią, wzrostowi cen itp., przybierając charakter masowych demonstracji, składania petycji, bojkotu niektórych wyrobów przemysłowych i tworzenia „komitetów poparcia". Wystąpienie, zapoczątkowane w jakiejkolwiek dzielnicy czy osiedlu, przenosi się do sąsiedniej dzielnicy lub do innego rejonu. Nieraz takie lub inne lokalne wystąpienie protestacyjne ludności urasta do skali ogólnonarodowej. Jednocześnie te nie zorganizowane protesty, zrodzone z walki o czyste powietrze, o wodę, o „prawo do słońca", z walki, którą uważano przedtem za „apolityczną", obecnie zawsze przybierają zabarwienie polityczne. Jest to zjawisko znamienne.

W planie politycznym spontaniczne wystąpienia mieszkańców miast znajdują poparcie głównie na zebraniach prowincjonalnych i miejskich. Na nich właśnie partie lewicowe odnoszą swoje największe sukcesy. Dziś szczycą się one, że rządzą 30 milionami Japończyków. We wszystkich wielkich miastach merowie są przedstawicielami bloku tych partii. W Tokio liberalni demokraci opierają się zaledwie na trzeciej części mieszkańców miasta.

— Władza merów w dużych ośrodkach mieszkalnych jest słaba — powiedział korespondentowi „Monde Diplomatique" mer Tokio, socjalista Minobe. — W Japonii władza regionalna nie odgrywa roli, dlatego celem mojej działalności jest popieranie wystąpień mieszkańców miasta. Próbuję organizować ośrodki informacyjne i stwarzać mieszkańcom warunki do urządzania demonstracji, pragnąc w ten sposób wywierać wpływ na politykę rządu, ponieważ w sferze budownictwa mieszkaniowego i spekulacji ziemią jestem bezsilny.

Inna „rysa" uwidoczniła się w japońskim systemie działalności związków zawodowych. Ruch związkowy czasów okupacji amerykańskiej był organizowany na wzór i podobieństwo korporacyjnych związków zawodowych reżimu wojskowego i miał wpływy tylko w wielkich przedsiębiorstwach. Indywidualna przynależność do związku nie istniała. W latach 60 pojawiają się ruchy zawodowe związane z ugrupowaniami lewicowymi. Duże związki zawodowe nie uniknęły wpływów lewicowych i muszą się z nimi liczyć, żeby nie stracić kontaktu z masami. Tym należy tłumaczyć fakt, iż w czasie ostatnich wiosennych wystąpień wysunięto nie tylko żądania podwyższenia płac, lecz także kwestie walki z intensyfikacją pracy, przedłużeniem dnia pracy, o prawo do strajków dla pracowników państwowych itp. W strajkach brało udział ponad 8 milionów robotników. Część żądań klasy robotniczej zaspokojono.

Wrzenie to pobudza japońskie partie polityczne do działania. Coraz bardziej umacnia się przekonanie, że siły prawicowe nie są zdolne do walki z plagami, które osaczyły kraj. Japończycy nie są już upojeni sukcesami i przestali wierzyć swoim prorokom. Sądząc z enuncjacji posłów z Partii Liberalno-Demokratycznej, nie są oni zdolni zrozumieć ani pobudzających motywów wystąpień niezadowolonych, nieszczęśliwych ofiar zanieczyszczenia środowiska i in., ani w ogóle zrozumieć problemów ludzi pracy. Przewodniczący Biura Politycznego Partii Liberalno-Demokratycznej powiedział otwarcie: „Często czujemy się oderwani od naszych wyborców. Większość spośród nas nie zawsze rozumie, czego oni chcą"...

I odwrotnie, partie posiadające mocną strukturę organizacyjną, jak np. Komunistyczna Partia Japonii, umiały zachować i rozszerzyć bliskie związki z ludnością, głównie dzięki kierowaniu wystąpieniami mieszkańców miast lub ich popieraniu. Dziś prowadzą one codzienną praktyczną działalność polityczną wśród mas pracujących. Dzięki temu KPJ jest obecnie mocno związana z japońską klasą robotniczą. Na jednym odcinku walczy ona przeciwko zanieczyszczeniu atmosfery, na innym — o wybudowanie szkoły, a na jeszcze innym — o opiekę lekarską na wsi, o organizację czasu wolnego od pracy, o działalność kulturalną itp. KPJ była także inicjatorem powołania Demokratycznego Stowarzyszenia Współpracy Handlu i Przemysłu, które obejmuje 10 procent drobnych kupców. Dzięki temu zawdzięcza ona m. in. swój sukces w niedawnych wyborach do izby wyższej. Komuniści, czy to jako radni we władzach miejskich, czy też jako posłowie do parlamentu, wkładają wiele wysiłku dla zachowania ścisłych związków ze swoimi wyborcami, jak również realizacji postulatów i indywidualnych próśb obywateli. Wystarczy się przyjrzeć pracy jakiego bądź samorządu miejskiego kierowanego przez komunistów, żeby się przekonać, iż przebiega ona w duchu życzliwości dla ludzi. Pozwala to KPJ jednoczyć wokół siebie znaczną liczbę wyborców. Grudniowe wybory 1972 roku do niższej izby parlamentu były sukcesem komunistów: liczba ich miejsc wzrosła z 14 do 39, a to oznacza, że ogólnie głosowało na nich 10,5 proc. wyborców.

Partia socjalistyczna, która powiększyła swoje przedstawicielstwo w parlamencie po wyborach w 1972 roku z 90 do 118 miejsc, pozostaje bez wątpienia główną partią opozycyjną. Jednakże jej wpływy zmniejszyły się prawdopodobnie dlatego, że zbyt długo kierowała wszystkie swoje wysiłki wyłącznie na zmianę kursu polityki zagranicznej rządu. Japończycy żądają, by podjąć praktyczne kroki również w zakresie zahamowania wzrostu cen, rozwoju transportu, budownictwa mieszkaniowego, polepszenia ubezpieczeń socjalnych. Wewnętrzne waśnie w JPS nie pozwalają jej na sformułowanie wyraźnego programu. Główną siłą partii socjalistycznej są jej ścisłe związki z największym zrzeszeniem związków zawodowych — Sohio. Ale i tam obserwuje się pewne rozczarowanie socjalistami wśród młodych pracowników związkowych.

W wyniku nie ustabilizowanej polityki socjalistów, Komunistyczna Partia Japonii wyrasta na drugą partię opozycyjną, stając się dziś najpoważniejszym przeciwnikiem liberalnych demokratów. Swoim konsekwentnym i umiarkowanym programem proponuje ona wciąż nowe rozwiązania problemów. Do tej pory było to w Japonii nie do pomyślenia. Dawniej wszystko odbywało się tak, jak gdyby efektywność systemu, rzekomo zdolnego do podniesienia poziomu życia, wykluczała możliwość krytyki warunków podziału dochodu narodowego oraz krytyki wzrostu ekonomicznego, odbywającego się kosztem wyzysku ludzi pracy.

JERZY CZECH

■ W QUITO I NOWYM JORKU
■ TEHERAŃSKIE POROZUMIENIA
■ WEEKEND PRZY DALEKOPISACH

W ub. tygodniu w jednym z podtytułów naszego komentarza postawiliśmy pytanie: **Czy OPA zniesie blokadę?** Nawiązaliśmy tam do konferencji Organizacji Państw Amerykańskich, która tym razem odbyła się w stolicy Ekwadoru. Na porządku dziennym stała sprawa rewizji sankcji, jakie organizacja ta zastosowała wobec Kuby swoją decyzją z 1964 roku. Niestety, mimo powszechnych oczekiwań na jej uchylenie, wynik głosowania jest inny. Dwunastu głosom „za" towarzyszyły trzy „przeciw", sześć państw natomiast wstrzymało się od głosu. Wniosek nie otrzymał więc wymaganej większości dwóch trzecich i formalnie decyzja sprzed 10 lat utrzymaną została w mocy. Formalnie gdyż liczba siedmiu państw, które nie czekając na uchylenie blokady nawiązały stosunki dyplomatyczne z Kubą, powiększy się wkrótce co najmniej o trzy. Powstaje zatem paradoksalna sytuacja: stanowisko OPA nie będzie pokrywać się z praktyką polityczną.

O całej tej sprawie piszemy dlatego, że **sesja w Quito wydaje się być początkiem końca OPA.** Komentatorzy podkreślają, że odtąd organizacja ta nie będzie zdolna do podjęcia jakiejkolwiek politycznej decyzji. Czy przyśpieszy to zmianę jej charakteru — na regionalne stowarzyszenie państw broniące gospodarczych interesów Latynosów, czego od lat domagają się niektóre kraje — przedwcześnie przewidywać. Następstwa konferencji w stolicy Ekwadoru dla kontynentu amerykańskiego z pewnością będą jednak głębokie.

Równie poważne następstwa mogą wyniknąć z **trwającej debaty palestyńskiej w ONZ.** Prócz delegacji Organizacji Wyzwolenia Palestyny, która dopuszczona została do obrad sprawy palestyńskiej na sesji bronią szefowie państw Algierii i Maroka. W ub. tygodniu doszło do ciekawej dyskusji proceduralnej zakończonej głosowaniem. Zgromadzenie Ogólne 75 głosami postanowiło ograniczyć wystąpienia każdej delegacji tylko do jednego razu. Uniemożliwia to Izraelowi dyskutowanie z każdym przemówieniem arabskim. Największym jednak **wydarzeniem sesji było wystąpienie Arafata,** przywódcy OWP. Uzasadnił on konieczność utworzenia demokratycznego, wielowyznaniowego państwa w Palestynie. Państwa arabskie zgodnie przyklasnęły treści i duchowi tego przemówienia, Izrael natomiast kategorycznie je odrzucił. Jego przedstawicielowi w ONZ przypisuje się następujące słowa: „Ostrzegamy kraje arabskie, a zwłaszcza Liban — jeśli dbacie o własne bezpieczeństwo dajcie sobie spokój z OWP i trzymajcie się z dala od niej". Takie stanowisko i zawarta w nim groźba mogą prowadzić tylko do wzrostu napięcia na Bliskim Wschodzie.

Z przebiegiem sesji Zgromadzenia Ogólnego Palestyńczycy wiążą duże nadzieje — odzyskania prawa do samodzielnej egzystencji na wyzwolonych terenach. Jak wiadomo, ONZ w 1947 roku podjęła decyzję o podziale Palestyny, ale w 1969 roku uchwaliła rezolucję o prawie do samookreślenia Palestyńczyków, po raz pierwszy używając określenia „ludność Palestyny". W rok później uznano ich prawo do walki.

Trzecim forum dyskusyjnym minionego tygodnia była **sesja plenarna Zgromadzenia Północno-Atlantyckiego.** Dyskutowano na niej problemy polityczne, militarne i energetyczne Paktu Atlantyckiego. Londyńskie obrady nie zasługiwałyby może na komentarz, gdyby nie pozostawały w związku z sytuacją bliskowschodnią. Z przedstawionego bowiem uczestnikom sesji raportu wynika, że mimo poszukiwań nowych źródeł dostaw ropy naftowej oraz opracowania programów alternatywnych dostaw tego surowca — zależność państw zachodnich od nafty bliskowschodniej musi się utrzymywać co najmniej przez 10—15 lat. Świadomość tego faktu będzie kształtować politykę NATO wobec Bliskiego Wschodu.

Przypomnijmy w tym miejscu, że **niedawny szczyt państw arabskich w Rabacie nie przyniósł rozstrzygnięcia problemu dostaw i ceny ropy.** Jej producenci mają w tym celu spotkać się w Algierii.

Miniony tydzień przyniósł także nowy przejaw polskiej aktywności międzynarodowej. Mamy tu na myśli 5-dniową **wizytę premiera Jaroszewicza i towarzyszących mu osób w Iranie.** W maju ub. roku szef rządu irańskiego gościł w Polsce, a rozmowy, jakie wówczas toczyły się w Warszawie przyniosły ożywienie wymiany handlowej i współpracy gospodarczej. Tegoroczne spotkanie dało nowe impulsy w tej dziedzinie. Wzajemne dostawy już w najbliższym roku mają wzrosnąć do 80 mln dol. Plonem wizyty w stosunkach dwustronnych jest podpisanie trzech wieloletnich porozumień handlowo-gospodarczych oraz programu wymiany kulturalnej w latach 1975—1976.

Najbliższy weekend komentatorzy z całego świata spędzą na pewno przy dalekopisach, pilnie oczekując **wiadomości z Władywostoku.** Dwudniowe rozmowy L. Breżniewa i G. Forda są największym wydarzeniem jesieni. Nikt nie wątpi, że spotkanie wypełnią nie tylko stosunki dwustronne, lecz również podstawowe problemy międzynarodowe. Do spotkania dochodzi zaledwie po stu dniach prezydentury Forda, co wskazuje, jak wiele jest spraw do omówienia na linii Moskwa-Waszyngton.

W. SŁAWSKI

HENRYK CZARNECKI

KRYCHA

Gwoździe i śrubki porozrzucane luźno w dzieciństwie. Coś, czego dotknąć się można. Brzęczą w kieszeniach hipnotyzującym dźwiękiem. Pewnie dlatego, że nie rosną na drzewie, nie kiełkują w ziemi. Są pierwszym, prymitywnym symbolem czegoś, co wówczas nie miało jeszcze nazwy, ale tkwiło w Leszku głęboko.

Potem — mechanizm starego zegara, Kółka, kółeczka. Wystarczy poruszyć jednym, by drgnęły wszystkie. Z innego świata. Z duszą ukrytą między trybikami. A na wsi wszystko rośnie samo, z dnia na dzień, po trochu. Niczego tu popchnąć nie można, przykręcić, zatrzymać. Płot też nieruchomy. Tylko księżyc jest inny: w kształcie zębatki, po której przesuwa się łańcuch. Kształt roweru pobudza wyobraźnię — dusza Leszka jest inna niż te, które oglądał w kościele: nie przypomina gołębi. Okrągła, z trybikami, osadzona wśród żeber na kulkowych łożyskach. Za belką na górce drewniane pudełko. Otwiera, świeci latarką — wśród swoich skarbów czuje się najbezpieczniej. Pompka, rozkręcony dzwonek, parę rowerowych kluczy, sprężyny od starego siodełka...

— Szmaciarz przyjechał!

Wyciąga spod siana butelki, przelicza, upycha je po kieszeniach, za pazuchą, kilka zawija w wełniany szalik, szybko zsuwa się po drabinie.

— Co tam butelki. Szmat jakich nie masz?

— Pan weźmie. Za pół ceny je sprzedam.

— Szmaciarz waha się chwilę.

— Dychę za wszystkie — nalega Leszek.

— Masz tu piątaka i wrzucaj do wozu. A nie, to nie.

Nie może się zdecydować. Nagle rozjaśnia mu się twarz.

— A da pan trochę posiedzieć w szoferce?

— Właź! Tylko niczego nie ruszaj.

Szybko wrzuca butelki, jeszcze szybciej wchodzi do samochodu. Jest już w środku najskrytszych marzeń, które go nagle przerosły. Krajobraz pędzi za oknem, miasta, miasteczka. Ale ważniejsze jest to, co pod nogą. Nieśmiało kładzie nogę na sprzęgle, drugą dotyka hamulec. Jeszcze kierownica, zegary — wpatrzony w setkę na liczniku naciska gaz do dechy.

— Posuń się.

Szmaciarz włącza kluczyk, razem podjeżdżają do najbliższej chaty. Kumple zazdrośnie patrzą na Leszka, który im macha ręką przez szybę.

— Złaź!

Wychodzi niechętnie, stoi chwilę, owija szyję szalikiem, wraca na górkę po zawiniątko, potem rusza drogą skąd szmaciarz przyjechał. Przyśpiesza kroku, przeskakuje przez rów, biegnie przez pole...

W przegródkach kolorowe cukierki.

— Po ile tamte zielone?

— Miętusy?

— Tak.

— Dwadzieścia osiem.

— A tamte?

— Po osiemnaście.

— To niech pan już da landrynki. Za całe pięć złotych.

Wpatruje się w wagę uważnie.

— Mam jeszcze kilka jajek do skupu — mówi nieśmiało.

— To na co czekasz?.

Sklepikarz kładzie jajka na wagę, mnoży na kawałku papieru, otwiera szufladę z pieniędzmi.

— Pan da za wszystko cukierków. Tych co to po osiemnaście.

Dopiero na ulicy się przemógł. Gdy na wystawie zobaczył rowery. Zawirowały kółka, widełki, łańcuchy...

— Pan da mi nazad pieniądze? — patrzy błagalnie na sklepikarza. Niech się pan zgodzi.

— Bo co?

— Coś muszę kupić. Niech się pan zgodzi.

Bez słowa bierze od niego torebkę, waży ją w ręku, patrzy na Leszka.

— Jak Boga kocham, że tylko jednego. Pan zważy.

Sklepikarz wysypuje cukierki, zwraca pieniądze, Leszek wybiega ze sklepu, pędzi na drugą stronę. Zziajany staje przed ladą.

— Pan da ten łańcuch, co oglądałem przed chwilą.

Najlepiej udało się na Wielkanoc, bo zimą kury źle niosą i wykradanie od przypadku do przypadku po jednym jajku nie daje szybkich efektów. Co innego z rozmachem. Z pełnego garnka, do którego zjedzie niebawem świąteczna rodzinka. W domu nikt się nie doliczy, a sklepikarz się nie zorientuje, że połowa tych jajek ugotowana. Jak by się mógł zresztą zorientować, skoro Leszek dopiero potem pomyślał, że z nich ani ciasta, ani jajecznicy nie będzie. Sklepikarz w zęby mu nie da, bo jak rzecz udowodnić? Najważniejsze, że torpedo w kieszeni. Obręcze, szprychy i piastę zdobył już wcześniej. Uczciwie. Za normalnie gwizdnięte jajka...

Przed chałupą stoi samochód szmaciarza. Stary a d l e r przerobiony na półciężarówkę. Chłopak aż oczom nie wierzy. Nie spodziewał się zastać go jeszcze we wsi. W dodatku przed własnym domem. Przy samochodzie nikogo. Pewnie do chałupy poszedł się ogrzać.

Pogłaskał reflektor, do maski się dotknął, zajrzał przez szybkę. Nagle coś sobie przypomniał: przycupnął za samochodem, wypuścił z koła powietrze. Za te butelki. Drżał trochę od mrozu, trochę ze strachu, ale na kołach znał się już przecież i trzeba się sprawdzić.

Pobiegł do domu. Szmaciarz i ojciec siedzą przy stole.

— To on — ojciec wskazuje głową na Leszka.

Uśmiecha się jednak: więc nie o koło mu chodzi.

— No widzi pan. Rzemieślnik z rzemieślnikiem zawsze się jakoś dogada. I co? — zwraca się teraz do Leszka. — Przystałbyś do mnie?

Leszek patrzy na skórzaną kurtkę z kieszeniami na ekspres. Na kluczyki od samochodu, którymi się bawi.

Zabrzęczało Leszkowi w kieszeni. Ożyły śrubki i gwoździe.

— Tak sobie uradziliśmy tu z panem — mówi znów ojciec. — Roboty w chałupie za dużo nie ma, do szkoły na razie chodzić nie musisz, bo przerwa, więc...

— Czemu nie? — zapalił się Leszek. — I jeździłbym tym samochodem?

— Jasne.

— A ile bym dostał?

Szmaciarz pokiwał głową z uznaniem.

— Podoba mi się ten chłopak. Widać, że głowa do interesu. I tak być powinno... Pięć stówek miesięcznie i żarcie.

Ojciec rozlał wódkę do szklanek.

— Na dwa tygodnie. Albo najwyżej za miesiąc. Nauczycielka mówiła, że jesteś zdolny, to potem nadgonisz.

— No to możemy — ucieszył się Leszek.

— Kiedy?

— Choćby i zaraz. Już jestem gotów.

I stąd jest teraz ta rama. Spod kupy żelastwa pod płotem składnicy. Zapach rdzy, pod którą kryje się coraz bardziej realny już kształt roweru.

— Jakby nie drogo, to bym ją kupił — zagadnął kierownika składnicy, grzebiąc nogą wśród stosu rupieci.

— A po co ci ten kawał szmelcu?

— Może się przyda — powiedział ostrożnie.

— To sobie weź — machnął ręką kierownik.

Cały tydzień czyści ją w domu ściernym papierem. Błyszczy jak nowa. Wreszcie otwiera pudełko z farbą, bierze do ręki pędzelek.

— Miała mi mama przechować forsę z tych, co zarobiłem u szmaciarza, no to teraz mi trzeba.

Rower uniezależnił go od tęsknoty za domem. W trzy godziny mógł nim obrócić w obydwie strony. Nie musi dreptać nisko przy ziemi, polna droga nóg nie krępuje — może nawet wjechać w kałużę i nie pobrudzi sandałów.

Cenił go Leszek jeszcze dlatego, że kosztował go tyle wysiłku. Oszczędzać musiał nawet na snach, podczas, gdy on, Leszek, wziął się na świecie po prostu, bez cudów, między jednym a drugim krzątaniem się ojca wokół obejścia.

Autobus podskoczył na dziurze, wytrącił go z drzemki, której nie umie już opanować. Nie reaguje tylko na mniejsze wstrząsy, które powinny podniecać go bliskością domu. Lecz podniecenie było już przedtem. Gdy tłukł się pociągiem wśród nocy. I wypaliło się przez zbyt długą drogę. Wzruszenia przekładał z jednej kieszeni do drugiej, wertował, poupychał gdzie trzeba i uległ zmęczeniu. Cicho, spokojnie. Wewnątrz izby kilka kobiet drze pierze. Można zanurzyć się w puch, przytulić do chwil odległych...

Przed chwilą jeszcze przykręcał szprychy, teraz wraca z dalekiej podróży. Pomiędzy tymi szprychami i jego powrotem tyle wszystkiego, że w żaden sposób ułożyć porządnie nie można. Tego kawałek, tamtego kawałek. Droga do sadu, piasek... Wszystko ma wartość. Dlatego, że było. Życie nie składa się z równo przystających do siebie kawałków, ale rozlicza się je ze zdarzeń, które się utrwaliły w pamięci i dopiero na dziurach, wybojach, odrywają się jak tynk od sufitu. Kawałkami. Z różnych kątów po trochu. Jeszcze rów tylko przeskoczyć, kawałek skosem przez kartofliska, krzyż, zakręt, na horyzoncie majaczą już pierwsze domki... Dopiero gdy musiał wracać do sadu, wierzby swym ciężkim kształtem zwalniały rytm jego kroków. Wolno oddalają się za jego plecami nieuniknioną koniecznością oddalania. Idąc tak pieszo wydaje się sobie jeszcze mniejszy niż zwykle. Nieporadny wobec tych wierzb, które żegnają go ze współczuciem. Do sadu przecież się nie rwał. Był tylko koniecznością. Przystankiem, skąd nie odchodził żaden pociąg ni autobus.

* * *

Żadna nie ma takich nóg jak Krycha — rzecz już sama w sobie ponętna. Chłopakom aż oko bieleje z zazdrości. Nie o zazdrość jednak mu chodzi, chociaż... Musi mieć potwierdzenie własnych wartości. Wyrósł już z sadu, ciekawszej roboty się imał, spodnie prasuje na kancik w niedzielę — trzeba mieć dla kogo czyścić kamaszki, do kogo pedałować rowerem.

Bardziej interesuje go jednak technika. Chętnie by je wszystkie zamienił na zwykłe, motocyklowe prawo jazdy, ale ponieważ było to niemożliwe kontentować się musi tym co bez kursów. Jeśli więc już dziewczyna, to taka, żeby mógł się nią chociaż pochwalić.

No i trafiła się Krycha. Niejeden kręcił się wokół dziewczyny, ale nikomu po zabawie nie pozwoliła się odprowadzić do domu. A to się dopiero liczy: odprowadza się coś własnego. Choćby do cudzej jeszcze zagrody.

Tak. Koniecznie dziewczyna. Nie można stać w miejscu. Nawet z cukierków przerzucił się teraz na chałwę. Najlepsza z herbatką. I żeby nie kojarzyła mu się z panią Reginą. Było, minęło, ale w gębie ma niesmak.

W kącie pod ścianą stoi Leszek pośród koleżków. Gapią się na tańczące dziewczyny.

— Też masz z kim tańczyć — wzrusza ramionami Leszek. — Taka jakaś w sobie...

— Na początek obleci.

Muzyka milknie, dziewczyny wracają pod ścianę.

— A może by z tamtą?

— Licha — stwierdza znów Leszek. — Jak zalomotać nogami to już przynajmniej...

Nagle dostrzega ładną dziewczynę.

— No to ja wam teraz pokażę.

Obciąga marynarkę, przygładza włosy, rusza do skoku.

— Daj sobie spokój. Nawet przytulić się nie da.

— To się jeszcze zobaczy — rusza dumnie do przodu.

Krycha ociąga się chwilę, potem odkleja się ciężko od ściany. Leszek taszczy ją na środek: nie będzie przecież zaczynał gdzieś z kąta.

Odpycha go gniewnie. Leszek z niepokojem patrzy, czy któryś z koleżków nie widzi. Po tańcu odprowadza ją potem kawałek.

— Jakby to pani było na rękę, to i do następnego mógłbym tutaj przyskoczyć.

— Jak pan uważa — obojętnie mówi dziewczyna.

Wraca znów do kolegów.

— I co?

— Normalnie. Następnego też chce ze mną wywinąć.

— No to się pośpiesz, bo...

— Bo co?

Ale obserwuje ją bacznie.

Nikt w jej stronę nie idzie, a gdyby nawet, to i tak zdąży być pierwszym. Prawą stopą nieznacznie dotyka ściany gotów do natychmiastowego odbicia. A chwila przerwy zrobi na chłopakach wrażenie. Ma czas.

Nagle ktoś zaszedł ją z tyłu, pociągnął za łokieć. Tego się nie spodziewał. Od tej strony nie liczył na żadnego rywala.

Odmówiła. Facet był po dwóch ćwiartkach, albo i lepiej. Wiadomo. Mógłby ją przecież wywrócić.

— A co? Nie mówiłem? Trzeba mieć tę gadaną.

Ukłonił się, zniknął gdzieś w tłumie...

Odprowadzał ją potem aż do mrozów ostatnich. Zimno, więc gadać nie musi, Krycha też nie jest rozmowna. O czym zresztą rozmawiać. Ale przyjemnie iść razem, choć Krycha wciąż rwie do przodu, że ledwie może za nią nadążyć. Drobiazg. Ważne, że ma już dziewczynę. Że warczy na innych, gdy ktoś ją do tańca chce prosić. Nawet setkę ze szklanki wyciąga, zagryza białym, choć przedtem niczego do ust nie brała.

— Krycha.

— Co?

— Nic. Ino tak sobie. Trzeba przecie coś mówić.

Z tym gadaniem zawsze najgorzej. On mówi, a ona wtyka nos w ziemię i snuje się za tym nosem. Przeżuwa coś w sobie, miętosi, rozgryza. Już wolałby całowanie, ale nijak zabrać się nie może do tego, bo dziewczyna wysoka, głowę skręca na prawo, gdy ją zachodzi od lewa. Ale to pewnie normalka. Trzeba by zacząć inaczej. O ołtarz zatrącić gdzieś bokiem choćby tylko przypadkiem, niechcący, a on jej tu dyrdymały zasuwa nie mające nawet nic z ziemią wspólnego. Cóż może jednak poradzić, gdy co innego mu w głowie. I jeśli się nawet coś tam rysuje, to w innej parafii, daleko.

Lgnie jednak do niego, ogląda się, gdy Leszek w tyle zostaje, przyśpiesza, gdy on zjeżdża z górki po wyślizganej na śniegu ścieżce. A na zabawie sama się kręci — nawet popychać Krychy nie musi. Tylko nadaje kierunek, żeby na bufet nie wpadli. A najważniejsze, że warczy na innych, gdy ktoś do tańca chce prosić.

— Wiesz, Krycha? Trzeba się za czymś solidnym obejrzeć. Urządzić się jakoś.

Podniosła głowę.

— Dobrą robotę podłapać, zarobić.

Daleko za nimi błyszczą światła remizy, z okien dobiegają jeszcze dźwięki orkiestry. Zimno. Leszek poprawia szalik pod szyją, by lepiej było widać wzorzysty krawat.

— Miałaś ty już swojego chłopaka?

— A na co ci wiedzieć?

— Bo bym wolał, żeby nie. Teraz ja jestem przy tobie.

Krycha milczy przez chwilę.

— Trzeba się za czymś solidnym rozejrzeć. Urządzić się jakoś — mówi Leszek do siebie.

Ożywiła się nieco.

— Żeby tylko najprędzej ten dowód otrzymać. Tak mi się marzy technika. Na dźwigu chciałbym pracować. Albo choć na spychaczu.

Wyprzedziła go znowu i przodem podąża.

— Najważniejszy ten dowód. Bez tego nijak się ruszyć.

— Tak ci tu źle?

— Nie. Ino ciasno. Odbicia w sobie nie mam, rozumiesz?

Zatrzymują się na rozdrożu przy wierzbie.

— No to już tutaj — mówi Krycha.

— Która twoja chałupa?

— Tamta — pokazuje ręką daleko.

— No to idziemy.

— Gdzie?

— Pod twoją chałupę.

— A po co? Inny świat ci przecie się marzy. Ciągle rozglądasz się ino daleko.

A Leszek czekał tymczasem na „lata". Z dowodem osobistym będzie mógł wreszcie ruszyć przed siebie. Daleko. Coś wielkiego może się zdarzyć tylko daleko. W pobliżu — tylko się człowiek rozpycha rękami, przedreptuje z nogi na nogę, przetacza się z miejsca na miejsce. Nawet samego siebie oszukać nie można, że się coś znaczy.

Zimno. Błoto. Leszek i Krycha idą w kierunku przystanku.

— Zobaczysz, Krycha. Niedługo przyjadę. Może już nawet własnym motorem. Będziemy jeździć na zabawy. Nie tylko do Kurzai, ale i na inne wsie cię powiozę. Musisz być ino cierpliwa.

Taszczy w ręku tekturowe pudło, druga ręka w kieszeni. Krycha — pół kroku za nim, wpatrzona w ziemię.

— Poznasz we świecie inną i...

— Coś ty! Nie to mi w głowie.

Odprowadziła go na przystanek, do ręki wsunęła mu zawiniątko ze swojską kiełbasą. Wzruszył się. Nikt w domu nie miał czasu o tym pomyśleć. A może pomyślał, tylko pieniędzy nie było?

Przygarnął Krychę mocno do siebie.

— Och, ty...

Wsiadł w autobus, pomachał jej ręką, coś ścisnęło go za gardło. Ale tylko na chwilę. Potem się rozprostował, wciągnął w płuca powietrze, obejrzał się — nie widzi już Krychy.

(Fragment powieści „Daleko od szosy")

IGOR SIKIRYCKI

WITRAŻ

Wiatr – głodny źrebiec
długo ssałby
pełne wymiona tłustej chmury
lecz pastuch dopadł go na
niebie
i spętał
tęczy grubym sznurem.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

CODA

Wywodzę cię z milczenia
i pogardy
stąpasz lekko ku szczytom
i stąd
ten upadek
nie pamiętają cię już
leszle pszczoły

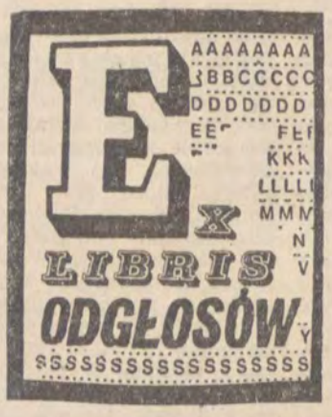

BAGAŻ

Robert L. Stevenson znany jest młodym i starszym. Młodzi czytują z wypiekami jego przygodową powieść „Porwany za młodu", starsi pasjonują się głośną powieścią o „Doktorze J[illegible]lu i panu Hyde" . jeszcze przecież znane są przełożone na polski inne jego książki: „Czarna strzała", „Dziedzic na Ballantrae..."

No i wreszcie, bodaj najgłośniejsza książka Stevensona — „Wyspa skarbów", pierwsze jego dzieło, które choć dziś liczy sobie prawie sto lat, ciągle jest wznawiane i czytane przez kolejne pokolenia młodych czytelników.

Około czterdziestki, Stevenson, mając już za sobą swoje najgłośniejsze książki, przystąpił do spółki autorskiej ze swoim pasierbem Lloydem Osbourne'em. Pierwszy udany owoc tej współpracy, to powieść „Bagaż nie z tej ziemi", porównywany przez krytyków z „Klubem Pickwicka" Dickensa. Książka utrzymana jest w stylu czarnego humoru. Być może ten typ humoru nie jest zbyt w Polsce popularny, ale swoją grupę zwolenników ma na pewno. W każdym razie w ojczyźnie Stevensona czytelnicy bardzo się bawili i bawią perypetiami dybiącego na spadek po stryju skąpca, który omyłkowo wysyła pocztą nie te zwłoki.

R. L. Stevenson, L. Osbourne — „Bagaż nie z tej ziemi", Wyd. Iskry, cena 9 zł.

PRZYPADKI SZYPOWA

Bułat Okudżawa napisał książkę-wodewil. Oto w tulskiej guberni mieszka pisarz, którego władze podejrzewają o spiskowanie. Policja wysyła więc „w teren" dwu tajniaków, którzy bardzo chcą dostarczyć dowodów nieprawomyślności pisarza lecz przeszkadza im w tym umiłowanie alkoholu.

Rzecz dzieje się w roku 1862, a wspomnianym pisarzem-liberałem jest Lew Tołstoj. Tę humorystyczną, a jednak bardzo gorzką książkę, czyta się jednym tchem. Zmysł satyryczny Okudżawy i jego poczucie humoru sprawiają, że „Przypadki Szypowa" są lekturą na jeden wieczór — nie sposób bowiem oderwać się od tej książki.

Historia nieudanej misji dwu tajnych agentów przetykana jest korespondencją, jaką prowadzą między sobą generałowie, ministrowie, oberpolicmajstrzy i żandarmi. Gdy raporty agentów przynoszą (wyssane z palca) informacje o występkach Tołstoja, wszyscy przypisują sobie zasługę w zorganizowaniu owej misji. Kiedy mistyfikacja Szypowa i Girosa wychodzi na jaw, okazuje się, że nikt ich tam nie posyłał, że nie ma odpowiedzialnych za całą aferę. W rezultacie jedynym winnym zostaje pułkownik żandarmerii z Tuły, który mistyfikację tajnych agentów zdemaskował.

W „Przypadkach Szypowa" Bułat Okudżawa ujawnił jeszcze jeden ze swych talentów literackich — znakomicie operuje konwencją groteski.

Bułat Okudżawa — „Mersi czyli przypadki Szypowa", tłumaczył Witold Dąbrowski. Wyd. Iskry, cena 26 zł.

Z LAT PIERWSZYCH

Dwa lata temu pisaliśmy w tej rubryce o zaskoczeniu, jakie sprawił czytelnikom Jerzy Ofierski swoją powieścią z lat okupacji. Ofierski — znany głównie z estrady i telewizji jako sołtys Kierdziołek, napisał ambitną artystycznie powieść „Nie było słońca tej wiosny", ocenioną bardzo wysoko przez krytykę.

I oto po dwu latach ukazuje się następna powieść Jerzego Ofierskiego „Nie zdałeś matury poruczniku". Akcja tej powieści rozgrywa się już po wojnie, w latach 1946—47 a jej bohaterem jest były żołnierz Armii Krajowej, następnie zaś oficer ludowego wojska. W losy swojego bohatera wpisał autor dramaty i zdarzenia charakterystyczne dla tego trudnego okresu — lat tworzenia i umacniania władzy ludowej — tworzenia się nowych układów społecznych i formowania państwa.

Nie pretendując w tej informacyjnej nocie do oceny walorów artystycznych powieści, trzeba stwierdzić, że czytelniczo jest to pozycja atrakcyjna, choćby ze względu na temat, wciąż żywy i pasjonujący. Sposób narracji natomiast — nerwowy i lakoniczny, dobrze przylega do zdarzeń rozgrywających się na kartach powieści.

Jerzy Ofierski — „Nie zdałeś matury poruczniku", Wyd. Czytelnik, cena 16 zł.

PRZYPOMNIENIE POETKI

Zasłużona dla poezji i cenna seria „Generacje", wydawana przez Jerzego Leszina i A.K. Waśkiewicza, wzbogacona została o pozycję wyjątkową. Oto przypomniano jedyną bodaj poetkę awangardy „Zwrotnicy" Mitę Elin. A właściwie nie przypomniano, lecz — po blisko pół wieku od debiutu — powołano po raz drugi do życia.

O Mili Elin wiadomo niewiele. Była przez czas jakiś związana z łódzkim „Meteorem", przedtem współpracowała z krakowską „Zwrotnicą", mieszkała w Warszawie i tu zginęła w getcie. Za życia nie opublikowała żadnego zbioru wierszy, ten właśnie jest pierwszy, pieczołowicie i zapewne reprezentatywnie skompletowany przez Andrzeja K. Waśkiewicza. Jedyna poetka krakowskiej awangardy, odkryta po latach, urzeka swoją poezją, wciąż żywą, mimo upływu lat.

Mila Elin — „Wachlarz z białych kwadratów", seria „Generacje". Wyd. z funduszów ZG SZSP, cena 20 zł.

WSPOMNIENIA MOSKALENKI

Przed trzema laty Wydawnictwo MON opublikowało wspomnienia marszałka Kiryła Moskalenki, dotyczące początkowego okresu wojny. Tom ów nosił tytuł „Przed przełomem". Obecnie ukazała się następna publikacja pamiętnikarska tego wybitnego dowódcy pt. „Uderzenie za uderzeniem" i książka ta mówi właśnie o wojnie „po przełomie".

Bogato udokumentowane, interesująco napisane wspomnienia Moskalenki zaczynają się bowiem opisem gigantycznej bitwy w łuku kurskim, której zwycięski wynik przesądził o stworzeniu pomyślnych warunków do przeprowadzenia operacji nad Dnieprem, zakończonej wyzwoleniem Kijowa i znacznej części Ukrainy prawobrzeżnej. Jest więc zupełnie zrozumiałe, że huk bitwy pod Kurskiem, jednej z największych bitew II wojny światowej, stał się dzwonem pogrzebowym całej zaczepnej strategii nieprzyjaciela. I mimo że po tej bitwie, będącej ukoronowaniem przełomu w przebiegu wojny, walki trwały jeszcze prawie dwa lata, był to okres niemal nieprzerwanych operacji zaczepnych Armii Radzieckiej.

Przejmując całą inicjatywę w walce z silnym nieprzyjacielem, radzieckie siły zbrojne pomyślnie wykonały skomplikowane zadanie przełamania obrony strategicznej hitlerowców na całym froncie radziecko-niemieckim od Kurska do Berlina i Łaby.

Na odcinku dowodzonym przez marszałka Moskalenkę, zwycięskie uderzenia zadano hitlerowcom w kolejnych operacjach — lwowsko-sandomierskiej, na Przełęczy Dukielskiej, w walkach o Śląsk, a także o Morawską Ostrawę i stolicę Czechosłowacji — Pragę. W Pradze obok żołnierzy czechosłowackich i radzieckich w Defiladzie Zwycięstwa udział wzięli także żołnierze Wojska Polskiego, pieczętując zrodzone na polach bitewnych braterstwo broni.

Kiryłł Moskalenko — „Uderzenie za uderzeniem", Wyd. MON, cena 40 zł.

ŻYCIE na KONKURS

Życie bez konkursów jest już u nas właściwie nie do pomyślenia. Jesteśmy niemal bez reszty opanowani przez rozmaite konkursy. I to już od bardzo wczesnego wieku. Odwiedziłem niedawno jedną ze szkół podstawowych. Spotkanie było bardzo miłe, wspominałem prawie z łezką swoje dawne lata harcerskie, zdawało mi się, że biegam w krótkich porteczkach po lesie, forsuję strumienie i górki wołając, że byczo jest, kaczo i i indyczo. Dopiero po powrocie do domu uświadomiłem sobie, że miałem do czynienia z uroczą oczywiście, ale połkniętą przez konkursy młodzieżą. Obejrzałem zaraz na wstępie wystawę prac konkursowych, młodzież ilustrowała swoje ulubione i zatwierdzone przez panią książki, a najlepsi otrzymali nagrody.

Spotkanie odbywało się w klasie, która wygrała konkurs czystości, teksty literackie mówiły dzieci, które wyróżniły się w konkursie recytatorskim. One także otrzymały nagrody. Za udział w spotkaniu przyjąłem podziękowanie od miłej parki, która prowadzi w konkursie na najlepszego ucznia. Szkoła uczestniczy ponadto w kilku konkursach o szerszym charakterze, chłopcy i dziewczęta kują nieprzytomnie wiedzę o Polsce, od strony do strony, muszą wypaść jak najlepiej w międzyszkolnej olimpiadzie.

Nie jestem pewien, czy nie nadużywamy trochę tych środków dopingujących w wypadku naszej młodzieży, nie bardzo rozumiem, czemuż to czystość należy specjalnie nagradzać, zamiast przyjąć, że mycie uszu i okien, rąk i podłóg to po prostu czynności normalne, tak samo jak porządne przygotowywanie lekcji.

Przyznam, że odeszły mnie wątpliwości, kiedy uświadomiłem sobie w jakich konkursach uczestniczą nasi sportowcy, powiedzmy piłkarze. Jak wiadomo, piłkarze po to rozgrywają mecze, aby osiągnąć zwycięstwo, aby trafić możliwie często w światło bramki, jak by powiedział pan Ciszewski, stosować crossy, krótko kryć, grać szybką piłkę. Mogą wszakże tego nie czynić i właśnie dlatego trzeba było ogłosić konkurs nieustający na królów strzelców, płatnych od każdego skutecznego kopnięcia. Ten konkurs na skuteczne kopnięcie przynosi niekiedy pożądane efekty ekonomiczne, o czym świadczy piorunujący wręcz postęp motoryzacji wśród piłkarzy. Jeden Fiat za jedną bramkę to w końcu bardzo dobry rachunek. Piłkarze biorą udział i w innym konkursie, niejako przeciwnym, są nagradzani za to, że nie kopią skutecznie. Tym razem przeciwnika. Co prawda regulamin powiada wyraźnie, że kopać, walić w czułe miejsca, nie wolno, przeciwnik też człowiek i może się przy okazji odegrać, ale piłkarze nie mają czasu na czytanie, szlifują przeważnie formę, aby we właściwym czasie osiągnąć szczyt, więc są nagradzani za czystą grę. Indywidualnie i zespołowo. Są to — szczerze mówiąc — konkursy otwarte. Najbardziej ciekawy jest wszakże ten zamknięty, rozgrywający się przy biurkach prezesów, rozmaitych rad i dyrekcji. Jest to konkurs, w którym nagrody rzeczowe, jak mieszkanie, sprzęt motorowy, mieszając się z nieznanymi bliżej sumami, określają wartość primabaleriny jednego czy dwóch sezonów piłkarskich, zmieniającej barwy klubowe. Jakże niewinnie wyglądają przy tego rodzaju praktykach dopingi stosowane wobec naszej młodzieży szkolnej.

Zajrzałem właśnie do „Głosu Robotniczego" i stwierdziłem, że mogę bardzo łatwo wygrać zegarek, w konkursie oczywiście. Gazeta apeluje mianowicie do swoich czytelników, aby proponowali usprawnienia w gastronomii, handlu, komunikacji i innych dziedzinach. Trzeba tylko pomyśleć za naszych zaopatrzeniowców, mistrzów patelni, kelnerów, specjalistów w zakresie stawiania niedorzecznych znaków drogowych i już się ma zegarek na ręce. Sądzę, że tego rodzaju konkursy przerzucające odpowiedzialność z jednych na drugich mają u nas dużą przyszłość, niczego bowiem tak chętnie się nie mówi, jak sakramentalne — samiście tego chcieli, Grzegorzu.

Konkursy wdarły się do każdej chyba dziedziny życia. Latem przegrałem konkurs na ładny balkon, przegrał zresztą cały nasz dom. Chcieliśmy posadzić kwiaty, skąd jednak wziąć skrzynki? Moja ukochana Administracja Budynków Mieszkanych ukarała mnie w rezultacie za stare skrzynki nie dając nowych. Ten typ konkursu, bardzo u nas częstego, przypomina włażenie po śliskim słupie po kiełbasę. Człowiek myśli, że się wyróżni, a na końcu rozciera pewną stłuczoną część ciała.

Konkursy mają fryzjerzy, mają je i działkowicze, poszczególne domy i całe osiedla, do konkursów stają miasta, podniecane przez telewizję, znamy niezwykłą ilość konkursów na piosenki, teksty, melodie, i znamy egzaminy konkursowe, na dobre zabawy bez wódki i eleganckie przyjęcia z francuskim bufetem, na psy rasowe i psy pozbawione rasy, na najwyższego człowieka i najlepszy kotlet schabowy, budowę osiedla i wzorowego przechodzącego na drugą stronę ulicy w odpowiednim miejscu.

Specjalne miejsce zajmują — jak sądzę — konkursy przeznaczone dla twórców w rozmaitych dziedzinach naszego kulturalnego życia. Jak wiadomo, za mało mamy jeszcze bardzo złych piosenek i kiepskich tekstów, nie zdarza się więc rok bez kilku co najmniej konkursów na następne kicze. Co innego wszakże konkursy literackie. Wbrew pozorom brakuje nam pisarzy, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o tekst nie ukazujący się w postaci druku, a przeznaczony dla teatru, radia, filmu czy telewizji. Tu nadal odgrzewa się kotlety, przerabia, nicuje w nieskończoność klasyków, otrzymujemy w ten sposób nowe spojrzenie na Wyspiańskiego, Żeromskiego, Reymonta, ostatnio zaś Sienkiewicza. Słyszałem, że dyrekcja teatrów, zespołów filmowych, radia i telewizji za samo znalezienie nie przewróconego jeszcze w grobie klasyka — gotowi są płacić bardzo poważne sumy. Warto stanąć do takiego konkursu, inna rzecz, że trudno wygrać, prawdziwych i nie używanych klasyków coraz mniej.

Konkursy, związane z nowymi formami przekazywania literatury, ceniłbym bardzo wysoko, ale właśnie ich jest mało. Dominują zdecydowanie konkursy ograne — na powieść, tom opowiadań i wiersze. Tak jest też i w Łodzi. Ostatni wojewódzki konkurs na powieść dużych rewelacji nie przyniósł, interesujące prace można na palcach jednej ręki policzyć. Z racji Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji nagradzamy poezję, to samo czyni Stowarzyszenie PAX podczas swojej Łódzkiej Wiosny Poetyckiej, w konkursie o Rubinową Hortensję czytamy znowu poezję, a mniej prozy. Zamiast tych rozstrzelonych, a nieco do siebie podobnych inicjatyw, warto postarać się o jeden przyzwoity i reprezentacyjny konkurs z dobrymi nagrodami. Z wydatkowanych dotąd sum dałoby się je bez trudu wygospodarować.

Łódź nie dorównuje takiemu — na przykład — Szczecinowi. Tam nagrody są trzykrotnie większe. U nas — 20 tysięcy za najlepszą powieść, u nich 60 tysięcy. Pod tym względem przewyższają Łódź także i Kielce. Ale nie jest to wzgląd najważniejszy, chociaż każdy woli ubiegać się o nagrodę wyższą. Rzecz w czym innym — kto się mianowicie ubiega, kto staje do konkursu? Obawiam się, że nie zawsze ci najlepsi, chyba że jest to konkurs zamknięty, skierowany do wybranych twórców.

Czytam powieści, tomy opowiadań, sztuki przeznaczone dla radia i telewizji, złożone z okazji konkursu kieleckiego. Kielce w ten sposób czczą 50-rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego. Czytam więc złożone prace, a jest ich prawie 60 i nie mogę się oprzeć smutnym refleksjom. Oczywiście — znajdzie się szereg książek godnych wysokiej nagrody, zwłaszcza powieści, lecz sztuki przeznaczone dla radia i telewizji prezentują się doprawdy żałośnie, jest to typowa amatorszczyzna, niekiedy nawet szlachetna, poczciwa, zatroskana i równocześnie kwalifikująca się do kosza. W ogóle procent rzeczy złych jest wysoki. Dlaczego tak się dzieje? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, przyczyn będzie z pewnością wiele. Wydaje mi się jednak, że ogarnięci manią konkursów, zatraciliśmy ich prawdziwy sens, one już nie zachęcają najlepszych, ponieważ każdy, dosłownie każdy może się uznać za dramaturga, czy powieściopisarza, kto tylko ma na to chęć. Dzisiaj w każdym już województwie i niektórych powiatach, jutro — jak tak dalej pójdzie — w każdej większej gminie. Następuje więc dewaluacja, im więcej łoży się pieniędzy i coraz częściej, tym mniejsze uzyskuje efekty. Jeden więc tylko nasuwa się wniosek — trzeba ochłonąć, papieru brak, któż te zawiedzione nadzieje zrealizuje, trzeba odzyskać wielką wartość współzawodnictwa artystycznego i każdego współzawodnictwa pomiędzy ludźmi.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

FILM

NAJLEPSZY ZE ŚWIATÓW

Autorem pomysłu filmu „SZCZĘŚLIWY CZŁOWIEK" jest aktor, Malcolm McDowell, film reżyserował Lindsay Anderson, za nimi stoi zaś tradycja literacka, która budzi nieuniknione skojarzenia raz to z wolterowskim „Kandydem", raz z „Tomem Jonesem" Fieldinga, raz z teatrem Brechta. Forma filmu Andersona okazała się niezwykle pojemna tak dla tradycji jak i współczesności. Opowieści o współczesnym Prostaczku służyć bowiem muszą współczesne realia. Toteż, przykładowo, muzykę, piosenki i songi stanowiące integralną część filmu powierzył reżyser Alanowi Price, założycielowi słynnego zespołu „The Animals". Bitowe przeboje, stanowiące komentarz przygód głównego bohatera filmu Micka Travisa, przez swą stylistykę, ale nade wszystko w kontekście tych przygód brzmieć będą tą samą tonacją szyderstwa i ironii. Najlepszy ze światów w filmie Lindsaya Andersona jawi się bowiem w kształcie satyrycznym, którego wyróżnikiem jest intensyfikacja obrazów, sytuacji wybranych, symbolicznych dla konstatacji o świecie szalonym, społeczeństwach zmaterializowanych i skorumpowanych, w których wartością jedyną, będącą celem i bodźcem jest pieniądz.

„Szczęśliwy człowiek" Andersona jest filmem, w którym nie o szeroką panoramę współczesnego świata chodzi. Reżyser dokonał jedynie wyboru kilku sytuacji modelowych, niezbędnych dla satyrycznej analizy zjawisk, postawionych w centrum uwagi. By nadać im cechy reprezentatywności, posłużył się ową wspomnianą wyżej metodą intensyfikacji, jej efektem stała się przyjęta konwencja, którą nazwać by można realistyczną baśnią. Fantastyka, humor i ironia wyrasta z sytuacji rzeczywistych i prawdopodobnych, lecz spotęgowanych absurdem, absurdem możliwym, bo zaledwie utajonym w tym, co na pozór normalne.

Mick Travis — „człowiek o uśmiechu budzącym zaufanie" kończy kurs agentów firmy sprzedającej na Wyspach Brytyjskich kawę. Jako agent wyrusza w swą wędrówkę ku wielkiej życiowej szansie. Absurdalne przygody Micka Travisa, będące huśtawką karier i porażek są tylko na poły fantastyczne. Wszystko w nich bowiem jest możliwe — i katastrofa w ośrodku nuklearnym i eksperymenty w chirurgicznej klinice, i ludzie, których na swej drodze napotyka. Ci, którzy ofiarowują mu wielką szansę i ci, którzy mu ją odbierają, ci, którzy ofiarowują mu miłość i miłosierdzie, i ci, którzy, zamieniają je w okrucieństwo. Możliwy jest też udział Micka Travisa w filmie Lindsaya Andersona o nim samym, bo twarz „człowieka, którego uśmiech budził zaufanie", można, gdzie jak gdzie, ale na użytek kina na powrót odzyskać. Tą autoironiczną klamrą kończy Anderson swój film, wielką wyspekulowaną w najdrobniejszym szczególe zabawę, w której jak w krzywym zwierciadle pozwala przyjrzeć się światu.

Uderzającą cechą najnowszego filmu Andersona, który w pamięci naszych widzów zapisał się zapewne swym znakomitym „Sportowym życiem", jest właśnie jego nieomal matematycznie wyliczona konstrukcja. Jest to film, którego logika i obfitość pomysłów podporządkowana została jego idei nadrzędnej — rozszyfrowaniu mechanizmów rządzących światem. Okazują się one niezwykle proste i stare tak, jak losy Prostaczków na wszystkich etapach jego dziejów. Pozór konstrukcji złożonej daje tylko otoczka cywilizacyjnego rozwoju, który służąc Prostaczkom wciąga ich w swe tryby, miażdżąc coraz okrutniej. Taka też jest konstrukcja „Szczęśliwego człowieka", w którym gorzki ironista Anderson jeszcze raz w swej artystycznej działalności dał świadectwo pełnej powagi wobec świata postawy. Była ona zresztą zawsze cechą tych, którzy drwili z porządku „najlepszego ze światów".

Uwagę tę należy jeszcze podeprzeć przypomnieniem filmu, który polskim widzom skojarzy się na pewno, gdy śledzić będą losy bohatera „Szczęśliwego człowieka". W historii polskiego kina jest film, którego twórcą był Andrzej Munk. Film ten nosi tytuł „Zezowate szczęście".

EWA NURCZYŃSKA

NIE UTOPIĘ SIĘ W „POTOPIE"

Już po potopie recenzji o filmie „Potop". Nawet Szwedzi zdążyli powiedzieć (w „Kulturze"), co myślą o inwazji Karola Gustawa na Polskę. Otóż oni nic o tym nie myślą i nie są do końca pewni, czy to czasem nie fikcja literacka polskiego pisarza. Jednym słowem potop ich obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg. Jeżeli kogokolwiek „Potop" może obchodzić, to tylko nas. Ciekawostka polega na tym, że „Potop" obchodzi nas przed pójściem do kina; po wyjściu z kina też nas przestaje obchodzić w większym jeszcze stopniu niż Szwedów. Natomiast zaczyna nas obchodzić, czy Hoffman nakręci „Ogniem i mieczem" czy nie. Osobiście wolałbym, żeby Hoffman „Ogniem i mieczem" nakręcił, bo jest to chyba jedyna szansa, żeby nauka nie poszła w las (w step?). Hoffman, kiedy zabierał się do kręcenia „Pana Wołodyjowskiego" nie wiedział jak wygląda żywy koń. Po „Potopie" wie już o koniach dużo. Może nadal niewiele wie o sztuce filmowej, ale o koniach wie zapewne więcej niż jakikolwiek inny polski reżyser. Wie też sporo o husarii i mentalności kobiet w XVII wieku. Szkoda, żeby te wiadomości poszły na marne, tym bardziej, że zdobywanie ich sporo kosztowało; wyszkolenie w tych kwestiach jakiegoś innego reżysera znowu pochłonie wiele czasu i pieniędzy. Z tych więc względów dobrze by było wykorzystać Hoffmana do końca i pozwolić mu na nakręcenie pierwszej części „Trylogii".

Dorobiliśmy się również jednego sprawnego aktora w postaci Daniela Olbrychskiego. Jego też trzeba wykorzystać i to czym prędzej, póki aktor, który gra Wołodyjowskiego nie zestarzeje się ostatecznie i nie roztyje tak, że będzie mógł grać tylko Zagłobę. Olbrychski powinien zagrać Bahuna, trzeba by go było tylko przefarbować na bruneta i kazać mu być miejscami Azją, a miejscami Kmicicem. Byłby może pewien kłopot z obsadzeniem Horpyny, ale zdaje się, że któraś z naszych piosenkarek mogłaby tej roli podołać.

Należałoby się również zastanowić jak wykorzystać aktorkę, która grała w „Potopie" Oleńkę Billewiczównę. Aktorka ta w scenie z Bogusławem ujawniła (przez mgnienie oka) ukryte rezerwy swego talentu, łyskając nagą piersią. Zrozumiałe, że nie mogła łyskać nią długo, bo po pierwsze — była dziewicą (a dziewica z obnażonymi piersiami to sprawa niepewna), a po drugie film Hoffmana, zalecony jest młodzieży szkolnej jako pomoc naukowa — za wiele więc prawdy w filmie być nie może, zwłaszcza tak oczywiście nagiej jak piersi bohaterki, która jest niejako sumieniem bohatera. Otóż można by tę aktorkę, która gra Oleńkę, wykorzystać w jakimś filmie współczesnym, w którym główny bohater miałby na imię Jędruś (aktorka ma już opanowane kwestie), a scenariusz tak byłby pomyślany, że grałaby ona tym razem nie cnotą, a ciałem. Film mógłby ostatecznie być od lat 18.

Wszystko co zaproponowałem odnośnie Hoffmana, Olbrychskiego i aktorki, która grała Oleńkę (cnotą ją jednak grała, oj, cnotą) jest dyktowane moją troską o należyte wykorzystanie rezerw i z takim mozołem nabytych umiejętności.

• • •

Uważam, że Olbrychskiemu robi się krzywdę mówiąc o nim „sprawny aktor". Słyszałem opinię, że gdyby Olbrychski nie był aktorem sprawnym fizycznie, to by nie udźwignął roli i film by się położył. Zapominamy, że Olbrychski jest aktorem młodym i do jego obowiązków (jako aktora) należy być sprawnym fizycznie, tym bardziej, że nie specjalizuje się on w odtwarzaniu sparaliżowanych starców, a w rolach bokserów, Hamletów, Rafałów i Kmiciców. Jeżeli szewc nam dobrze i w terminie naprawi buty, piejemy z zachwytu, jakiż to znakomity i wyjątkowy szewc nam się trafił. A przecież obowiązkiem szewca jest robotę zrobić dobrze i na czas. Jeżeli ekspedientka w sklepie nie warknie na nas, a z uśmiechem poda paczuszkę „Ulungu" i „krakersy", to czujemy się nieswojo i od razu gotowiśmy ją wybrać na Miss Grzeczności MHD. Jeżeli aktor (oczywiście polski) potrafi utrzymać się na koniu dłużej, niż 30 sekund, to zachwyceni jesteśmy faktem posiadania tak sprawnych aktorów i gotowiśmy postulować gremialnie kręcenie samych „końskich filmów". Zapominamy, że zawód aktora wymaga opanowania pewnego warsztatu tak samo jak zawód malarza, rzeźbiarza, grafika, piłkarza. Jazda na koniu jest składową tego warsztatu w przypadku aktorów, którzy chcą grać w filmach „końskich". A zapewniam, że na koniu można się nauczyć jeździć. Tak więc Olbrychski dlatego, że jest sprawny fizycznie, jest aktorem normalnym, a nie aktorem wyjątkowym. Stara się poznać tajniki warsztatu aktorskiego i dlatego gra tak jak gra. Gdyby Olbrychski mieszkał w Ameryce, być może specjalizowałby się w aktorstwie westernowym i jeździłby na koniu znakomicie, ale Olbrychski gra raz coś z Norwida, raz coś z Sienkiewicza i dlatego musi umieć i dobrze podać tekst i dobrze dosiadać rumaka. Sytuacja jego jest trudniejsza niż tamtych kowbojasów z Ameryki, ale może dlatego jako tako podołał roli Kmicica, a w każdym razie na tle innych aktorów występujących w tym filmie, nie pomijając przytłostego Wołodyjowskiego wypadł korzystnie.

• • •

Powrócę jeszcze do filmu „Potop". Otóż kilka rzeczy w tym filmie podobało mi się naprawdę. Podobało mi się na przykład podawanie przez aktorów tekstu. Aktorzy tak wypowiadali swoje kwestie, żeby młodzież zapamiętała z Sienkiewicza jak najwięcej. Bardzo słusznie — bawiąc uczymy. Szwedzi też wypowiadali jakieś kwestie, ale nie znam szwedzkiego, więc nie będę zabierał głosu w tej sprawie. Szczególnie wyraźnie kwestie swoje wypowiadali obaj Radziwiłłowie, pan Wołodyjowski, aktorka, która grała Oleńkę i Zagłoba, chociaż Zagłoba odrobinę sepleni. Podobała mi się też przemowa pana Wołodyjowskiego na koniu i w wodzie, jak gonili armię szwedzką.

Podobało mi się również zakończenie filmu, jak jakiś ksiądz odczytał w kościele streszczenie obu części filmu. Hoffman bardzo słusznie postąpił trzymając się w tym wypadku wiernie Sienkiewicza, bowiem film jest dwuseryjny, a więc długi i widz mógł zapomnieć pod koniec ostatniej serii, co było na początku pierwszej.

Trudno mi się również zgodzić z opinią, że film tak jest skonstruowany, że wynika z niego, iż Szwedów „załatwili": Kmicic-warchoł, ksiądz Kordecki i cnota Oleńki. A górale?

ANDRZEJ GRUN

KSIĄŻKA

ANTONINA SOKOLICZ

Dorota Chróścielewska podjęła się pracy pionierskiej, tropiąc życie i twórczość Antoniny Sokolicz. Bo w końcu któż dotąd wiedział, kim była i co reprezentowała ta lewicowa pisarka, aktorka i działaczka społeczna? Dość nawet szczegółowa notka w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej nie załatwiała sprawy. Powieści Antoniny Sokolicz nie były wznawiane (poza wydanymi w 1958 roku „Porywami"), wiele jej publikacji rozproszonych jest po trudno dziś dostępnych czasopismach, o jej aktorskim epizodzie życia nie wspomina nawet przywołana tu — Encyklopedia Powszechna.

Musiała więc Dorota Chróścielewska przekopać się przez roczniki międzywojennych pism, kalendarzy, afiszów teatralnych... Penetrowała także Centralne Archiwum KC PZPR, pytała ludzi, którzy Antoninę Sokolicz znali.

Z tej pracy badawczej narodziła się książka o skromnym podtytule „Kartki z życia i twórczości", choć sądzę, że publikacja Doroty Chróścielewskiej jest możliwie pełnym zapisem życia i działalności Antoniny Sokolicz. Chróścielewska zresztą prostuje w swojej książce szereg nieścisłości i przeoczeń, bo o Sokolicz pisano także i wcześniej, często jednak były to publikacje dalekie od ścisłości.

Pisze Dorota Chróścielewska: „zadaniem niniejszej pracy jest sprostowanie w miarę możliwości wszystkich poważniejszych omyłek Szulkina (autor wydanej w 1955 roku broszurki o Antoninie Sokolicz), a jednocześnie dokładniejsze prześledzenie twórczości Sokolicz".

Wokół postaci pisarki — twierdzi nie bez racji Chróścielewska — narosło szereg krzywdzących tę wybitną komunistkę, działaczkę i ciekawą pisarkę niedomówień i przemilczeń.

Antonina Sokolicz związała się bowiem w latach 1905—1917 z Frakcją Rewolucyjną PPS, co później mocno zaważyło na stosunku do niej i na ocenie jej działalności.

Pisarką z pewnością nie była wybitną, jej powieść „Cysarskie cięcie" (WEP podaje błędny tytuł) została dość jednomyślnie zjechana przez krytykę. Ale, pomijając już nawet fakt, że była to najsłabsza powieść Sokolicz — „Cysarskie cięcie" stanowi pierwszą w polskiej literaturze próbę pokazania w sposób niezwykle odważny kwestii chłopskiej w powstaniu 1863 r. I choć dziś z pewnością docenia się pionierski charakter tej książki, to przecież jest ona — poza kręgiem specjalistów — zupełnie nie znana, nie doczekała się wznowienia.

Los zrządził, że najlepsza bodaj (i jedyna wznowiona po wojnie) powieść Antoniny Sokolicz „Porywy" ukazała się na parę tygodni przed wybuchem II wojny światowej — nic więc dziwnego, że przeszła bez echa, świat miał wtedy poważniejsze problemy. Niewiele też pewnie egzemplarzy tego wydania przetrwało wojnę i okupację. Drugie wydanie „Porywów" z roku 1958 także przeszło bez większego echa — z innych już powodów. Nieliczne omówienia natomiast zawierały błędy i nieścisłości.

Z książki Doroty Chróścielewskiej wyłania się piękna postać działaczki i pisarki, człowieka czynu. Charakterystyczna jest postawa Antoniny Sokolicz w latach okupacji. Zagrożoną aresztowaniem brat wywozi z Warszawy gdzieś daleko w Miechowskie. Ale Antonina Sokolicz nie może znieść bezczynności. Pisze wówczas w liście: „Muszę znaleźć w sobie siły na odzyskanie równowagi wewnętrznej (w połowie lipca 1941 zmarł mąż pisarki — przyp. J.W.), bo wszak mój ból nie zwalnia mnie z obowiązku pracy dla idei. Muszę, muszę być użyteczną i użyć te trochę czasu, który mi pozostał do życia — dla żywych, dla tych, co po nas przyjdą".

Więc wróciła do Warszawy. Kiedy powstała Polska Partia Robotnicza Antonina Sokolicz ożywiła się, napisała memoriał w sprawie programu partii, dyskutowała z towarzyszkami. Niestety, w kwietniu 1942 roku aresztowało ją gestapo. Na Pawiaku przebywała do listopada, wywieziona do Oświęcimia zmarła 20 grudnia. Miała wówczas 63 lata.

„W świecie twardych ludzi" — taki tytuł dała swej książce Chróścielewska, parafrazując tytuł powieści — reportażu Antoniny Sokolicz, utworu, którego akcja rozgrywa się w ZSRR w latach pierwszej pięciolatki. Antoninie Sokolicz przyszło żyć w czasach trudnych i dramatycznych. Urodzona w kilkanaście lat po Powstaniu Styczniowym, wychowana w atmosferze kultu dla tego powstania, zmarła w latach najstraszniejszej z wojen. Żyła w świecie twardym i bezwzględnym. Była jedna z piękniejszych postaci łódzkiej lewicy. I dobrze się stało, że Dorota Chróścielewska ocaliła od zapomnienia tę postać, że wydobyła z zakurzonych roczników starych pism tę garść szkiców, rozpraw i fragmentów prozy pisarki, która swój talent i swoją pasję oddała w służbę idei.

JERZY WILMAŃSKI

Dorota Chróścielewska: „W świecie twardych ludzi". Kartki z życia i twórczości Antoniny Sokolicz. Wyd. Łódzkie, cena 24 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

REFLEKSJE PO „PANORAMIE"

O kulturze Łodzi przez całe lata mówiono tonem protekcjonalnym i pobłażliwym. Bo to przecież wielkie, biedne i pracowite miasto, któremu, oczywiście, wszyscy są wdzięczni za jego trud — ale co najwyżej mogło dobra kultury konsumować. Ale tworzyć? Tego przecież od tej biednej, zapracowanej Łodzi nie można wymagać!

A jednak ta zapracowana Łódź nieraz w swoich dziejach zaskakiwała dokonaniami twórczymi na wielką skalę. W okresie międzywojennym była to grupa a.r., kolekcja sztuki nowoczesnej, ambitne i cenne, choć efemeryczne czasopisma „Meteor", „Wymiary".

Po wojnie zaś, choć w końcu lat czterdziestych opuścili Łódź prominenci kultury, powstał tu niezwykły model zaangażowanego teatru Kazimierza Dejmka, potem zaś zrodziła się znakomita grupa łódzkich malarzy realistów. A jeszcze wcześniej rozwijał tu działalność Władysław Strzemiński i Katarzyna Kobro.

Mimo to nadal Łódź traktowano jako ociężałego molocha pracy, który — jeśli tylko kultury nieco liźnie — to już będzie dobrze i więcej nie można wymagać.

Dlatego z ogromną satysfakcją obserwowałem reakcję stolicy i reszty kraju na program kultury i sztuki tego miasta, prezentowany w ramach „Panoramy Trzydziestolecia". Opinia całego kraju raz jeszcze została zaskoczona.

Bo oto spektakl „Kubusia Fatalisty" i kreacje aktorskie łódzkich artystów stanęły w jednym rzędzie z renomowanymi inscenizacjami stolicy. Bo oto zaskoczyły wszystkich dojrzałe propozycje artystyczne łódzkich plastyków. Bo oto na wystawie książek Wydawnictwa Łódzkiego okazało się, że tu wydawano pierwsze w kraju serie „Biblioteki Poetów", że tu wyszła głośna potem książka Wilhelma Macha „Życie duże i małe"...

A więc sukces? Tak, ale nie zawrót głowy, jak to sformułował w „Dzienniku Łódzkim" Jerzy Katarasiński. Bo przecież — przypomina publicysta — mimo bezspornego sukcesu „Panoramy", nie można się oprzeć refleksji, że przy większej sprawności wielu instytucji można go było osiągnąć mniejszym wysiłkiem. O ograniczonej sprawności wielu instytucji kulturalnych świadczą także doświadczenia wyniesione z czysto już roboczych przygotowań do „Panoramy", kiedy to, jak szydło z worka, wychodziła często nieudolność, nierzadko „spychotechnika", nierzadko niechęć do podejmowania decyzji w sprawach najbardziej błahych.

Oczywiście doświadczenia łódzkiego publicysty są doświadczeniami jednego z organizatorów — ludzi tkwiących na miejscu w Warszawie, w wirze spraw. My natomiast, obserwujący „Panoramę" na odległość, my, czytający relacje prasy centralnej, odbieraliśmy „Panoramę" bez tych codziennych spraw i kłopotów. Po prostu widzieliśmy scenę, nie widząc kulis. Dobrze jednak, że i o kulisach mówi się otwarcie, kiedy już łódzką prezentację mamy za sobą.

Na tym tle humorystycznie zabrzmiał głos „Słowa Powszechnego", które, jak to się mówi, też „chciało dobrze", ale po prostu umiejętności nie stało. Dawno już nie czytałem tak niechlujnej i bałaganiarskiej publikacji.

Dla rozbawienia słuchaczy sprawę warto bliżej omówić. Otóż gazeta ta ni w pięć ni w dziewięć pisze, iż artysta malarz Henryk Stażewski (pisany, nie wiedzieć czemu, przez „rz") aktualnie tworzy w Łodzi, choć wiadomo, że terenem działania tego twórcy i teoretyka sztuki jest raczej Europa niż Łódź. Poza tym dowiadujemy się, iż w Łodzi tworzy malarz o nazwisku wieszcza Adama — Mickiewicz. Prawdopodobnie chodzi to o Konstantego Mackiewicza, artystę na tyle znanego, żeby go z wieszczem nie mylić.

Pisarce Zofii Lorentz zmieniono w publikacji „Słowa Powszechnego" płeć, Wacławowi Bilińskiemu zmieniono natomiast nazwisko. Dobrze zresztą, że tylko na tym się skończyło.

Najciekawszą opinię „Słowa Powszechnego" zostawiłem na koniec. Otóż czytamy: „Twórczością artystyczną — Łódź ma jak widać poczucie humoru — zajmują się Safrin, Fijas, Konowicz i Sikirycki". Oczywiście — zajmują się, ale nie jest w Łodzi, aż tak źle, że trzeba tu mieć poczucie humoru, aby się zajmować twórczością artystyczną.

W sumie — kosmiczny bełkot, niechlujstwo i brak kompetencji. Przytaczam tę „panoramiczną" wpadkę „Słowa Powszechnego" nie dla pustej rozrywki jedynie. Myślę bowiem, że warto czasem naszej łódzkiej publiczności uświadomić, że jest coś gorszego niż partykularyzm łódzki.

Jest to partykularyzm stołeczny, charakteryzujący się nonszalancją i ignorancją w ocenie wszystkiego, co się dzieje „gdzieś w Polsce".

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

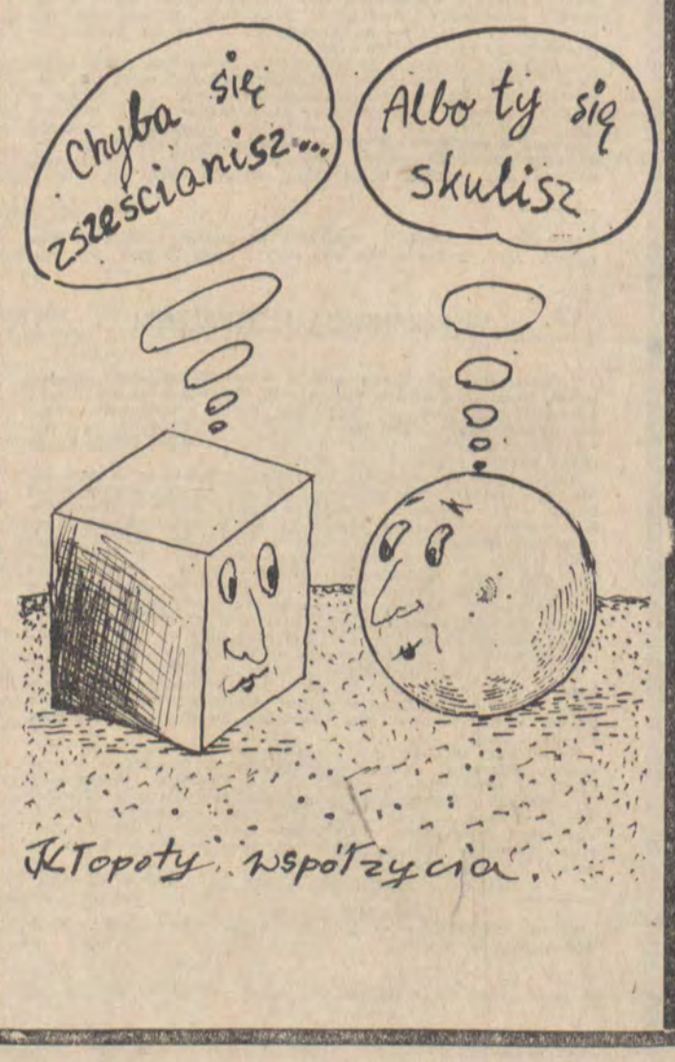

Dalszy ciąg ze str. 16

23 STOPNIE W DÓŁ

Dokładniej mówiąc — zakończył nie naukę, a cykl wykładowy. Pozostały jeszcze ćwiczenia praktyczne. Podobały się one następcy tronu znacznie bardziej i trwały dłużej. Przebywał na poligonach wojskowych w pobliżu stolicy (najczęściej pod Carskim Siołem), dwa lata spędził w Pułku Preobrażeńskim początkowo jako subaltner-oficer (młodszy oficer w kompanii — przyp. tłum.), potem dowódca kompanii, następnie jeszcze dwa sezony w pułku huzarów jako dowódca plutonu i szwadronu. Miarą osiągnięć było dowodzenie batalionem w stopniu pułkownika.

Spędził ten czas bardzo przyjemnie. Pod komendą swojego wuja Siergieja Aleksandrowicza, dowodzącego Pułkiem Preobrażeńskim, w towarzystwie Neugradta, von der Palena i braci Witgensteinów poznał uroki popijaw i miłosnych podchodów, co było dla niego rodzajem drugiego, równoległego uniwersytetu. Koronnymi punktami tego programu oświatowego była zabawa „w wilki" oraz picie „arszynami" i „schodkami".

Pod jesień 1894 roku, kiedy zaczął odchodzić z tego świata Aleksander Aleksandrowicz, oczom Rosji objawił się jego następca: mocno zanglizowany młody człowiek, na pierwszy rzut oka skromny, aż do nieśmiałości, o nienagannych manierach, z biegłą znajomością angielskiego i nieco wytężoną — rosyjskiego (plus dziwny, tzw. gwardyjski akcent), na poziomie umysłowym średniego oficera huzarów.

Aleksander III umierał siedząc w fotelu na tarasie Liwadijskiego Pałacu. Dwie godziny przed śmiercią wezwał do siebie swojego następcę i rozkazał mu, aby ten podpisał manifest do ludności imperium mówiący o wstąpieniu na tron.

Było to **20 października 1894 roku.**

Dziesięć dni po śmierci ojca Mikołaj II pokazał się na pierwszym przyjęciu w wielkim Pałacu Kremlowskim, potem w Georgijewskiej Sali. Zapis w dzienniku: „Tego ranka wstałem strasznie zemocjonowany". Mówcę zjadała trema. Narzeczona zażądała, aby wziął się w garść. Pod jej czujnym okiem, zgodnie z dziennikiem „o 9.45 rano wypowiedziano mowę". Nie zdarzyło się nic szczególnego. Odbył się paradny przemarsz z pałacu do Uspieńskiego Soboru. W dzienniku z ulgą zanotowano: „Wszystko to, chwała bogu, przeszło szczęśliwie". (Dziennik Mikołaja Romanowa Zeszyt 1894 r.) Nie tak gładko przeszła następna ceremonia, odbyta w Pałacu Aniczkowym w Petersburgu (17 stycznlia 1895 r.). W wielkiej sali zebrali się delegaci szlachty, ziemiaństwa, i miast. Mikołajowi i tutaj wypadało przemówić. Pobiedonoscew przygotował dla niego mowę, która miała być odpowiedzią dla liberalizujących ziemian, marzących o pewnych burżuazyjnych swobodach.

Kartkę z napisanym wielkimi literami tekstem wtożono do czapki oratora. O drugiej po południu wszedł on na trobowe podwyższenie, obwiódł spłoszonym spojrzeniem salę i zerawszy się w sobie jakby z rozbiegu rzucił się wpław przez karteluszek. „Widziałem wyraźnie — opowiadał pewien ziemianin — jak po każdej frazie opuszczał oczy w dół, w czapkę, tak samo, jak robiliśmy to w szkole, kiedyśmy niezbyt dobrze umieli lekcję". Zerkając do czapki mówca powiedział: „Jest mi wiadome, że w ostatnich czasach na niektórych zebraniach właścicieli ziemskich podnosiły się głosy ludzi przejętych bezmyślnymi marzeniami o uczestnictwie przedstawicieli ziemiaństwa w rządzeniu... Niech więc wszyscy wiedzą, że ja, poświęcając wszystkie siły dla dobra narodu, będę strzec zasad samodzierżawia tak samo twardo i nieustępliwie jak to robił mój niezapomniany nieboszczyk ojciec".

Na karteczce było słowo „nierozsądne". Młody car pomylił się w tekście i powiedział „bezmyślne" i to uczyniło mowę „historyczną". Kiedy Mikołaj podniesionym tonem krzyknął o bezmyślnych marzeniach, jego małżonka, w tym czasie słabo jeszcze rozumiejąca rosyjski, zapytała stojącej obok frauliny „Czy coś się stało? Dlaczego on krzyczy?" Na to fraulina odpowiedziała wystarczająco głośno, aby to usłyszeli delegaci: „Wyjaśnił im, że są idiotami".

c.d.n.

Tłumaczył:
MAREK WAWRZKIEWICZ

* * *

Cornelius Ryan, autor książki „The Longest Day" (Najdłuższy dzień), traktującej o lądowaniu aliantów w Normandii w 1944 roku, zbierając materiały przeprowadza wywiady z żyjącymi uczestnikami operacji. W jakiś czas po ukazaniu się książki otrzymał on następujący list od pewnej Angielki.

„Osłupiałam, gdy przeczytałam Pański wywiad z sierżantem- -. Gdzie on się podziewa? Jestem jego żoną i nie widziałam go od czasu inwazji. Proszę mu powiedzieć, że jeśli nie da znaku życia, to i tak dopadnę go jak królika. On, odważny i śmiały? Ja go „ośmielę!" Jeśli ma taką dobrą pamięć to proszę go spytać czy jeszcze pamięta, że ma żonę?"

Okazuje się, że czasem łatwiej jest stanąć oko w oko z uzbrojonym nieprzyjacielem niż z sobie poślubioną małżonką.

* * *

Ryan opisuje również naradę wojenną zwołaną z inicjatywy Churchilla dla przedyskutowania terminu inwazji. Kiedy wyjaśniono sławnemu mężowi stanu, w jak poważnym stopniu lądowanie uzależnione jest od pogody, a więc i pory roku, ten znienacka zapytał w jakiej porze roku wylądował w Anglii Wilhelm Zdobywca. Zapadło kłopotliwe milczenie, bo nikt z obecnych nie pamiętał, że lądowanie nastąpiło 28 września 1066 roku (a więc w porze, gdy wody Kanału coraz częściej są wzburzone. Churchill był jedynym wśród dowódców alianckich, który pomyślał o tej historycznej paraleli. On także zauważył, że alianci planowali wylądować dokładnie w tym miejscu, gdzie prawie 900 lat wcześniej Wilhelm Zdobywca zebrał swą flotę, aby wyruszyć na podbój Anglii, to znaczy w zatoce Sekwany. Na szczęście Niemcy o tych historycznych związkach nie pomyśleli.

Opracował: B.K.

CZY WIECIE, ŻE...

JACEK BROMSKI

„PIOTRUŚ? TY MOŻESZ WEJŚĆ"

Fot. Tadeusz Pruszek

Małgośka, Marianna ruda, Ludwisia, woziwoda, pan chief, konik, kaczuszka, kanarek — plejada bohaterów, którzy weszli do naszego życia nachalnie, wbrew naszej woli, posługując się osobliwym pojazdem — chwytliwą melodią, której fale radiowe otwierają wszystkie bramy. Na plaży, w tramwaju, w kawiarni, na ulicy — wszędzie jesteśmy narażeni na ekspansję infantylnych bohaterów i infantylnych fabułek, które, im bardziej bezmyślne, tym mocniej tkwią w naszej podświadomości, denerwując nas zarówno swoją głupotą, jak i tym, że nie sposób się od nich uwolnić.

Nie jest łatwy żywot polskiego tekściarza. Z jednej strony — ataki zazdrosnych, że pieniądze duże, a wkład pracy i zasługi — żadne. Z drugiej strony — niepewność jutra, specyfika rynku i poziom przeciętny niski, zagrożenie ze strony każdego niemal amatora, który już jutro stać się może groźnym konkurentem. Z jednej strony obiektywne trudności warsztatowe, z drugiej — olbrzymie walory propagandowe piosenki, jakże w porę zauważone przez czynniki determinujące życie kulturalne w naszym kraju.

Język — zasób słów o określonym znaczeniu. Słów, które trzeba dobierać kierując się czterema kryteriami: sensem, metryką, melodyką i asonansem. Język polski stwarza ogromne, dodatkowe trudności. Ciężko ułożyć tekst do melodii zorientowanych na światową modę. We współczesnej muzyce rozrywkowej dominuje rock — a więc krótka fraza, zakończona przeważnie rymem męskim. I jak tu napisać piosenkę świeżą, niebanalną i z sensem? Tym bardziej, że ilość rymów męskich jest ograniczona. Znam tekściarza, zresztą jednego z najbardziej wziętych, który wszystkie rymy męskie spisał sobie w zeszyciku: często do niego zagląda. Ale ile tego jest? Zaledwie dwie strony.

Na całym świecie popularne piosenki napisane są językiem potocznym, a nawet gwarą — argot, slangiem, pełnym gramatycznych błędów językiem amerykańskich Murzynów. Zasób słów w tych gwarach jest niewielki, co zwiększa ich wieloznaczność. Język polski jest szalenie precyzyjny, co z jednej strony może być powodem do dumy, z drugiej jednak, przy ograniczonej zawartości słów „śpiewnych" w języku potocznym zmusza do wielokrotnego używania tych samych lub podobnych zestawów słownych, wyświechtanych przez to i banalnych. Gwarą znów pisać u nas nie można. Żargon to sub-język, określenie pejoratywne, już sama nazwa nosi w sobie zabarwienie pogardliwe, gdy tymczasem wszyscy paryżanie, bez względu na pochodzenie społeczne czy wykształcenie mówią argot, a wszyscy Amerykanie slangiem

Z fabułą też nie jest najłatwiej. Nośność i szeroki zakres oddziaływania piosenki stwarzają pokusę wykorzystania jej jako narzędzia propagandy. I to nie tylko w wielkim, państwowotwórczym pojęciu. Konkursy na piosenki popularyzujące coś tam ogłaszają powiatowe miasteczka, Komenda Straży Pożarnej, saperzy, Toto-Lotek i Ziemia Nowosądecka. W eterze roi się od niedbale rzucanych haseł: „Nie masz, jak to w Ciechanowie", „Do woja marsz, do woja", „Trafię szóstkę, kupię bluzkę", „Bo strażacy chłopy są na schwał" (o czym zresztą już przed wojną wiedziała każda kucharka).

Paradoksalną sytuację w polskiej piosence stworzyła kilka lat temu światowa moda na protest-songi. W falę międzynarodowej kontestacji włączyła się również młodzież polska, odpowiadając na hasło Niebieskich-Czarnych: „młodzież polska śpiewa polskie piosenki". Tak więc przeszczepiono w nie zmienionej formie zachodnie trendy pop-kultury, opatrując je polskimi, zrozumiałymi na nieszczęście tekstami. Nie były to więc piosenki polskie, a tylko piosenki śpiewane po polsku, w których Czesław Niemen przestrzegał: „nie bądź taki bitels", a Stanisław Guzek wzruszał się, że „te bomby lecą na nasz dom". Nieprawda, wcale nie na nasz.

Ogólnie rzecz biorąc, we współczesnej piosence polskiej dominuje brak konkretu. Brak anegdoty, zarysowanej fabuły, puenty. Teksty traktuje się jako słowa do śpiewania. Coś się więc tam snuje, jakieś ptaki odlatują, inne znów przylatują, śpiewa las, jesienny pejzaż, gęsi, kormorany, noc jest inna, a dzień znowu taki sam. Nawet najambitniejsi twórcy w produkcji masowej obniżają loty. Kondratowicz wymyślił „dziewczynę i pejzaż" i jedzie na tym już parę lat. To pejzaż miasta, to wiklinowa ballada, to szumiące topole, a wszędzie kawałek dziewczyny. Młynarski poza kabaretem nadużywa kabaretowych rekwizytów: „lampa na ścianie, i krzesło i drzwi, wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał." Kofta niefrasobliwie każe Andrzejowi Dąbrowskiemu głaskać lwa pod włos. Osiecka stosuje transakcentacje żeby zadać głębokie pytanie: „Rafael, Rafael, czy ty masz w życiu cel?" Sipińska — Maria któryś już sezon chodzi w tym samym płaszczu. Co słabsi ratują się nastrojem. Ale liryka plus liryka równa się liryka zdewaluowana. Chorążuk, Szop i inni pławią się w niekonkretnym filozofowaniu: „wiatr na niebie pisze deszczem mój testament, dni przede mną i dni za mną takie same". Zbyt rzadko zdarza się, że piosenka zachwyci wszystkich, że powstanie małe dziełko słowno-muzyczne w rodzaju „Małgośki". Zbyt rzadko wysiłki tekściarzy wychodzą poza szlagwort. A zbyt dobre mamy piosenki kabaretowe, musicalowe, te, w których konkretna fabuła jest warunkiem sine qua non, aby zadowolić się słabym poziomem piosenki popularnej.

Nic więc dziwnego, że ambitniejsi wykonawcy i kompozytorzy sięgają często do poezji. Kurylewicz, Niemen, Sławiński, Konieczny i wielu innych piszą muzykę do wierszy Tuwima, Baczyńskiego, Słonimskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Leśmiana, Norwida, Staffa, Gałczyńskiego, Broniewskiego, Ronsarda, Szekspira, Iłłakowiczówny, Szymborskiej, etc., etc. Ale im przynajmniej serduszko nie puka w rytmie cza-cza.

Jacek Bromski STORY

POWIĘKSZENIA

BIOMETEOROLOGIA

„Express Ilustrowany" donosi: **„Warunki biometeorologiczne korzystne z tendencją do pogorszenia się".**
Czyli — sytuacja dobra, ale nie beznadziejna.

BRZECHWA, KOBRYŃCZUK I... BOY...

Parę pokoleń czytelników zna zabawny wierszyk **Jana Brzechwy „Żuraw i czapla"**, o tym, jak to żuraw chciał się ożenić z czaplą, ale ona nie chciała, potem chciała czapla, ale nie chciał żuraw i:

„Tak już chodzą lata długie
Jedno chce — to nie chce drugie".

Pozazdrościł **Janowi Brzechwie** p. **Franciszek Kobryńczuk** i nie wiadomo po co, napisał ten wiersz raz jeszcze, a **„Świerszczyk"**, nie wiadomo po co, wydrukował.
W wersji p. Kobryńczuka matrymonialne perypetie dotyczą dzieciola i sroki, poza tym chodzi o to samo, tyle, że gorzej napisane. Zakończenie natomiast przypomina znany wierszyk... Boya:

„Tak się ciągnie ten ambaras
bo oboje nie chcą na raz".

Jedno jest pewne, P. Kobryńczuk ma rozległe lektury.

BESTSELLERY

Obok **„Potopu"**, który wyświetla się w czterech kinach Łodzi, szykują się nowe bestsellery filmowe. Na ostatnim Festiwalu Filmów Dydaktycznych laury zdobyły m. in. takie obrazy, jak **„Wypełnianie ubytku zęba amalgamatem srebra"**, **„Zwarcia doziemne w liniach średniego napięcia na słupach oraz „Przeszczepianie podśluzówkowe moczowodów u dzieci"...**

MAGAZYN ODGŁOSY

TADEUSZ GICGIER

FRASZKI

DUSZA

Ma duszę czystą jak śnieg
zgarnięty na jezdni brzeg.

DO WIATRU

— Co robić, wietrze, proszę, radź!
— Wiać.

DAR NIEBIOS

Otrzymał w darze
dwie różne twarze.

DRABINA SPOLECZNA

Jeden forsuje po kołku kołek,
a drugi wchodzi na stołek.

DROGO

Drogo sprzedał swoje życie:
żyje mu się znakomicie.

DLA KONIA...

Dla konia najwyższa chwała
nosić imię Bucefała.

DOBRE

Dobre i Madeja łoże,
kiedy na nim dziewczę hoże.

DWUGŁOS

— Będziemy razem dzielić radości i kłopoty...
— To ja wezmę te pierwsze, ty weź drugie, mój złoty.

DLUGA NOC

Nad ranem
przestał był profanem.

DOLA

Taka już męska dola nie najlepsza,
że zwykle pierwsza to pierwsza lepsza.

Nie tylko w naszym kraju, ale właściwie na całym świecie poszukuje się nowych materiałów budowlanych i wypróbowuje nowe sposoby budowania dla zapewnienia milionom ludzi o niezbyt wysokich zarobkach stosunkowo tanich mieszkań. Wprowadzanie nowych technologii ma również na celu wydatne skrócenie czasu budowy domów, ponieważ od dawna zapotrzebowanie na mieszkania znacznie przekracza możliwości budownictwa. Często także zachodzi konieczność szybkiego zapewnienia schronienia tysiącom rodzin dotkniętych klęskami żywiołowymi, takimi jak powodzie i trzęsienia ziemi.

DOMY Z PAPIERU

Ciekawe rozwiązanie w tej dziedzinie proponuje amerykańska firma z Pennsylwanii — Universal Papertech Corporation: budowanie domów z papieru! Nazwa materiału nie jest właściwie całkiem stosowana, jeśli zważyć na siłę i wytrzymałość tego materiału konstrukcyjnego używanego przez firmę.

Pomysł budowy domów z papieru narodził się kilkanaście lat temu, a około osiem lat temu pojawiła się pierwsza partia domów, które znalazły zastosowanie jako tymczasowe pomieszczenia dla kilku tysięcy robotników sezonowych w Kalifornii.

Elementy domów spina się klamrami. Trzech robotników może dokonać montażu w ciągu pięciu godzin po wybudowaniu fundamentu.

Obecnie, po kilku latach używania papierowych domów, ocenia się ich żywotność na 15 do 20 lat, w każdych warunkach klimatycznych. Poza Stanami Zjednoczonymi, domy te wzbudziły zainteresowanie władz Nigerii, Libii, Zambii i Wybrzeża Kości Słoniowej.

Najnowsze modele domów produkowane są ze specjalnej karbowanej i impregnowanej chemicznie tektury zwanej „unikraft". Po pokryciu na zewnątrz warstwą żywicy i włókna szklanego, tektura osiąga wystrzymałość około 800 kilogramów na cal kwadratowy. Wewnątrz, farba na ścianach i suficie wytrzymuje temperatury do 1.000 st. C. „Unikraft" jest wodoodporny i chroni przed szkodnikami i robactwem.

Podstawowa jednostka mieszkalna o wymiarach około 6 na 6,5 metra waży tylko około 180 kilogramów, a kosztuje 950 dolarów Licząc od momentu ukończenia budowy tradycyjnych fundamentów, trzech robotników może zmontować cały dom w ciągu pięciu godzin. Ponieważ elementy do montażu mają standardowe wymiary, można dowolnie dom powiększać i ustawiać.

Wielu specjalistów przewiduje wzrost popularności tego rodzaju budownictwa. Pominąwszy stosunkowo niski koszt samej budowy, prostota konstrukcji jest szczególnie atrakcyjna dla tych wszystkich, którzy chcą budować swoje domy sami, a nie mają do tego odpowiedniego przygotowania fachowego ani też koniecznych a niejednokrotnie drogich narzędzi.

Opracował B. K.

Po wybudowaniu domu pokrywa się go warstwą włókna szklanego i żywicy.

MARK KASWINOW

23 STOPNIE W DÓŁ

Obszerne fragmenty nie wydanej jeszcze książki MARKA KASWINOWA zostały opublikowane w 7, 8, 9 i 10 n-rze miesięcznika leningradzkiego „ZWIEZDA" z 1973 r. Ta dokumentalna opowieść jest — ogólnie mówiąc — historią pierwszego i ostatniego okresu panowania i życia Mikołaja II Romanowa i jego rodziny.

Przekładając fragmenty tej pracy zrezygnowałem z tych partii, które mówiły o powszechnie znanych faktach historycznych, skupiłem się tylko na tym, co bezpośrednio dotyczy ostatniego rosyjskiego cara.

Niniejsze wyjątki — to zaledwie około jednej piątej całej publikacji ze „Zwiezdy"; publikacji — trzeba to powiedzieć — pasjonującej. Ze względu na konieczność poważnych skrótów musiałem zrezygnować z części przypisów. Niektóre śródtytuły pochodzą ode mnie.

I

Początek

W wieku lat dwudziestu sześciu Mikołaj Aleksandrowicz Romanow został kolejnym, osiemnastym carem z dynastii Romanowych (licząc od moskiewskiej intronizacji tego rodu), władał zatem 23 lata. Ironia dziejów sprawiła, że niemal w przeddzień upadku dynastii on właśnie, w 1913 roku, organizował uroczystości ku czci jej trzechsetlecia.

Wbrew opinii niektórych Mikołaj II nie był ani jedynym, ani głównym sprawcą krachu dynastii. Ale jest prawdą, że miał w historii tego krachu swój spory udział.

Po swoich przodkach ze strony ojca nie odziedziczył niczego szczególnie wybitnego. Niewielu z nich zmarło zwykłą śmiercią normalnych ludzi: z siedemnastu carów Romanowych, którzy panowali przed Mikołajem II mniej więcej naturalną śmiercią zmarło dwoje lub troje. Ojciec ostatniego cara, Aleksander III umarł stosunkowo młodo (49 lat) prawdopodobnie na skutek ran, które odniósł w katastrofie kolejowej pod Charkowem i przewlekłej choroby nerek. Skłonności do alkoholu odziedziczone po ojcu pogłębiły — wg słów współczesnych — „ukryte w głębi duszy Mikołaja Aleksandrowicza okrucieństwo i obojętność na cudze nieszczęście, tak charakterystyczne w ogóle dla Romanowych". Pewne cechy odziedziczył po matce, duńskiej księżniczce Dagmarze: mały wzrost, skrytość, zdolność patrzenia na przedmiot nienawiści łaskawymi, dobrotliwymi, niemal zakochanymi oczyma.

Jako następca tronu wiele lat spędził w zorganizowanym dla niego domowym uniwersytecie. W skład grona pedagogicznego stworzonego dla następcy tronu weszli: Bunge, Leer, Stubendorf, Puzyriewski, Zamysłowski, Beketow, a także generał Daniłowicz. Kierował tym gremium Pobiedonoscew.

Dwanaście lat pracowało kolegium nad rozwojem intelektu i dobrego smaku następcy tronu, Mikołaja. Głównym przedmiotem wykładanym przez Pobiedonoscewa był dogmat o pochodzeniu od Boga samodzierżawia, o nieograniczoności władzy carskiej. Takiego spojrzenia na wychowanie syna wymagał sam Aleksander III.

Przez pierwsze osiem lat następca tronu przechodził prawie normalny kurs gimnazjum — jeśli nie liczyć skreślenia z programu języków klasycznych, położenia nacisku na angielski, francuski, niemiecki oraz na tzw. historię polityczną. Ostatnie lata były przeznaczone na „naukę wyższą" z naciskiem na sprawy wojskowe: Leer wykładał historię wojen, Beketow — cnemię, Kimi — fortyfikację, Stubendorf — topografię, Bunge — statystykę i ekonomię polityczną. Szczególne miejsce zajmował w tej szkole Mister Geet, lub, jak nazywano go w pałacu, Karl Osipowicz — nie tyle wykładowca, ile guwerner. Od najwcześniejszych lat przyzwyczaił on swojego wychowanka do posługiwania się angielskim zamiast rosyjskiego, w związku z czym Mikołaj łatwiej wypowiadał się właśnie w języku angielskim, a jego język ojczysty przypominał dosłowny przekład z angielskiego. O kształcenie jego smaku i wiedzę o rosyjskiej literaturze troszczono się bardziej niż skromnie.

Profesorom wszystkich przedmiotów zabroniono zadawać pytania uczniowi, on sam nie miał ochoty o nic pytać: dlatego stopień przyswojenia przez niego wiedzy był zagadką nawet dla Pobiedonoscewa.

Widoczne jednak było, że ucznia w czasie lekcji często męczyła nuda. Sam zresztą pisze o tym w dziennikach z tych lat: „miałem zajęcia z Leerem, prawie zasnąłem...", „Wstałem późno, czym obciąłem Leerowi jego dwie godziny..." Lekcje działały na niego jak środki nasenne: „Popadłem w swojego rodzaju chorobę — śpiączkę, tak, że w żaden sposób nie mogą mnie dobudzić"... Ale nic nie trwa wiecznie i nadchodzi dzień jego promiennego obudzenia — ze stron dziennika dźwięczy triumfalnie: „Dzisiaj zakończyłem swoją naukę — zdecydowanie i na zawsze"... (Dziennik Mikołaja Romanowa. Zeszyt 1889 r. Zapis z 31 grudnia).

Dalszy ciąg na str. 15

MOSKWA

ARBAT

Fotoreportaż: JANUSZA KUPIECKIEGO

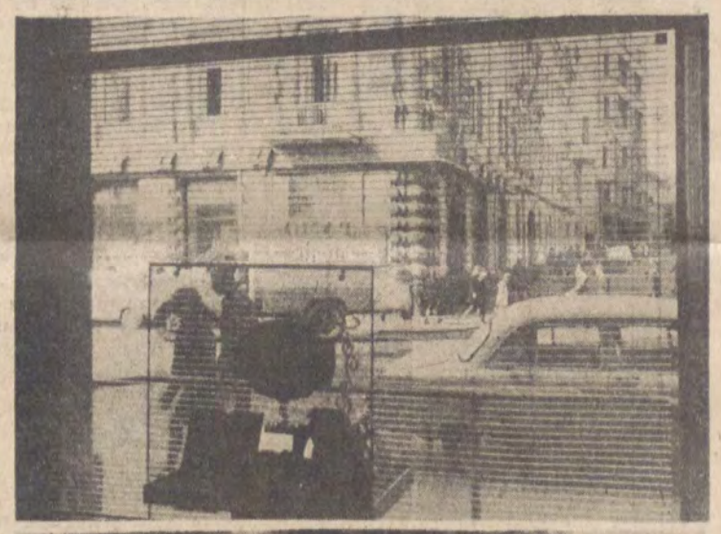

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217 98 oraz 293 00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 2607. C-11. Nr indeksu 37006.